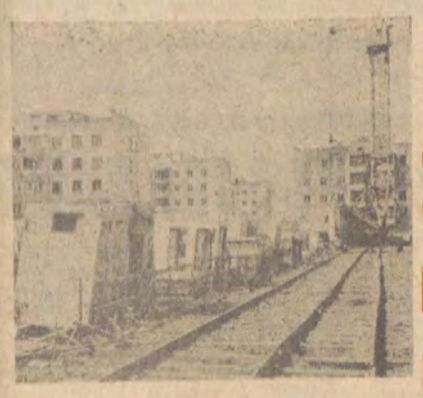

ROSNĄ SZYBCIEJ NIŻ DRZEWA

Str. 3

REPORTAŻE

— Z GRUZJI
— Z KARELII
— Z SYBERII

Str. 4, 7, 10

W WARSZAWIE NIE BYŁO „CATENACCIA"

Str. 14

UPADAJĄ HIPOTEZY

Str. 12

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 45 (935) 6 LISTOPADA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Minęło 58 lat od chwili, gdy narody Związku Radzieckiego ujęły władzę w swoje ręce i zwycięsko poprowadziły budownictwo socjalizmu. Ponad pół wieku zmagań, twardej walki i wytężonego wysiłku pod przewodnictwem zahartowanej w bojach partii bolszewickiej przyniosło wspaniały owoc — zrodziło nową epokę w historii ludzkości. O tym, jak wygląda w Związku Radzieckim dzień dzisiejszy, staramy się pokazać w reportażach opisujących życie w różnych częściach tego kraju.

Jacek Indelak pisze o Karelii, Władysław Orłowski dotarł do dalekiej Syberii, a Zbigniew Wirski opisuje współczesne uroczystości weselne w przeuroczej Gruzji.

Radziecką prozę literacką reprezentuje dziś na naszych łamach Wasilij Szukszyn, a obok na kolumnie dziewiątej drukujemy wiersze poetów współczesnych. Na tej samej stronie amatorzy plastyki znajdą reprodukcje malarstwa i grafiki radzieckiej.

Historyków zainteresują niewątpliwie fragmenty listów kapitana Jacquesa Sadoula, członka francuskiej misji wojskowej, współuczestniczącego w wydarzeniach tamtych dni. Publikujemy je pod wspólnym tytułem „Dokumenty", na stronach 6 i 8.

W październikowym numerze teoretycznego organu KC KPZR „Komunist" ukazał się artykuł: G. Trukana pt. „Wielki Październik: kierownicza rola rewolucyjnego proletariatu". Relacjonujemy jego treść, gdyż wskazuje on na tę siłę motoryczną, jaką była i jest ideologia i praktyka KPZR.

Z tematyki krajowej pragniemy zwrócić uwagę Czytelnika na artykuł Krzysztofa Pogorzelca — „Rosną szybciej niż drzewa". Autor omawia jeden z najbardziej palących i podstawowych problemów, jakim jest niewątpliwie — w skali nie tylko naszego kraju, ale całego świata — budownictwo mieszkaniowe. Gorąco polecamy jego lekturę.

Przyszły numer naszego pisma ukaże się w zwiększonej objętości — 20 stron. Specjalną, 8-stronicową wkładkę poświęcamy rocznicy 30-lecia powstania w naszym mieście oddziału Związku Literatów Polskich.

58

★ ☆ ★

58 lat temu, w październiku 1917 roku, licząc według obowiązującego wówczas w Rosji kalendarza, rozpoczęła się pierwsza zwycięska rewolucja socjalistyczna. Rozpoczęła się nowa epoka. Lud pracujący, rosyjscy robotnicy i chłopi sięgnęli po władzę i zdobyli ją.

To był początek. Rosja weszła na nową drogę, przekreślając to wszystko, co było w dotychczasowej polityce państwa sprzeczne z interesem narodu, unieważniając zaborcze dekrety carów, stanowiąc narodom prawo do samookreślania się.

Taki był początek. Ale trzeba było jeszcze długich lat krwawej walki ze zwolennikami starego porządku, z niedobitkami burżuazji, z wojskami interwentów, aby młode państwo radzieckie mogło okrzepnąć i przystąpić do odbudowy wojennych zniszczeń, do budowy nowego ustroju.

Minęły dalsze lata. Lata trudne i tragiczne. Przez te lata narody Związku Radzieckiego budowały silne podwaliny pierwszego socjalistycznego państwa. Dzięki temu trudowi mogło ono zająć należne mu miejsce w świecie.

Przez minione lata Związek Radziecki swoją polityką udokumentował słuszność pokojowego współistnienia, udowodnił, że tylko na takiej drodze można z pożytkiem dla całej ludzkości rozwiązywać najtrudniejsze nawet konflikty. Dziś Kraj Rad jest ostoją pokoju i jego gwarancją dla wielu narodów, w tym i dla nas.

58 lat w historii ludzkości, to okres niewielki. 58 lat w najnowszej historii świata, to okres ogromny, okres, w którym narodom Związku Radzieckiego udało się dokonać niespotykanych do tej pory przeobrażeń, udało się wyprowadzić kraj z zacofania i uczynić go potęgą w skali świata.

EUGENIUSZ WINOKUROW

ROBOTA

Pudowe szyn podkłady taskałem na
wzniesienie.
Szczupły i młody byłem —
mocno mi się dostało!
Tylko w ziarnistym pocie i w zębów
wyszczerzeniu
Na tym urwisku stromym zmęczenie się
zdradzało.
Kopałem gęstą glinę zginając mocno
plecy,
Odrzucałem tę glinę biorąc ją na łopatę.
I tylko twarz malała i chudła mi pod
wieczór.
Myślę, że mogłem zostać nie najgorszym
kopaczem.
W łaźni mnie wydzielono do noszenia
wody
W grupie starych żołnierzy, robotnych
i bywałych.
Trzy dni tak dźwigaliśmy.
A pałąków ślady
Na naszych twardych dłoniach calutki
rok przetrwały.
Rąbałem drzew bierwiona siekierą i
toporem.
Do kuchni i do kotłowni rąbałem
z rozmachem.
Tylko mięśnie chodziły bez przerwy
i z uporem.
Pod do ostatniej nitki przemokłą rubachą.
Zdrów byłem, byłem młody.
I pełen zapału.
Tylko nocą, zmęczony, kładłem się
i od razu
Na pryczy, rąk nie myjąc, jak kamień za-
sypiałem.
Na pięść się nawaliwszy nie ogoloną
twarzą.

1938

Przełożył: Marek Wawrzkiewicz

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

WIZYTA PRZYWÓDCÓW PARTII I RZĄDU

W poniedziałek, 3 listopada ludzie pracy naszego województwa gościli przywódców partii i rządu — I sekretarza KC PZPR, **EDWARDA GIERKA** i prezesa Rady Ministrów — **PIOTRA JAROSZEWICZA.** Przybyli oni na spotkanie z 400-osobową reprezentacją kobiet pracujących. W spotkaniu, które odbyło się w Zakładowym Domu Kultury zakładów „Teofilów" uczestniczyli także: członkowie Biura Politycznego — sekretarz KC PZPR — **JAN SZYDLAK** i przewodniczący CRZZ — **WŁADYSŁAW KRUCZEK,** z-ca członka Biura Politycznego KC PZPR, minister rolnictwa **KAZIMIERZ BARCIKOWSKI** oraz członek Sekretariatu, kierownik Wydziału Organizacyjnego KC PZPR — **ZDZISŁAW ŻANDAROWSKI.**

Witając w imieniu kobiet i wszystkich mieszkańców województwa przybyłych na spotkanie przedstawicieli partii i rządu Bolesław Koperski podziękował E. Gierkowi, P. Jaroszewiczowi, J. Szydlakowi i innym członkom najwyższych władz partyjnych i rządowych za dotychczasową pomoc i zainteresowanie sprawami Łodzi.

Łódzkim przeobrażeniom ostatnich lat wiele miejsca poświęciły w czasie dyskusji przedstawicielki wszystkich środowisk kobiet pracujących łódzkiego okręgu przemysłowego. Charakterystycznym nurtem dyskusji i cechą poszczególnych wypowiedzi było zadowolenie z ogromu osiągnięć naszego kraju w minionym trzydziestoleciu oraz powszechna chęć do pomnażania dotychczasowego dorobku, na który składa się także dorobek naszego miasta.

Nawiązując do wytycznych na VII Zjazd PZPR, Edward Gierek stwierdził, że partia wysuwa na czołowe miejsce problem podniesienia jakości — jakości pracy i jakości naszego życia. Przechodząc do omówienia spraw łódzkich, I sekretarz KC PZPR oświadczył, że partia i państwo dbać będą o Łódź podobnie, jak i o wszystkie oddziały klasy robotniczej w całym kraju. Będziemy — stwierdził — usuwać pozostałości zacofania, modernizować przemysł i miasto, z myślą o tym, aby ludziom pracy żyło się w nim lepiej. Dalszą część swego wystąpienia Edward Gierek poświęcił pracy i życiu kobiet.

W toku spotkania zabrał głos również premier Piotr Jaroszewicz, który przypominając dorobek społeczno-ekonomiczny ostatniego pięciolecia podkreślił, że stanowi on osiągnięcie bezprecedensowe w naszej historii. Premier wiele uwagi poświęcił problemom nurtującym kobiety, wskazując, że zajmują one poczesne miejsce w programie z jakim partia idzie na VII Zjazd. Piotr Jaroszewicz omówił szerzej niektóre pozycje tego programu, koncentrując się m. in. na sprawach dalszego wzrostu płac realnych, poprawy zaopatrzenia rynku, rozszerzenia sieci handlu i usług.

Na zakończenie swej wizyty w Łodzi I sekretarz KC PZPR Edward Gierek i towarzyszący mu przedstawiciele kierownictwa partii i rządu odbyli spotkanie z senatem i pracownikami naukowymi Uniwersytetu Łódzkiego. W spotkaniu tym uczestniczyli również rektorzy pozostałych sześciu szkół wyższych Łodzi.

Z PRAC PREZYDIUM RZĄDU

31 października br. Prezydium Rządu rozpatrzyło problemy dotyczące niektórych odcinków działalności inwestycyjnej. Omówiono i zatwierdzono program rozbudowy potencjału produkcyjnego w energetyce w latach 1976—80. Program ten ma na celu zapewnienie dalszego rozwoju, zgodnie z rosnącymi potrzebami ludności i gospodarki narodowej. Przewiduje się, że w nadchodzącym 5-leciu, w rozbudowywanych i w nowych elektrociepłowniach będzie ny instalować bloki energetyczne dużej mocy, w tym 500-megawatowe, wytwarzane w kooperacji ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami RWPG.

Inwestycjom związanym z powiększaniem mocy naszej energetyki jako szczególnie ważnym dla gospodarki narodowej nadaje się charakter priorytetowy.

Prezydium Rządu zapoznało się z aktualnym stanem w budownictwie szkół i innych placówek oświatowych. Zawarte w informacji wnioski, po przedyskutowaniu i uzupełnieniu, zostały przyjęte.

Powzięto również decyzje w sprawie dalszego usprawnienia programowania, projektowania i realizacji inwestycji służby zdrowia i opieki społecznej.

W następnym punkcie obrad, Prezydium Rządu postanowiło zwiększyć w IV kwartale dostawy na rynek różnych artykułów przemysłowych i konsumpcyjnych na ogólną kwotę ponad 1 mld złotych.

Na posiedzeniu zatwierdzono kierunkowy program poprawy stanu wyposażenia technicznego handlu i gastronomii.

Na wniosek ministra administracji gospodarki terenowej i ochrony środowiska, przyjęto projekt kodyfikujący rozporządzenia w sprawie klasyfikacji wód i ich ochrony przed zanieczyszczeniami.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

Ogólnopolskich (chociażby w założeniu) imprez kulturalnych mamy sporo. Różna jest ich ranga, znaczenie, konkretne efekty, Wiele z nich to sezonowe efemerydy, odchodzące w zapomnienie zgodnie z prawami naturalnej selekcji. Sama więc próba powołania do życia jeszcze jednej imprezy o wymiarze ogólnopolskim wzbudza zainteresowanie i uznanie. Tym większe, że bydgoscy literaci i plastycy „odkryli" na kulturalnym polu zagon wcale obszerny, a krytycznie niezbyt spenetrowany. Tak przecież po prawdzie wyglądają relacje między SZTUKĄ a RZECZYWISTOŚCIĄ, co było hasłem, wywoławczym I Bydgoskiego Festiwalu Kulturalnego.

I BYDGOSKI FESTIWAL KULTURALNY

TERAZ I TUTAJ

Pierwszego, a więc imprezy nie okazjonalnej, lecz powołanej z myślą o jej trwałym wpisaniu na kulturalną mapę kraju. Takie też było powszechne odczucie uczestników, mimo tych czy innych zastrzeżeń do samej formuły Festiwalu i debiutanckich potknięć organizacyjnych. Ewentualnych sceptyków niech przekona ambitnie pomyślany program, znaczące nazwiska referentów, interesujące tematy. O perspektywach rozwoju kultury w Polsce mówił dr **Władysław Loranc,** wiceminister Kultury i Sztuki, o tradycjach literatury faktu doc. dr **Czesław Niedzielski,** słowo o krytyce artystycznej wygłosił **Wacław Sadkowski:** z referatem o związkach poezji polskiej z rzeczywistością wystąpił dr **Piotr Kuncewicz:** o związkach z rzeczywistością sztuk plastycznych mówił dr **Maciej Gutowski, a Urszula Czartoryska** przedstawiła kierunki współczesnej fotografiki artystycznej. Program oficjalny wzbogaciły liczne imprezy towarzyszące. W Teatrze Polskim wystawiono „Granicę" Nałkowskiej, w Kameralnym 3 jednoaktówki Mrożka i „Hyde Park" Kreczmara. Filharmonia Pomorska dała ciekawy koncert symfoniczny (w programie Bartok, Prokofiew, Szostakowicz). W kinie „Adria" odbyła się projekcja „Zaklętych rewirów" poprzedzona spotkaniem z reżyserem **Januszem Majewskim** i autorem literackiego pierwowzoru **Henrykiem Worcellem.** Oryginalną wystawę zaproponował **Bogdan Chmielewski** na... dworcu kolejowym, obwieszając perony i poczekalnie kolorowymi płachtami z tekstami poetyckimi. Również młodzi bydgoscy poeci wyszli dosłownie na ulice, z wierszami-plakatami rozlepionymi w najruchliwszych punktach miasta.

Sama powyższa wyliczanka niech najlepiej zaświadczy o rozmachu imprezy i wysiłku organizatorów, wśród których wymienię tylko dwóch: **Jana Góreca-Rosińskiego,** prezesa bydgoskich literatów, a zarazem naczelnego redaktora „Faktów 75", oraz **Stanisława Lejkowskiego,** prezesującego miejscowym plastykom.

Właśnie **Górec-Rosiński** w swoim przemówieniu inauguracyjnym, wypowiedział kilka myśli o conradowskim rodowodzie a niezwykle przy tym aktualnych i ważkich: o sile marzenia twórcy, o jego miejscu w społeczeństwie. „Twórca — choć ze szkodą dla siebie — może stać na uboczu jako jednostka. Kultura, jako pewna koncepcja życia społecznego, jako światopogląd — nie może. Wszyscy rodzimy się w określonych warunkach historycznych, mamy do dyspozycji określoną tradycję i etnografię, i te atrybuty formułują również i tych, którzy negują wpływ rzeczywistości społecznej na światopogląd i twórczość artysty. Środowisko przyrodnicze naturalne, jest potrzebne do życia człowiekowi jako jednostce biologicznej. Środowisko kulturalne jest mu równie potrzebne jak środowisko naturalne. Chroni go — jako istotę myślącą, świadomą swego przeznaczenia — przed samą przyrodą i światem rzeczy, zwłaszcza w obliczu obecnej inwazji techniki. Bez środowiska kulturalnego człowiek byłby słaby, bezbronny, nie mógłby stawiać czoła przeciwnościom losu; byłby mniej odporny na konflikty społeczne oraz nieszczęścia. Co więcej — nie mógłby w pełni przeżywać danego sobie życia, ani go budować, ani ulepszać, ani upiększać i czynić go coraz sensowniejszym i bogatszym..."

Spotkanie bydgoskie uprzytomniło nam potrzebę stawiania teraz i w przyszłości pytania: jakie są dalsze możliwości tworzenia, sztuki w ogóle, by stała się tym czym widzimy ją w naszych marzeniach, tożsama z rzeczywistością. (Nb. abyśmy nie musieli dywagować, jak było to podczas jednej z dyskusji, nad „prawdą" i „prawdą artystyczną"). Sztuka faktu jest, według mnie, jedną z możliwości owego utożsamiania się z rzeczywistością socjalistycznego ładu. To oczywiście ideał przyszłości. Obecnie jesteśmy na etapie pytań elementarnych i definicji, rozpoznawania wśród gąszcza spraw wartości i doświadczeń autentycznych.

Sztuka faktu, literatura faktu. Słuchając referatów i głosów w dyskusji można było dojść jedynie do wniosku niezbyt budującego: każdy z nas ma w sobie, na swój użytek, wyobrażenie problemu. I są to wyobrażenia niespójne, nie przylegające do siebie. W sumie wiemy niewiele.

Nauka — wydaje się czasami, że naukowcy mają wszystko poszufladkowane, opisane i zinterpretowanie — też, jak się okazuje, nie potrafi nic nowego powiedzieć. Stąd może wzięło się odczucie, że najwięcej do powiedzenia mają praktycy, ludzie na co dzień uprawiający ową sztukę faktu jak np. reportaż lub pewne gatunki literackie penetrujące w podobny sposób obszary naszej współczesności.

Jerzy Lovell w swoim referacie ujął problem następująco: „...każdy reportaż jest o p i s a n i e m ś w i a t a, informacją o rzeczywistości, jej zwierciadłem: i w tej definicji nic się nie zmieniło od prapoczątków gatunku reportażowego, aż po dzień dzisiejszy. Jest także próbą przemiany tego świata, ale to już kwestia postaw wewnętrznych. Rzecz w tym jednak, że świat opisywany współcześnie niepomiernie się skomplikował i zdramatyzował i to nie tylko w sferze zjawisk materialnych, ale także, a może przede wszystkim w sferze zjawisk społecznych, światopoglądowych, etycznych i obyczajowych, a więc niejako w sferze ludzkiej psychiki. Na tę komplikację świata przedstawianego reportaż, jego zwierciadło, musiał odpowiedzieć równorzędną komplikacją swoich metod i narzędzi, poszerzeniem pola widzenia, pogłębieniem obserwacji, wzbogaceniem środków wyrazu. Reporter musi znać nie tylko fakty, lecz ich współzależności i uwarunkowania, dysponować precyzyjną unaukowioną wiedzą o świecie i człowieku oraz umieć ją wyrażać z przenikliwością i wrażliwością właściwą artystom. Stąd dominującym zjawiskiem we współczesnym reportażu jest socjologizujący esej lub reportaż literacki, artystyczny, lub połączenie obu tych form. Nie przestając być d o k u m e n t e m reportaż staje się dziełem sztuki i intelektu".

Przytoczyłem tak długi cytat z wypowiedzi Lovella, bo jego refleksja wydaje mi się interesującą także i dlatego, że można ją szerzej odnieść — powiem ryzykownie — do literatury o tematyce współczesnej. Sam przynajmniej taką uprawiam i nie widzę w tym nic „niegodnego artysty". Powiem nawet więcej (m. in. na ten temat zabierałem głos w dyskusji), że literatura zakorzeniona w rzeczywistości (bez etykietki „reportażowej" — biorąc choćby pod uwagę wewnętrzne i zewnętrzne ograniczenia relacji dokumentalnej — ma większe możliwości jako nośnik p r a w d y, już tej bez żadnego przymiotnika. Dowód na to twierdzenie. Każdy go znajdzie w swojej bibliotece, w książkach autorów, którzy ten najtrudniejszy gatunek literacki uprawiają. Putramenta, Bratnego, Machejka, Kawalca, Paukszty, pisarzy śląskich, łódzkich i innych. Znajdzie ten dowód nie w tej czy innej książce, ale w summie twórczych dokonań. Sądzę że tak trzeba rozliczać związki literatury z rzeczywistością, w której ona powstaje; sumarycznie, a nie poszczególnych autorów z ich indywidualnych, naturą rzeczy niedoskonałych utworów.

Jak wspomniałem bydgoski festiwal miał charakter interdyscyplinarny. Mniej może w rozważania teoretyczne wnieśli plastycy i fotograficy (poza referatami Czartoryskiej i Gutowskiego) ale, co zrozumiałe, spróbowali festiwalowe założenia zilustrować wystawą prac, formą i tematyką zbliżonych do hasła „sztuka faktu". Ideą dużej wystawy w salonie BWA (salon też duży i piękny, nowoczesny; dobrze, że nie było prezesa łódzkich plastyków Garbolińskiego, bo by mu pewnie pękło serce z zazdrości) było — jak pisze w katalogu wystawy **M. Bacciarelli** — „zaprezentować widzom dzieła i działania artystyczne, których autorzy nie obawiają się uprawiania swoiście pojętej publicystyki, interwencji i stawiania konkretnych postulatów, dotyczących aktualnej chwili. Chodziło zarazem o danie odpowiedzi na kilka pytań, m. in.: czy możliwe jest połączenie ambitnych założeń artystycznych z publicystyczną interwencyjnością? jaka formuła artystyczna jest najbardziej nośna przy tego typu treściach?"

Moja znajomość plastyki jest zbyt dyletancka bym osądzał efekty. Śmiem jednak twierdzić, że zawiedli zupełnie fotograficy. Po plastykach spodziewałem się więcej. Ale nie nazwałbym tej wystawy pomysłem chybionym. Autorzy prezentowanych tu prac pokazali swe możliwości warsztatowe, pomysłowość, a nade wszystko żarliwe zaangażowanie w sprawy dnia dzisiejszego.

Trzeba jeszcze mocno podkreślić inny aspekt festiwalu: kontakty ze społeczeństwem To już dobra tradycja tego typu imprez. Podjęta przed trzema laty w Porcie Północnym **„Idea sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką"** owocuje także w Bydgoszczy. Osobiście miałem zaszczyt wspólnie z Henrykiem Worcellem wziąć udział w spotkaniu z aktywem robotniczym i młodzieżowym zakładów „Belma", które nie miało w sobie nic z konwencjonalnego spotkania autorskiego a było szczerą, przyjazną i interesującą rozmową o n a s z y c h sprawach, o pracy i sztuce. O pracy coraz bardziej humanizującej się i sztuce coraz bliższej rzeczywistości.

Przed VII Zjazdem partii te przyjazne konfrontacje w Bydgoszczy — podobnie jak ma to miejsce w całym kraju — nabierają szczególnego znaczenia i wymowy.

JERZY WAWRZAK

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

CZWARTEK 6. XI. 75 r. — PROGRAM II

7.15 „NA RYNKACH ŚWIATA — program filmowy, w którym ukazane zostaną osiągnięcia Bielskiej Fabryki Maszyn Włókienniczych.

21.15 TEATR FAKTU — „Zawisza Czarny — inscenizacja oparta na materiałach źródłowych, wg scenariusza Andrzeja Lipińskieg i Krzysztofa Wojciechowskiego.

PIĄTEK 7. XI. — PROGRAM I

22.40 GOSPODARNOŚĆ I JA — „Puste dniówki" — program poświęcony będzie dyscyplinie pracy.

PROGRAM II

18.25 LABORATORIUM 75 — „Transportowe szlaki" — głównym tematem programu będzie polityka transportowa w Polsce wg założeń perspektywicznych do roku 1990.

21.10 PETERS — dramat rewolucyjny produkcji radzieckiej, oparty na wydarzeniach historycznych z okresu rewolucji 1917—18 roku.

SOBOTA 8. XI. — PROGRAM I

18.05 W cyklu „NIE TYLKO PIOSENKA" — „Życie jest tangiem" — program rozrywkowy poświęcony tangu argentyńskiemu.

20.20 ISADORA — fabularny film angielski, którego scenariusz powstał w oparciu o pamiętniki słynnej tancerki amerykańskiej, prekursorki tańca nowoczesnego Isadory Dunkan.

23.05 DOBRY WIECZÓR TU ŁÓDŹ — program rewiowy z udziałem m. in. Haliny Kunickiej, Zdzisławy Sośnickiej, Maryli Rodowicz, Urszuli Sipińskiej i Marii Koterbskiej.

PROGRAM II

Od 16.00 do 22,30 w programie II — STUDIO RADZIECKIE — blok programowy zawierający wiele ciekawych programów publicystycznych, reportaży, rozrywki i sportu.

NIEDZIELA 9. XI. — PROGRAM I

15.25 WIELKA ATRAKCJA — radziecka komedia muzyczna.

18.25 AMBASADOR KULTURY POLSKIEJ — film monograficzny o Zespole Pieśni i Tańca „MAZOWSZE", zrealizowany z okazji 25-lecia powstania tego zespołu.

21.20 Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI — dla pracowników „Polimex-Cekop" — program rozrywkowy przygotowany przez Jerzego Michotka.

PROGRAM II

17.05 W cyklu „FILMY JANA RYBKOWSKIEGO" — wyświetlona zostanie komedia satyryczna „SPRAWA DO ZAŁATWIENIA" z ADOLFEM DYMSZĄ aż w ośmiu rolach.

20.20 CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT — w cyklu przypominającym dorobek artystyczny wybitnych polskich artystów estradowych i kabaretowych wystąpi Lidia Wysocka.

PONIEDZIAŁEK 10. XI. — PROGRAM I

20.20 w TEATRZE TV — NORA — Henryka Ibsena w reżyserii Macieja Englerta. Sztuka porusza problem społecznej sytuacji kobiet w XIX w. W roli tytułowej wystąpi Marta Lipińska.

PROGRAM II

21.35 MIESZKAŃCY ANDÓW — reportaż filmowy o życiu i pracy mieszkańców Wyżyny Boliwijskiej.

WTOREK 11. XI. — PROGRAM I

18.45 w cyklu FAKTY OPINIE HIPOTEZY — program „NARODZINY WYNALAZKU", mowa będzie o histori odkryć i wynalazkach od Edisona aż po granice wyobraźni sięgające XXI wieku.

PROGRAM II

21.05 GALERIA 34 MILIONÓW — kolejna edycja Galerii, poświęcona jest rzeźbom Ryszarda i Anny Wojciechowskich.

ŚRODA 12. XI. — PROGRAM I

18.10 WSZYSTKO ZA WSZYSTKO — gościem kolejnego programu będzie dyrektor PGR „Bródno STEFAN KUCZYŃSKI.

20.20 GANG — dramat społeczny produkcji włoskiej przedstawiający losy Włochów z Południa, którzy przyjeżdżają do Mediolanu, w poszukiwaniu pracy.

PROGRAM II

20.20 SPOTKANIE Z KOMPOZYTOREM — będzie to prezentacja wybitnego kompozytora Witolda Rudzińskiego.

SZYFRY PROGRAMOWE

Dział reklamy jest w naszej TV dość znacznie rozbudowany — myślę oczywiście o reklamie handlowej. Dziwne zatem, jak lekkomyślnie rezygnuje się z reklamy... własnych programów. Zwłaszcza w wypadku nowości.

W swoim czasie na przykład program XYZ, może niezbyt popularny, ale przecież nie wszystko musi być akurat na poziomie parteru, a zatem program XYZ zapowiadano wyłącznie przy pomocy owych trzech liter, które nic telewidzowi nie mówiły. A program okazał się ciekawą intelektualną zabawą. Czemu opatrzono go tylko szyfrem? Czemu ani na łamach prasy, ani w szerszej informacji telewizyjnej nie zareklamowano tej interesującej audycji?

Ostatnio umknął mi program „100 pytań do Witolda Fillera", bo z braku dokładniejszej informacji nie wiedziałem czy warto czekać do godziny 23. Ponieważ następnego dnia ci, którzy akurat cierpieli na bezsenność, opowiadali o tym spotkaniu z redaktorem naczelnym „Szpilek" rzeczy nader ciekawe — teraz już obejrzałem „100 pytań do Niemena" — i nie zawiodłem się. Ale Filler mi uciekł.

Teraz pan Marian Kubera wymyślił nową zabawę pt. „Rymowanki". Obejrzałem ten program zupełnie przypadkowo, bo przecież sam tytuł raczej zapowiadał jakąś wieczorną audycję dla dzieci A więc znów zapomniano o szerszej informacji.

Nawiasem mówiąc „Rymowanki" okazały się zabawą tyleż niemądrą co szkodliwą i aż dziwne, że dali się w to wciągnąć: znany krytyk i wybitny aktor, który kiedyś pisał piękne wiersze. Zabawa polegała na tym, że posadzono w studio troje młodych poetów i kazano im pisać wierszyki pod muzyczkę lub pod film. Na czas, na tempo. Mniej więcej jeden wiersz na trzy minuty. To, że młodzi ludzie ulegli magii telewizji — to nic dziwnego. Ale fakt, że panowie Sadkowski i Herdegen oceniali potem „na gorąco", który wiersz jest lepszy, który gorszy, kto jest „do przodu", kto „do tyłu" — to wydaje mi się dziwne.

A szkodliwość „Rymowanek"? Otóż uważam, że nie wolno wielomilionowej widowni wmawiać, że napisanie wiersza to taka sobie zabawa na granicy wygłupu. Gdzieś tu zatracono proporcje. Powiedzą zapewne realizatorzy, że to przecież była tylko zabawa. Zgoda, ale jednocześnie słuchaliśmy poważnych ocen, jakie to piękne i głębokie teksty powstają na naszych oczach w ciągu trzech minut. Przeciętny odbiorca nie mógł wiedzieć czy to, co słyszy, jest prawdą czy nie, bo takiej świadomości — jak się zdaje — nie mieli także obaj prowadzący audycję.

Pisarstwo nie jest kwestią minut, o czym wiedzą ludzie inteligentni. Zwłaszcza w wypadku poezji, gdzie istnieje dość znaczne zatarcie kryteriów — produkowanie na sygnał startera, a potem nobilitowanie ich publicznie do rangi poezji — jest kpiną zarówno z literatury jak i z odbiorcy.

Wróćmy jednak do szyfrów. Powie ktoś, że istnieje tygodnik „RTV", dość dokładnie informujący o programach, zwłaszcza o nowościach. Zgoda. Ale przecież nakład „RTV" jest mikroskopijny w stosunku do milionów słuchaczy, którzy są skazani na informację gazet codziennych. Sama redakcja tygodnika jest tego świadoma, bo w „stopce" przemilcza wysokość nakładu, zastrzegając się tylko, że „nie załatwia żadnych spraw związanych z kolportażem". Wiadomo jednak, że regularne kupowanie „RTV" w kiosku „Ruchu" jest po prostu niemożliwe i przy usilnych poszukiwania zdarza się nabyć pismo mniej więcej raz na miesiąc.

Na koniec kolejny szyfr. W programie czytam: Tatrzańska jesień. I koniec. Co to będzie? Podsumowanie sezonu turystycznego w górach? Wiersze Kazimierza Przerwy-Tetmajera? Czy może krajobrazowy film?

Nic z tych rzeczy. Był to występ zespołu „Bul i Nidaros" z... Norwegii. No i masz babo placek.

ZASTĘPCA II

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

POLSKA–75

Przedsiębiorstwa zajmujące się przewozem mebli nie uskarżają się na brak zamówień, a ich samochody są w ciągłym ruchu. W tej sytuacji, jeśli Czytelniku czeka Cię przeprowadzka — radzimy się pośpieszyć. W kończącej się właśnie pięciolatce wybudujemy okrągło licząc 1.125 tys. mieszkań. W samej tylko Łodzi 54 tys. rodzin przeniosło się do bloków. To dużo, mówi się nawet, że u nas domy zaczynają rosnąć szybciej niż drzewa. A przecież nie jesteśmy w pełni tym usatysfakcjonowani. Dlaczego?

KRZYSZTOF POGORZELEC

ROSNĄ SZYBCIEJ NIŻ DRZEWA

Fot.: CAF

ZMARTWIENIE NIE TYLKO NASZE

Uzyskanie dalszej poprawy warunków mieszkaniowych jest niewątpliwie jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań społeczno-gospodarczych w naszym kraju. Ale — choćby po to, by widzieć ten problem w szerszej i bardziej właściwej skali — warto tutaj dodać że budowa odpowiedniej ilości nowych mieszkań nie jest tylko naszym zmartwieniem. Bardzo dobrze znają ten trudny problem również inne kraje socjalistyczne, słusznie upatrując w jego rozwiązaniu spełnienie jednej z podstawowych funkcji ustrojowych — stałego podnoszenia na wyższy poziom materialnych warunków egzystencji społeczeństw.

Przyda się w tym miejscu parę liczb które — mam wrażenie — dobrze określają nie tylko cały problem budowy nowych mieszkań zaspokojenia, jeśli o tym tak można mówić potrzeb na ten bardzo chodliwy „towar". Nie obejdzie się tutaj i bez retrospekcji jako że dobrze jest niekiedy sięgnąć do porównań. A więc?

Pięć lat temu na jedną izbę mieszkalną przypadało:

— w Polsce	— 1,4 osoby
— w Bułgarii	— 1,2 „
— w CSRS	— 1,3 „
— w NRD	— 1,1 „

I jeszcze jeden wskaźnik: w tym samym **roku 1970**, na jedno mieszkanie wypadały w naszym kraju średnio biorąc **3,9 osoby**.

No właśnie — liczby. Otóż wymagają one pewnego komentarza, chodzi o to, by te pozornie nikłe różnice wyrażające się w „dziesiątych" częściach całości nie wprowadziły kogoś w błąd. W istocie w tych ułamkach kryły się poważne różnice w sytuacji mieszkaniowej wymienionych przykładowo państw. Niestety — na naszą niekorzyść. Nie wydaje mi się jednak, byśmy mieli tutaj powody do samobiczowania. Bo jeśli trzeba się zgodzić, że kwestia mieszkaniowa prezentowała się w pozostałych krajach socjalistycznych u początku lat 70 lepiej aniżeli w Polsce, to trzeba też pamiętać, jeśli już nie o zniszczeniach wojennych, które dotknęły nasz kraj najbardziej, o pewnych zjawiskach społecznych, choćby demograficznych. Warto je tutaj przypomnieć, a ukrywają się one w następujących faktach: **w roku 1970 w polskich miastach mieszkało 17 milionów osób, gdy w roku 1946 „mieszczuchów", że się tak wyrażę, było nie więcej niż 7 milionów.** W taki to m. in. sposób dał o sobie znać proces bardzo szybkiej industrializacji polskiej ekonomiki. Stosowne będzie wspomnieć też przynajmniej o wyżu demograficznym, którego główny strumień popłynął nie gdzie indziej tylko właśnie do miast, pogłębiając koncentrację ludności, pozostawiając swój ślad na wskaźnikach „mieszkaniowych".

Bylibyśmy dalecy jednak od prawdy gdyby mówiąc o tych zjawiskach, skutkach które wywarły one na sytuację mieszkaniową, tak sobie lekko przeszli do porządku nad „drugą stroną medalu" o jakim tutaj mowa. Tak jest — chodzi o rozmiary budownictwa mieszkaniowego w latach 60. To na początek. Wyglądało to tak — **liczac w mieszkaniach oddanych do użytku na 1000 mieszkańców danego kraju:**

— CSRS	— 5,4
— Bułgaria	— 6,3
— NRD	— 4,7
— Polska	— 4,8

To zestawienie jest niesłychanie charakterystyczne i mam wrażenie, iż doskonale podpiera tezę, że w latach 60, mimo sporego wysiłku, nasz kraj nie dokonał jakiegoś poważniejszego skoku w dziedzinie rozmiarów budownictwa mieszkaniowego, szczególnie jeśli po drugiej stronie postawić nasze w tej mierze potrzeby społeczne.

Padło tutaj już tak wiele liczb, że boję się, iż z publicysty zamieniam się w statystyka no ale — to dla uspokojenia samego siebie — jak przedstawić takie zjawisko jak budownictwo mieszkaniowe i to w dodatku w wymiarze całego kraju? Pora też wreszcie na odpowiedź na oczywiste pytanie: czym zapisały się lata 70 w sytuacji mieszkaniowej naszego kraju co jest przecież niczym innym jak tylko poważna cześcią pytania: **jak się nam żyło w tym okresie?**

W latach 1972 i 1973, takimi danymi porównawczymi dysponujemy, na 1000 mieszkańców oddawano nowych mieszkań:

— Bułgaria	— 5,4 i 6,3
— CSRS	— 8,0 i 8,1
— NRD	— 5,0 i 5,6
— Polska	— 6,2 i 6,8

To zestawienie pokazuje nic innego jak ogromne przyśpieszenie rozmiarów budownictwa nowych mieszkań w naszym kraju. Po raz pierwszy w „budowlanej lidze" krajów socjalistycznych znaleźliśmy się w czołówce, wyprzedziła nas tylko **Czechosłowacja**. By to porównanie miało jeszcze szerszy wymiar dodajmy, że mniej budowały od nas takie państwa europejskie, jak np. **Wielka Brytania, Austria, Włochy, Jugosławia.** Oznacza to nic innego jak — powtórzmy — przyśpieszenie w odrabianiu dystansu i równocześnie pierwsze podejście do lepszego zaspokojenia mieszkaniowych potrzeb, dodajmy — też ulegających przemianom, idących w górę, jako że... apetyt rośnie w miarę jedzenia. I — nie ma co się dziwić, ani też utyskiwać. Jest to naturalny, oczywisty proces społecznego rozwoju.

DECYZJA NA MIARĘ POTRZEB

Można więc powiedzieć, że nam się i w tej dziedzinie udało. Właśnie — czy słowo „udało" jest tutaj odpowiednie? W takim ujęciu sprawy zawiera się coś z niespodziewanego powodzenia, nieoczekiwanego sukcesu, który cieszy, ale i zaskakuje.

Nie, tak nie wolno traktować tego co się w mijającym pięcioleciu stało w polskim budownictwie mieszkaniowym, bo i w tej dziedzinie nic nam nie spadło z nieba. Jeśli dziś, na niespełna dwa miesiące przed bilansem zamknięcia całego okresu lat 1970—1975 możemy mówić o wybudowaniu 1.125 tys mieszkań o powierzchni — okrągło licząc — 63 mln metrów kwadratowych, co oznacza przekroczenie zadań przewidzianych dla całej bieżącej pięciolatki o jakieś 50 tys mieszkań to jest to rezultat decyzji, tak — decyzji politycznej, którą powziął VI Zjazd partii, przy czym równie istotne było to, że po raz pierwszy postawiliśmy sobie znacznie, ale to znacznie ambitniejsze zadania dające szansę na pewne odrobienie zaległości jak i stworzone zostały materialne, techniczne przesłanki dla realizacji osiągnięcia tego celu. Podkreślam ten fakt, bo choć niekiedy chcieć to móc niemniej jednak tak dużej ilości mieszkań z samej tylko dobrej woli nie można wybudować. A przypomnieć tutaj wypada że do roku 1970 w naszym kraju mieliśmy do czynienia z dosyć szczególną sytuacją. Mówiło się więc bardzo dużo o tzw. przemysłowych metodach produkcji budowlanej, ale prawdę mówiąc to, jeśli z takimi mieliśmy w praktyce do czynienia, to w przeważającej mierze przypomniały one raczej metody stosowane w manufakturze, aniżeli w przemyśle. Natomiast bardzo nieśmiało sięgaliśmy po to, co było chlebem powszednim budownictwa w wielu innych krajach — po budowanie w fabrykach takich z prawdziwego zdarzenia i sposoby wytwarzania. Decyzja polityczna była „otwarciem", początkiem kariery fabryk domów, których mamy już dziś 43, a chcemy niemal podwoić ich liczbę i to w bardzo szybkim tempie, tak by ten potencjał mógł zacząć procentować w końcowych latach przyszłej 5-latki. Oczywiście, można się spierać czy domy „z taśmy" spełniają nasze wszystkie wymagania, czy w tej dziedzinie nic nie dałoby się zrobić dla uzyskania wyższej jakości, lepszych rezultatów architektonicznych. Ja bym odwrócił te pytania: czy MY zrobiliśmy wszystko, by właśnie takie rezultaty uzyskać?

Takie pytania można mnożyć, wypowiadać „za" i „przeciw", sięgać po rozmaite przykłady, jak choćby taki, że w **Norwegii** 30 proc. budynków wielorodzinnych powstaje z tak tradycyjnego budulca jakim jest drewno. Nie da się jednak obalić tezy, mówiącej o tym, że nasz bilans zamknięcia lat 1970—1975, a i taki sam bilans otwarcia okresu 1976—1980, byłyby o wiele uboższe w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, gdybyśmy nie postawili na fabryki wytwarzające domy. Zauważcie: **w roku 1971 mieliśmy 5 takich fabryk** o mocy produkcyjnej, łącznie biorąc **45 tys. mieszkań rocznie.** W rok później fabryk było już **11**, a ich możliwości wytwórcze szacowano na ok. **70 tys. mieszkań.** Teraz ową wyliczankę przypasujcie do owej liczby 1.125 tys. izb, które wybudujemy do końca bieżącego roku, pamiętając, że „krzywa" wzrostu oddawania izb do użytku była bardzo stromą — **od 110 tys. poprzez 160 tys. do 190 tys. mieszkań.** Nietrudno odgadnąć czemu tak właśnie było.

I wniosek natury ogólniejszej: **budownictwo mieszkaniowe w naszym kraju nie byłoby tym czym jest, gdyby nie polityczna decyzja VI Zjazdu PZPR. Inaczej mówiąc — inna byłaby społeczna, ale i techniczna panorama Polski roku 1975.**

RACHUNEK OTWARCIA

Nie da się jednak ukryć, że problem mieszkaniowy trzeba nadal uważać za jeden z podstawowych, jeśli nie najważniejszych w naszym kraju. Ostatecznie, nie jest wiele przesady w rozumowaniu, które jakość, naszego życia w sensie warunków bytowania sprowadza do problemu jakości mieszkania. O potrzebie traktowania właśnie tak zadań w dziedzinie dalszego rozwijania budownictwa mówią zresztą jeszcze inne fakty. Akurat mam pod ręką ocenę dokonaną przez Ministerstwo Budownictwa, a wynika z niej, że mimo całego postępu uzyskanego w ostatnich szczególnie latach, **70 procent budynków będących w gestii urzędów miejskich i gminnych, jest poważnie zużytych, że z tej ilości 3 proc. stanowią budowle mające więcej aniżeli 100 lat, że niemal 15 proc. mieszkań znajduje się w domach wzniesionych w latach... 1865—1900, a „tylko" 12 proc. pochodzi z międzywojennego 20-lecia.**

W tych warunkach trudno się dziwić, że nad wiele innych, też liczących się potrzeb — choćby w dziedzinie rekreacji, kultury, przedkładamy problem rozszerzenia mieszkaniowego frontu. Chodzi o nic innego jak o zapewnienie nowych mieszkań dla co najmniej 1,5 miliona rodzin, przy czym wymienioną liczbę nie należy traktować jak rozszerzone powielenie dotychczas realizowanego programu. Polska roku 1975 jest innym krajem od tego, w którym żyliśmy pięć lat temu. Wiele potrzeb ledwie znanych zostało w praktyce zaspokojonych. Mamy dziś do czynienia ze społeczeństwem jakościowo różnym, o równie innych potrzebach i wymaganiach, a w tej sferze społecznych doznań poczesne miejsce zajmuje mieszkanie.

Będą więc one rosły jeszcze szybciej aniżeli drzewa, ale powiedzmy sobie szczerze — Polskę VII Zjazdu partii, który ma ustalić program następnego pięciolecia takie ujęcie problemu już nie zadowala. W konstruktywnym tego słowa rozumieniu. Dlaczego?

Budujemy nie na dziś, ale na kilkadziesiąt lat, które dopiero nadejdą...

Truizm? Ależ nie! Mieszkanie kształtuje wiele niezwykle ważnych dziedzin życia społecznego i gospodarczego. Nie tak dawno spotkałem się z opinią, że ze względu na trudną sytuację mieszkaniową „tracimy" (czy tak można powiedzieć...) rocznie ok. 150—160 tys. dzieci, a to z powodu odkładania macierzyństwa na lepsze mieszkaniowe warunki. Socjolodzy i organizatorzy mogą bardzo wiele powiedzieć o skutkach niewłaściwego wypoczynku w zagęszczonych mieszkaniach, nauczyciele — o problemie kształtowania osobowości dziecka, wzbogacania jego wiedzy, zagwarantowania prawidłowego rozwoju...

Jakże dużo tych problemów, które oczekują podjęcia. Tak, to prawda, ale chciałbym zauważyć również i to, że jakże są one różne od tych dostrzeganych przecież w latach 60, a co ważniejsze — jakże odmiennie do nich podchodzimy. Większe mieszkanie nie jest już herezją, a dążenie do posiadania czegoś takiego objawem... skrzywienia „kręgosłupa". No, ale darujemy sobie to i tym co w takich kategoriach ten problem widzieli, a co gorzej rozpatrywali.

Mieszkanie to wielka rzecz. Znowu banał? Ależ nie. Możemy i chcemy z niego stworzyć ważny instrument społecznego oddziaływania, a warto się zastanowić nad szansami ekonomicznymi, które rozwój budownictwa stwarza. Może być przecież potężnym magensem ściągającym pieniądze z rynku — nie tylko z racji na konieczność wyposażenia np. w meble. Niektórzy skłonni by widzieć w nim niezwykle atrakcyjny towar — na tyle poszukiwany, że wyzwalający inicjatywę w pracy, gospodarność, potrzebę oszczędzania i programowania domowej „kasy".

Tak — tyle ono może znaczyć.

* * *

Każdego dnia łódzcy budowlani przekazują gotowych do użytku 100 izb mieszkalnych, 30 rodzin dostaje klucze do swoich przyszłym mieszkań. Tak jest. I to dobrze, że w panoramę Polski lat 80 chcemy wpisać jeszcze więcej dźwigów, to co ma być już może jutro Waszym domem. Niech rośnie on szybciej niż drzewa...

NIE TYLKO HISTORIA

DZIEJE KÓŁEK ROLNICZYCH

Trwa dobra passa książek historycznych napisanych przez badaczy, działających w Łodzi. Pisałem już na tym miejscu zarówno o pracy W. L. Karwackiego o rewolucji 1905 r. w Łodzi, jak książce, Z. Kuchowicza o staropolskich obyczajach dzisiaj zaś pragnąłbym zaprezentować i polecić uwadze zainteresowanych czytelników pracę innego łódzkiego uczonego. Oto mam przed sobą historyczną monografię Juliana Bartysia pod tytułem: „Kółka rolnicze w Królestwie Polskim", wydaną z początkiem bieżącego roku (chociaż z datą ubiegłego) przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.

J. Bartyś znany jest jako historyk, którego zainteresowania badawcze skupiają się wokół dwóch grup zagadnień: dziejów materialnej kultury wsi polskiej w czasach nowożytnych, w szczególności zaś dziejów techniki rolniczej przypomnę jego monografię o mechanizacji gospodarstwa wiejskiego w Królestwie Polskim w początkach XX w., ogłoszoną drukiem w 1967 r.), oraz problematyki którą określilibyśmy jako dzieje aktywności społecznej wsi. W książce o kółkach rolniczych oba te kierunki zainteresowań autora szczęśliwie połączyły się w całość: otrzymaliśmy monografię możliwie wszechstronną, obejmującą nie tylko dzieje organizacyjne kółek rolniczych, lecz także ogarniającą zagadnienia ideologiczne, oświatowe, po działalność w zakresie modernizacji rolnictwa, aktywność przemysłową, kredytową i handlową kółek.

„Stowarzyszenia te — pisze znany historyk — dokonały głębokiego wyłomu w tradycyjnych pojęciach chłopów o gospodarstwie wiejskim i miejscu chłopa w ówczesnym społeczeństwie klasowym; przyspieszyły dojrzewanie świadomości klasowej i narodowej chłopów, nauczyły ich zespołowego i skutecznego działania w obronie własnych interesów klasowych oraz gospodarczych. Działalność kółek rolniczych, poprzez intensyfikację rolnictwa i hodowli w gospodarstwach drobnych oraz zastosowanie nowoczesnych metod agrotechnicznych i szkolenia rolniczego, przyczyniła się do wzrostu dobrobytu chłopa". W Królestwie Polskim kółka rolnicze powstawały później, niż w innych zaborach, dopiero od przełomu XIX i XX w. Powodem takiego stanu rzeczy była polityka władz carskich, obawiających się wszelkich stowarzyszeń na wsi jako możliwego zarzewia buntu przeciwko istniejącemu porządkowi. W mniejszej mierze — jak sugeruje J. Bartyś — zaważyło tu zapóźnienie Królestwa Polskiego w zakresie realizacji reform uwłaszczeniowych i innych, zacofanie rolnictwa w tej części Polski itd.

Kółka rolnicze w Królestwie Polskim tworzyły się i rozwijały w oparciu o dwa konkurujące ze sobą ośrodki organizatorskie, reprezentujące odmienne środowiska i dążenia społeczne. Ośrodkiem starszym było Centralne Towarzystwo Rolnicze, ziemiańska organizacja gospodarcza, inspirująca tworzenie organizacji rolniczych pod patronatem właścicieli majątków, „na zasadach demokracji narodowej i chrześcijańskiej", jak powiadali przedstawiciele rekreacyjnego kieru, uznający tworzenie kółek rolniczych i spółek chłopskich „pod patronatem endecji i klas posiadających za jeden ze środków przeciwdziałających wrzeniu rewolucyjnemu na wsi". Drugi, młodszy ośrodek organizatorski, stworzyli działacze ruchu ludowego, aktywiści Polskiego Związku Ludowego, twórcy Towarzystwa Kółek Rolniczych im. S. Staszica w 1906 r. „Wśród założycieli i współpracowników TKR im. S. Staszica — powiada dzisiaj historyk — znaleźli się wybitni przedstawiciele ruchu ludowego, zaś aktyw kółek staszicowskich został później zasilony działaczami ruchu zaraniarskiego, co spowodowało znaczny wzrost operatywności TKR im. Staszica". Ruch kółek rolniczych rozwijał się więc w bezustannej walce, w której niejednokrotnie dochodziło do ostrych spięć, skoro sprzeczne tendencje były z sobą nie do pogodzenia: dzieje tej „walki ideologicznej", szeroko przedstawione przez J. Bartysia, wypełniają jedne z najbardziej interesujących kart jego książki. Jakżeż zresztą mogło być inaczej, skoro „ziemiaństwo systematycznie propagowało zasadę, że tylko obszarnik i ksiądz stanowią realną siłę społeczną, tzw. inteligencję wiejską, zdolną do wyrwania chłopa z zacofania umysłowego i gospodarczego"? Historyk akcentując konflikty społeczne, klasowe na wsi oraz ich odzwierciedlenie w ruchu kółkowym nie ograniczył swych zainteresowań jedynie do tych ważkich spraw. Śledząc dzieje rozwoju aktywności chłopskiej poświęcił wiele uwagi gospodarczej i kulturalnej działalności kółek, zarówno tych spod znaków ziemiańsko — klerykalnych, jak staszicowskich i zaraniarskich. Wskazał przy tym, że „wśród członków kółek imienia S. Staszica każdy sukces ekonomiczny był dla chłopa tym droższy, że wypracowany samodzielnie, bez uciekania się do pomocy i łaski obszarnika lub księdza. Na tym właśnie polegała siła i indywidualność społeczna staszicowców, której zazdrościli im sąsiedzi i którą podziwiali liberałowie z kręgów inteligenckich, burżuazyjnych, a nawet ziemiańskich". Pozostające pod wpływem staszicowców i zaraniarzy kółka i szkoły rolnicze „kształciły wśród chłopów samodzielność, niezależność od kierownictwa i wpływów klas posiadających, krzewiły idee ludowładztwa i socjalizmu, przygotowując w ten sposób zastępy dobrych rolników, obywateli i bojowników ruchu ludowego". Trzeba o tym pamiętać.

LEKTOR

Śnić się nam będzie po nocach piękna Karelia. Śnić będziemy o tej krainie łagodnego północnego słońca, chłodnego blasku błękitnych jezior i kojącej ciszy uśpionych lasów. Śnić nam się będą głębokie oczy jezior, spoglądających z zadumą w przeczysty błękit nieba. Wyśnią nam się zatoki, wyspy, rzeki i ruczaje, wzgórza i wąwozy, wodospady i mokradła.

JACEK INDELAK

SAMPO—ZNACZY SZCZĘŚCIE

Tak nam zapowiada swoją piosenką Ludmiła Szmidej. Jej czysty i łagodny głos snuje urokliwą i poetycką opowieść o północnej krainie czterdziestu tysięcy jezior.

Z niepokojem śledziłem w radzieckiej prasie prognozy pogody. W Karelii zachmurzenie duże, ciągłe i ulewne deszcze, temperatura w ciągu dnia około dziesięciu stopni powyżej zera. Cóż, widocznie tak musi być: jesień już przecież! Kiedy wsiadaliśmy na moskiewskim dworcu w ekspresowy pociąg „Arktyka", nad Karelią wciąż kłębiły się deszczowe chmury.

A tu nagle, po szesnastogodzinnej podróży, wita nas Karelia ostrym jesiennym słońcem i chabrowym niebem, a jej stolica — Pietrozawodsk, kojącym spokojem i ciszą. Po moskiewskim deszczu i chłodzie, po wielotysięcznych tłumach jednego z największych miast świata — relaks i odpoczynek.

1.

Instalujemy się w zarezerwowanym pokoju największego w mieście hotelu „Północnego". Szybko rozpakowujemy bagaże, usuwamy ślady przeszło tysiąckilometrowej podróży. Szkoda dnia, którego zostało jeszcze kilka godzin. Szerokie i przestronne aleje, rozległe parki i skwery Pietrozawodska zachęcają do spaceru. Orzeł — reszka. W prawo? — w lewo?

Schodzimy szerokim trotuarem, opadającym łagodnie w stronę placu Lenina. Nazwa łatwa do odgadnięcia: w centralnej części placu wznosi się ogromny masyw pomnika wykonanego z szarego karelskiego granitu Jakże niskie i niepozorne wydają się otaczające plac cztery półkoliste budynki pokryte charakterystycznym dla carskich czasów żółtym tynkiem Zabudowania te pochodzą z osiemnastego stulecia, postawiono je na centralnym placu miasta, który jeszcze pół wieku temu nazywał się placem Okrągłym.

Z placu Lenina wybiega jedna z głównych arterii Pietrozawodska — prospekt Marksa W tym jej „wybieganiu" nie ma przesady: rzeczywiście obsadzona pięknymi drzewami aleja zdaje się zbiegać ze wzgórza prosto w połyskującą zachodzącym słońcem taflę jeziora Onega.

Mijamy po lewej stronie prospektu Marksa kilkupiętrowy budynek z fasadą oblicowaną czarnym kamieniem. Przyciągają uwagę przechodnia czerwone tablice przybite u wejścia do gmachu. Na tablicach dwujęzyczne napisy: rosyjskie i fińskie, oba są bowiem obowiązującymi w Karelii językami urzędowymi.

Wprawdzie pod względem liczby ludności jest Karelia trzydziestą którąś 7 częścią Polski, niemniej zajmuje powierzchnię większą niż połowa naszego kraju. Ale jej mieszkańcy nie lubią biurokracji. Nie lubią też tłoku. Stąd też wielkie przestrzenie, szerokie jezdnie i chodniki, obszerne place i duże sklepy W sklepach też nie ma tłoku. Nawet w jubilerskim. No cóż, nie dociera tu tysięczna część turystów, którzy zaludniają dzień w dzień inne europejskie miasta Związku Radzieckiego. Stąd też w największym domu towarowym „Pietrozawodska" — „Karelii" o każdej porze dnia można swobodnie się poruszać, załatwiając w parę minut spore nawet zakupy.

Do hotelu „Północnego" wracać można inną drogą. Na przykład zejść aż nad jezioro, wrzynające się łagodnie w ląd Pietrozawodską Zatoką. Zatrzymać się na chwilę na turystycznej przystani, u której nabrzeży kołyszą się przycumowane spacerowe statki i nowoczesne wodoloty. Widok stąd przepiękny na błękitną Onegę, której łagodne fale lśnią i różowią się w zachodzącym słońcu. Ogromna, pomarszczona tafla jeziora łączy się w przedwieczornej mgle z linią horyzontu. Tu i ówdzie zielenią się i żółcą jesienne drzewa, porastające większość rozlicznych wysp i wysepek, którymi poprzetykane jest gęsto lustro wody. Z przystani rozciąga się też wspaniały widok na miasto, opadające w jezioro na przestrzeni dwudziestu kilku kilometrów wybrzeża.

Można też wspiąć się pod górę drugą główną aleją karelskiej stolicy — prospektem Lenina. Można też wybrać drogę bardziej na lewo i trafić na drugi centralny plac Pietrozawodska — plac S. Kirowa z pomnikiem tego bliskiego współpracownika Lenina, który tak wiele uczynił dla Karelii i jej rozwoju gospodarczego i kulturalnego.

Plac Kirowa położony jest na wzgórzu, na którego zboczu wyrosła w 1773 roku najnowocześniejsza jak na owe czasy Aleksandrowska fabryka odlewniczo-zbrojeniowa. Nie wytwarza on już dziś armat, lecz znane na całym świecie traktory, przeznaczone przede wszystkim na potrzeby gospodarki leśnej i przemysłu drzewnego. Nie produkuje też dziś sprzętu zbrojeniowego najstarszy zakład przemysłowy Pietrozawodska — założona w 1703 roku przez cara Piotra I u ujścia rzeki Łososinki fabryka metalurgiczna od której bierze swoje początki historia miasta.

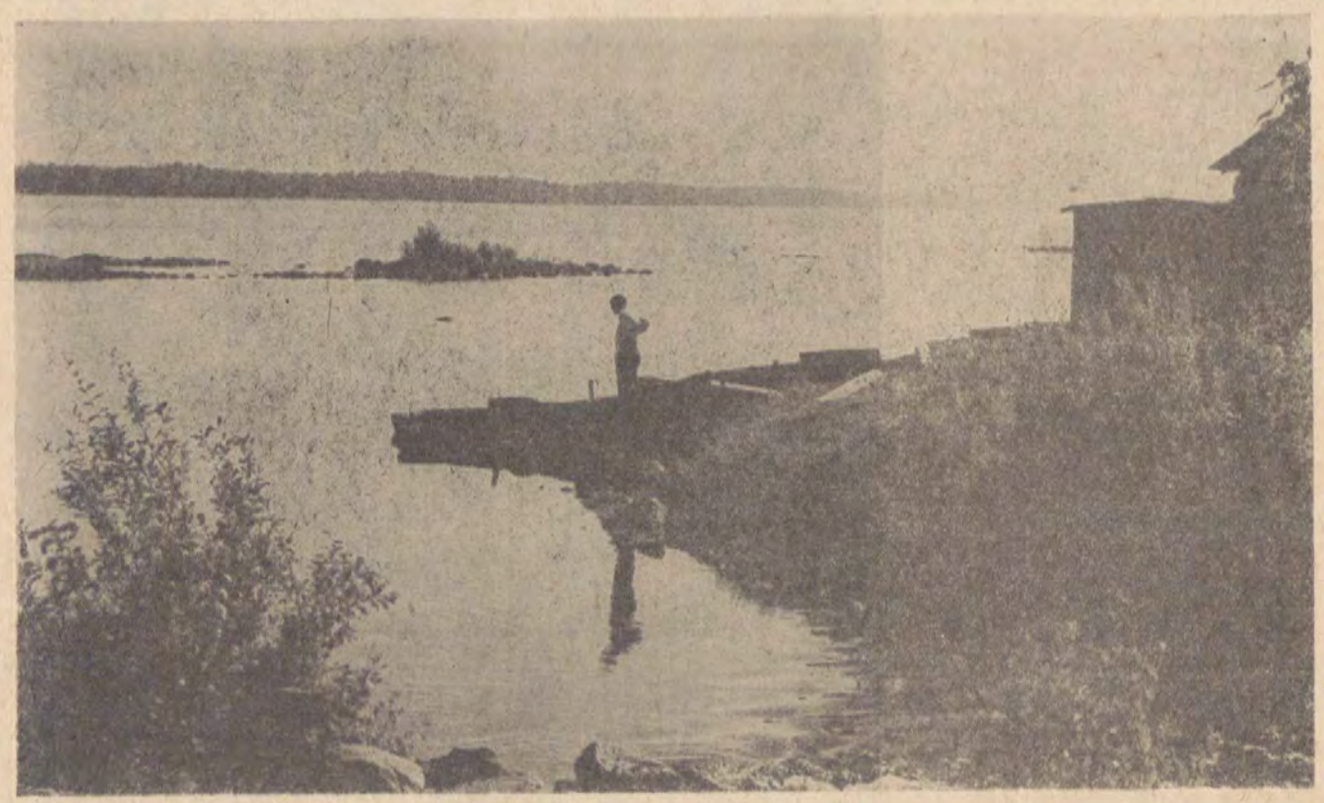

Z piotrowskiej wytwórni armat wywodzi się też cała historia karelskiego przemysłu. Dziś Pietrozawodsk — to przeszło 50 zakładów przemysłowych reprezentujących przemysł maszynowy i metalurgiczny, radiotechniczny i drzewny, lekki i spożywczy.

Pietrozawodsk jest jednak nie tylko przemysłowym centrum republiki, jest także jej głównym ośrodkiem kulturalnym. Działają tu filie leningradzkich wyższych uczelni, działa też Pietrozawodski Państwowy Uniwersytet im. O. W Kuusinena, karelskiego działacza komunistycznego

Plac Kirowa można by z powodzeniem nazwać placem Teatralnym, mieszczą się bowiem na nim aż cztery teatry: dwa dramatyczne, muzyczny i lalkowy. Najbardziej okazały jest rosyjski teatr dramatyczny, którego potężna bryła uformowana jest według typowych reguł radzieckiego neoklasycyzmu. Wzniesiony w kilkanaście lat później po drugiej stronie placu teatr fiński jest już na wskroś nowoczesnym obiektem architektonicznym.

— **Aż trudno uwierzyć** — mówi nam Luda — **że oba teatry zostały zaprojektowane przez tego samego architekta.**

Nowoczesny jest gmach teatru fińskiego. Na frontowej jego ścianie ogromny wizerunek jednego z bohaterów słynnego karelo-fińskiego eposu „Kalevala". Sam zresztą epos spisany został podobno w odległej od Pietrozawodska o niewiele ponad sto kilometrów wsi Kalevala nad jeziorem Kujto.

Legendarny kowal wykuwa na ścianie pietrozawodskiego teatru symbol szczęścia. Sampo — znaczy tu szczęście. Dwadzieścia kilka kilometrów na północ od miasta jest słynna nie tylko w Karelii góra Sampo — góra Szczęścia. Kto raz, głosi miejscowa legenda, postawił nogę na jej wierzchołku może być pewien, że to, co złe w jego życiu skończyło się już, od tego momentu szczęście już go nie opuści.

2.

Następnego dnia po śniadaniu, korzystając z pięknej słonecznej pogody, wyruszamy na poszukiwanie karelskiego szczęścia. Jedziemy na północ.

— **Jedziemy teraz** — śmieje się Luda — **najdroższą drogą** świata. Ta kostka na tej drodze to najrzadszy na świecie minerał, zwany popularnie szkoszyńskim porfirem od karelskiej wsi Szokszyn, której rejon jest jedynym w świecie miejscem występowania tego różowego, czy raczej malinowego, kwarco-piaskowca. Z minerału tego, tyle że szlifowanego i przez to piękniejszego, wykonana jest płyta grobu nieznanego żołnierza w Pietrozawodsku. Szokszyński porfir został wykorzystany również przy urządzaniu mogiły nieznanego żołnierza pod ścianą moskiewskiego Kremla.

Czym jest góra Sampo — trudno odgadnąć? Czy ogromnym pęcherzem zastygniętej magmy, wygładzonym i wypolerowanym przez wichry i deszcze? Czy też gigantycznym głazem narzutowym obciosanym w czasie trwającej setki lat wędrówki?

Nie pytaj szczęścia, skąd przychodzi — radzi przysłowie. Wdrapujemy się zatem po śliskiej skale, żeby osiągnąć wierzchołek Sampo, skąd — przepiękny widok na ukryte wśród lasu błękitne wody Konczjeziera, wrzynającego się w pagórkowatą, ostro poznaczoną skałami ziemię.

Szczęścia nigdy za wiele — mówi porzekadło. Rzucam więc ukradkiem, żeby żona nie widziała, w stronę jeziora dwudziestokopiejkówkę i dziesięciozłotówkę, po czym ześlizguję się w dół po skale.

Jedziemy dalej na północ równolegle do brzegu Konszjeziera. Z lewej strony coraz bardziej zbliża się do drogi, prześwitując tu i ówdzie między pagórkami, bliźniacze Ukszjezioro. Przedtem jeszcze mignęła nam za oknami samochodu piękna rzeka o niepięknej nazwie — Szuja, której imię pochodzi od fińskiego słowa „sua" — błota. Zostawiamy daleko za sobą wioskę o wdzięczniejszej już nazwie — Carewicze z śliczną maleńką białą kapliczką, w której podobno zwykł zatrzymywać się Piotr I, gdy jeździł tędy do uzdrowiska w Marcjalnych Wodach.

Jedziemy, a oba jeziora coraz bliżej drogi. Kiedy wjeżdżamy do wsi Kosałma, Konczjeziero od Ukszjeziera oddziela już tylko kilkunastometrowy rwący ruczaj, którym przelewają się wody jednego jeziora do drugiego.

— **Luda, nie patrz na zegarek. Zdążymy przecież, a tutaj tak pięknie.**

Zatrzymujemy się w Kosałmie. Oba jeziora z maleńkimi wysepkami, kolorowe ściany liściastych lasów, ruczaj wijący się między głazami, chałupiny z drewnianymi ścianami pokolorowanymi roślinną farbą i rzeźbionymi ramami okiennymi, suszące się w słońcu rybackie sieci, uwiązana na lince stara łódka. I cisza. Przerywana tylko śpiewem i świergotem nieznanych ptaków.

Trudno się dziwić słynnemu uczonemu, językoznawcy, F. Fortunatowi, że przyjeżdżał tu z Petersburga na odpoczynek rokrocznie za życia; prosił by po śmierci pochowano jego ciało właśnie w Kosałmie. Prośba ta została spełniona.

Ruszamy dalej. Przed nami tylko jeszcze wieś Dworce, czyli Pałace z uzdrowiskiem Marcjalnyje, czyli Marsowe Wody.

3.

Tu właśnie w 1719 roku otwarte zostało pierwsze rosyjskie uzdrowisko, które powstało dzięki odkryciu, jakiego dokonał pięć lat wcześniej karelski chłop — Iwan Ribojew. Pracował on jako wozak, dostarczający do wsi Dworce, w której stacjonowali podczas wojny północnej rosyjscy żołnierze, wodę do picia, drewno na opał, żywność, materiały budowlane i inne potrzebne im przedmioty. Ribojew cierpiał na różne dolegliwości, które nasiliły mu się od ciężkiej pracy. Pewnego jednak dnia odkrył w lesie pod Dworcami źródło, z którego kilkakrotnie czerpał wodę do picia. Woda była wprawdzie nie najsmaczniejsza, ale w szybki i skuteczny sposób poprawiała stan jego zdrowia.

Podleczywszy się trochę, Iwan Ribojew powiadomił o swoim odkryciu Holendra, pozostającego w carskiej służbie, niejakiego Genina, który sprawował wówczas funkcję dyrektora sześciu zakładów odlewniczych założonych przez Piotra I w Karelii. Genin — nie w ciemię bity — wiedział, że car przykazał wszystkim swoim specjalistom poszukiwać źródeł wód mineralnych. Sprowadzanie ich bowiem z zagranicy było tak kosztowne, jak i uciążliwe. Genin — nie w ciemię bity po raz wtóry — przypisał, rzecz jasna, odkrycie sobie. Piotr I wynagrodził go za to szczodrze, ofiarowując mu swój miniaturowy portrecik na złotym łańcuchu, oprawiony w złoto wysadzane brylantami, a do tego dorzucił jeszcze sześćset rubli w złocie.

Genin zaś odpalił jednego złotego rubla Ribojewowi za milczenie i w pięć lat później, kiedy kurort gotowy był już do przyjęcia wysoko urodzonych pacjentów, kazał odlać tablicę pamiątkową, obwieszczającą światu, że on właśnie jest odkrywcą pierwszych rosyjskich wód mineralnych. Tablica ta zachowała się do dnia dzisiejszego i oglądać ją można u wejścia do małego drewnianego muzeum historii uzdrowiska.

Zachowała się także do naszych czasów pieczołowicie pielęgnowana cerkiewka pod wezwaniem św. Piotra, którą wzniesiono tu w 1721 roku, według projektu własnoręcznie opracowanego przez Piotra I. Ołtarz cerkwi zdobi dwurzędowy ikonostas wykonany przez nadwornych — włoskich, francuskich i rosyjskich artystów, w którym poczesne miejsce zajmuje wizerunek Jezusa Chrystusa z twarzą... Piotra Wielkiego. W cerkiewce stoją przed ołtarzem dwa drewniane, metrowej wysokości świeczniki, również własnoręcznie wykonane przez cara Piotra I.

Stąd, z tej cerkwi Piotr I wraz ze swoją świtą podążał drewnianymi schodami w dół wsi, gdzie tryskało zdrowotne źródło. I gdzie tryska do tej pory. Próbuję wody: ma dziwny smak zardzewiałego wiadra.

— **Tak, ale ma zbawienny wpływ na organizm człowieka. Reguluje trawienie, poprawia apetyt, usprawnia przemianę materii, polepsza krążenie krwi** — wylicza Luda — **ma szerokie zastosowanie przy schorzeniach układu oddechowego, dolegliwościach wątroby i nerek... A tak w sumie, jak głosi miejscowy przekaz, dzięki tej wodzie mężczyźni stają się bardziej męscy, a kobiety piękniejsze i młodsze...**

Z wykładu Ludmiły śmieje się kilka kuracjuszek, które przyszły, aby wypić przepisaną porcję wody. Są to kijowskie robotnice — mieszkanki sanatorium „Marcjalnyje Wody". Sanatorium to — na 240 miejsc — wzniesione zostało przed jedenastoma laty, kiedy to po dwustu przeszło latach reaktywowana została działalność kurortu. Po śmierci Piotra I bowiem uzdrowisko podupadło: nie za bardzo miał się kto nim opiekować, a chętnych na leczenie nie było wielu, gdyż stąd do Petersburga było około siedmiuset kilometrów.

Plany rozbudowy uzdrowiska i sanatorium są rozległe.

— Ciekawe — (żartuje) — czy daleko odbiegną one od projektów Piotra Wielkiego, zwłaszcza w zakresie działalności medycznej... Gdyż to Piotr I spreparował własnoręcznie regulamin kurortowy, który zalecał pacjentom wypicie przed każdym posiłkiem kieliszka wódki, a po posiłku szklanki dobrego francuskiego wina, w razie zaś jego braku — strzelenia sobie drugiego kieliszka wódki. Bez tych zabiegów terapeutycznych, jak stwierdzał car, kuracja nie odniesie pożądanego skutku, co przeczytać sobie można w jednej z gablot tutejszego muzeum...

Śnić się będzie Karelia...

ZDJĘCIA AUTORA

W ROCZNICĘ WIELKICH WYDARZEŃ

27 i 28 października 1975 r. w salach Pałacu Staszica w Warszawie odbyła się międzynarodowa sesja naukowa w związku z siedemdziesiątą rocznicą Rewolucji 1905—1907 r., zorganizowana przez: Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Instytut Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR oraz Wydział Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Pierwszego dnia obrad na sesję przybyli: członek Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa — prof. dr **Henryk Jabłoński**, członek Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczący CRZZ — **Władysław Kruczek**, sekretarz KC PZPR — **Andrzej Werblan**, kierownicy Wydziałów KC PZPR: Nauki i Oświaty — prof. dr **Jarema Maciszewski** oraz Pracy Ideowo-Wychowawczej — **Wiesław Klimczak** oraz wiceminister Obrony Narodowej — gen. broni **Włodzimierz Sawczuk**. W obradach sesji wzięło udział kilkuset historyków z Polski, Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przed południem 27 października obradom plenarnym przewodniczył prezes Polskiej Akademii Nauk — prof. dr **Włodzimierz Trzebiatowski**.

Pierwszy referat plenarny przedstawił prof. dr. **Stanisław Kalabiński** z Instytutu Historii PAN. Mówił on o **„Społeczeństwie polskim wobec Rewolucji 1905—1907 r.”**, w szczególności zaś w jego referacie chodziło o stosunek różnych klas polskiego społeczeństwa do rewolucji oraz o to, jakie było miejsce wydarzeń rewolucyjnych lat 1905—1907 w dziejach narodu polskiego, w historii i tradycjach polskiej klasy robotniczej i polskiego ruchu robotniczego. **„Przez ponad 40 lat po upadku powstania styczniowego 1863 r. nie było w naszym kraju żadnego masowego ruchu antycarskiego — prócz walki klasy robotniczej”** podkreślał S. Kalabiński. **„I oto** — mówił dalej referent — **w ciągu zaledwie paru tygodni od zainicjowanego przez proletariat rosyjski w Petersburgu 22 stycznia 1905 r. wybuchu rewolucyjnego do otwartej walki z absolutyzmem carskim stanęła klasa robotnicza Królestwa Polskiego, a w ślad za nią wszystkie warstwy ludowe i szerokie kręgi demokratyczne naszego społeczeństwa: milionowe masy chłopskie, liczne grupy inteligencji oraz cała prawie młodzież szkolna, gimnazjalna i akademicka. Nie było przed 1905 r. w dziejach Polski ruchu wyzwoleńczego i politycznego, który by objął tak nieprzebrane masy, a żadne z powstań narodowych XIX wieku nie skupiło pod swym sztandarem tylu setek tysięcy ludzi”.**

Kolejny referat, przedstawiony przez prof. dr **Janusza W. Gołębiowskiego** z Instytutu Ruchu Robotniczego WSNS przy KC PZPR opatrzony tytułem: **„Leninowska teoria rewolucji a współczesność”** dotyczył problemów wartości doświadczeń rewolucji 1905—1907 r. jako wydarzenia, które zapoczątkowało **„nowy etap w dziejach całego świata — etap politycznych wstrząsów i rewolucyjnych bitew”**. Teoretycznego uogólnienia doświadczeń rewolucji 1905—1907 r. dokonał Włodzimierz I. Lenin: w oparciu o wszechstronną analizę wydarzeń Lenin — podkreślał referat — **„gruntownie opracował następujące prawidłowości ogólne nurtu rewolucyjnego: tezę o hegemonii proletariatu w rewolucji demokratycznej; o przesłankach i konieczności kryzysu rewolucyjnego dla zdobycia władzy politycznej przez masy pracujące; o przerastaniu rewolucji demokratycznej w socjalistyczną; o rewolucyjno-demokratycznej dyktaturze proletariatu i chłopstwa; o radach jako organach powstania zbrojnego, organach rewolucyjnej władzy ludu”**. Ta leninowska teoria rewolucji, stanowiąca uogólnienie doświadczeń rosyjskich, stała się zarazem — powiadał J. W. Gołębiowski — **„klasyczną koncepcją uniwersalną, wytyczającą kierunek rozwoju myśli rewolucyjnej i drogę praktyki rewolucyjnej dla całej epoki historycznej”**. W rozważaniach referenta, który daleko wykroczył poza problematykę historyczną, wiele miejsca zajęło zagadnienie znaczenia leninowskiej teorii rewolucji dla współczesnej praktyki politycznej w świecie, w szczególności dla strategii i taktyki ruchu komunistycznego. J. W. Gołębiowski kończył swoje rozważania stwierdzeniem:

„Rzeczywista, żywa, nie zwulgaryzowana przez dogmatyzm więź leninowskiej teorii rewolucji socjalistycznej ze współczesnością realizuje się poprzez twórczy rozwój tej teorii, przez twórcze jej stosowanie do warunków obecnego etapu epoki przejścia od kapitalizmu do socjalizmu”.

Referat doc. dr **Anny Żarnowskiej** z Uniwersytetu Warszawskiego dotyczył problematyki historycznej: autorka przedstawiała w nim obraz **„Klasy robotniczej Królestwa Polskiego w Rewolucji 1905—1907 r.”** Ukazując w oparciu o obficie cytowane przekazy źródłowe, że klasa robotnicza dźwigała na swych barkach główny ciężar walki z caratem, że wzięła w niej najszerszy udział, referentka zwróciła uwagę, że miało to istotne znaczenie dla charakteru społecznego wydarzeń, skoro przykład klasy robotniczej oddziaływał na warstwy i grupy pośrednie, w szczególności na inteligencję i drobnomieszczaństwo. **„W szerokiej opinii publicznej** — mówiła A. Żarnowska — **nie tylko w fazie wstępującej ale również w okresie załamywania się rewolucji, coraz wyraźniej dawał się zaobserwować wzrost roli klasy robotniczej w hierarchii prestiżu społecznego, sprzyjając w przyszłości objęciu przez klasę robotniczą kierownictwa w ogólnonarodowej walce wyzwoleńczej”.**

Ostatni referat plenarny przedstawił prof. **Piotr Rodionow**, I zastępca dyrektora Instytutu Marksizmu — Leninizmu przy KC KPZR: radziecki uczony mówił o **„Międzynarodowym znaczeniu pierwszej rewolucji rosyjskiej”**, uzasadniając tezę o tym, że walki 1905—1907 r. w Rosji stanowiły **„pierwszą burżuazyjno-demokratyczną rewolucję epoki imperializmu”**. Referent wskazywał: **„Burza rewolucji, która wybuchła w 1905 roku, choć nie doprowadziła do upadku absolutyzmu, odbiła się szerokim echem w całym świecie. Właśnie ta rewolucja stanowi początek nowego etapu w walce narodów Europy i Azji z uciskiem społecznym i ekonomicznym. Najbardziej charakterystyczną cechą rewolucji 1905—1907 r. było to, że rolę głównej siły napędowej, przywódcy i hegemona odgrywała klasa robotnicza, a jej rewolucyjnym sojusznikiem były wielomilionowe rzesze chłopów”. Na zakończenie swych rozważań radziecki gość zwrócił uwagę na aktualne znaczenie doświadczeń rewolucji 1905—1907 r., uogólnionych przez W. I. Lenina „dla walki mas pracujących o demokrację i socjalizm na współczesnym etapie”.**

Popołudnie 27 października i przedpołudnie dnia następnego wypełniły obrady w sekcjach, mianowicie w sekcji historii rewolucji i strategii międzynarodowego ruchu robotniczego. Międzynarodowa sesja naukowa, zorganizowana w siedemdziesięciolecie Rewolucji 1905—1907 r. była ważnym wydarzeniem w polskim życiu naukowym.

K. B.

MARIAN HENRYK SEREJSKI

28 października 1975 r. na warszawskim Cmentarzu Powązkowskim odprowadziliśmy w ostatnią drogę Uczonego-Humanistę, Historyka i Profesora, któremu dane było wnieść poczesny osobisty wkład do polskiej kultury narodowej: Mariana Henryka Serejskiego. Urodzony 3 maja 1897 r., w młodości związany z ruchem socjalistycznym, pow taniec śląski, przed wojną docent Uniwersytetu Warszawskiego, w Polsce Ludowej wieloletni profesor Uniwersytetu Łódzkiego i Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, był M. H. Serejski uczonym o niezwykle silnej indywidualności i niezmiernie szerokiej skali zainteresowań.

Swoją aktywność badacza — historyka rozpoczynał od historii starożytnej, uformował się w szkole wielkiego swego mistrza, Marcelego Handelsmana, jako badacz czasów merowińskich, którym poświęcił swą pracę doktorską (1925), i karolińskich. Jego rozprawa habilitacyjna, książka o „Idei jedności karolińskiej” została opublikowana w 1937 r. Kiedy w zagranicznych czasopismach naukowych ukazywały się pochlebne recenzje z tej książki, jej Autor znajdował się za drutami obozu w Oświęcimiu. Przetrwał czas najgorszy i jeszcze w Lublinie stanął do pracy nad odbudową polskiej nauki historycznej w wyzwolonej Ojczyźnie.

Przez ponad dwadzieścia lat był M. H. Serejski profesorem w Uniwersytecie Łódzkim, pełnił obowiązki kierownika katedry, dziekana Wydziału, członka Senatu Uczelni i inne, odpowiedzialne funkcje. Z utworzeniem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk został jego profesorem i kierownikiem Zakładu Historii Historiografii. Rozwijał wszechstronną aktywność badawczą, organizatorską i pedagogiczną, kierował pracami zespołowymi, prowadził wykłady i seminaria, kształtował młodych pracowników nauki. Mediewistyka, której poświęcał się przed wojną, stopniowo jęła się usuwać na dalszy plan w zainteresowaniach i pracach Profesora. Na pierwszym po odzyskaniu niepodległości Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich, w polskim Wrocławiu, przedstawił Profesor programowy referat o potrzebie i metodach badań nad dziejami historiografii. Inicjował tym w polskiej nauce historycznej nowy kierunek badawczy, który za Jego sprawą coraz silniej zaznaczy się w naszym dziejopisarstwie.

M. H. Serejski uczynił na polu badań historiograficznych najwięcej. Zaprezentował zarys całościowego obrazu dziejów historiografii polskiej w czasach nowożytnych w postaci dwutomowego, znakomitego skryptu, który powstał z wykładów w Uniwersytecie Łódzkim, opracował bądź scharakteryzował główne kierunki rozwoju polskiego dziejopisarstwa od XVIII do XX wieku. Poświęcił liczne prace dziejopisarskiemu kierunkowi, związanemu z imieniem Joachima Lelewela: studia analityczne i ujęcia całościowe (1953, 1961), monografię o koncepcji historii powszechnej w twórczości wielkiego historyka (1958). Stanął na czele Komitetu, przygotowującego reedycję najważniejszych prac J. Lelewela, inicjował i organizował naukowe konferencje o tematyce lelewelowskiej. Pisał o historiografii polskiego Oświecenia i Romantyzmu, osobną książkę poświęcił liberalnej historiografii okresu międzypowstaniowego (1953), badał dziejopisarstwo warszawskiego pozytywizmu (1952, 1952) i historiografię szkoły krakowskiej (1969), a także naukę historyczną początków XX wieku.

Wydawał pisma wielkich historyków polskich: J. Lelewela, W. Smoleńskiego, T. Korzona, M. Bobrzyńskiego, opublikował dwutomową antologię wypowiedzi polskich uczonych od XVIII do XX w. o historii (1963, 1966). Dorobek Profesora w zakresie badań historiograficznych jest ogromny, intelektualnie żywy, zapładniający nowymi ideami, ukazujący nowe problemy do rozwiązania. Był bowiem M. H. Serejski jako Uczony — Humanista i Wychowawca Profesorem szczególnym: obdarzony ogromnym zmysłem syntezy domagał się szerokiego, porównawczego ujmowania badanych zjawisk, prowadził bezustanny, wciąż otwarty dialog ze świadectwami przeszłości, o sprawach które wycisnęły istotne piętno na kształtach przeszłości i współczesnym świecie. Te cechy jego umysłowości wystąpiły nad wyraz jasno w dwóch książkach: w dziele „Europa a rozbiory Polski. Studium historiograficzne” (1970) oraz w syntetycznej książce: „Naród a państwo w polskiej myśli historycznej” (1973), w pracach które spotkały się z żywym zainteresowaniem i przyniosły Autorowi nagrody i wyróżnienia, również zagraniczne. W badaniach M. H. Serejskiego chodziło bowiem o sprawy najważniejsze: o rolę historycznego myślenia w życiu społecznym, o jego znaczenie dla polskiego życia narodowego, o miejsce historii w polskiej kulturze, w polskiej świadomości narodowej. Chodziło Profesorowi wreszcie o nasze miejsce w świecie, tak jak widziała je nasza własna i obca refleksja historyczna. Historia, taka jaką uprawiał i umiłował, nie była kolekcjonowaniem faktów, ale aktywną, bezustanną refleksją nad stawaniem się dziejów i uwikłaniem w nie człowieka myślącego.

Był jednym z najwybitniejszych historyków polskich, jednym z najznakomitszych, którzy przez długi czas pracowali w naszym mieście. Zmarł w Warszawie 23 października 1975 r.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Z rektorem Politechniki Łódzkiej prof. dr hab. EDWARDEM GALASEM rozmawia Paweł Patora.

BLIŻEJ POTRZEB

Podczas odbytego w dniu 29 września br. w Warszawie spotkania kierownictwa partii i państwa z naukowcami, reprezentującymi wszystkie krajowe ośrodki naukowo-badawcze, omawiano rolę nauki i techniki w dziele przyspieszenia społeczno-gospodarczego rozwoju Polski. Podstawowa teza zawarta już w Wytycznych na VII Zjazd PZPR, a potwierdzona i rozszerzona przez uczestników spotkania, to konieczność ścisłego zespolenia nauki i techniki z gospodarką narodową. Przed środowiskiem naukowym stoją więc trudne i odpowiedzialne zadania: intensyfikacja badań naukowych na miarę potrzeb wynikających z zakładanego przyspieszonego rozwoju gospodarki narodowej oraz doskonalenie kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr dla wszystkich działów gospodarki.

O sposobach realizacji tych zadań w Politechnice Łódzkiej rozmawiamy z rektorem, prof. dr hab. **EDWARDEM GALASEM.**

— Panie Rektorze, jak będzie realizowana w Politechnice Łódzkiej idea zacieśnienia więzi z gospodarką narodową?

— Nasza uczelnia od wielu lat ściśle współpracuje z wieloma placówkami gospodarczymi, głównie przemysłowymi. W roku 1974 wartość prac wykonanych w Politechnice dla potrzeb gospodarki narodowej wyniosła 102 miliony złotych, z czego 21 milionów przypada na prace prowadzone w ramach problemów węzłowych. Łączna wartość wykonanych prac jest ponad 2-krotnie wyższa niż w roku 1971. Możliwości uczelni są jednak znacznie większe. Zakładamy, że pod koniec nowej pięciolatki wykonywać będziemy prace dla potrzeb gospodarki o wartości 240 milionów złotych, przy czym udział wartości prac z problematyki węzłowej, w całkowitej wartości prac wykonanych dla gospodarki narodowej, chcemy zwiększyć do 50—60 proc.

— Jakie kierunki badań naukowych będą dominowały w uczelni?

— Głównie te, które mają swoje centra naukowe w Łodzi lub związane są z dominującymi w okręgu łódzkim gałęziami przemysłu. Zamierzamy dokonać koncentracji całego potencjału uczelni wokół kilku uczelnianych programów badawczych obejmujących takie kierunki, jak włókiennictwo i maszyny włókiennicze, technologia żywności i maszyny przemysłu spożywczego, budownictwo mieszkaniowe, ochrona środowiska, problemy Bełchatowskiego Zagłębia Paliwowo-Energetycznego, papiernictwo i maszyny papiernicze, transformatory, maszyny i aparaty elektryczne. Przygotowujemy się też do podjęcia prac naukowo-badawczych i kształcenia kadry dla potrzeb powstającego w Łodzi Kombinatu Hydrauliki Siłowej. Przy wyborze tych kierunków, które będą charakteryzować swoistą specjalizację uczelni, kierowaliśmy się z jednej strony potrzebami gospodarki narodowej, w tym głównie potrzebami makroregionu łódzkiego, z drugiej strony możliwościami kadry naukowej PŁ w poszczególnych dziedzinach nauki. W ramach wymienionych programów uczelnianych zamierzamy prowadzić badania kompleksowe, interdyscyplinarne, z udziałem specjalistów reprezentujących różne instytuty i wydziały Politechniki.

— Z wypowiedzi tej można wnioskować, że zaspokajanie potrzeb gospodarki narodowej stanowi nadrzędny cel w planach działania uczelni. Czy poczyniono już jakieś kroki zmierzające do skoordynowania uczelnianych programów badawczych z potrzebami przemysłu oraz zapewnienia praktycznego wykorzystania wykonanych w uczelni prac?

— Oczywiście tak. W ramach opracowanego w PŁ planu badań naukowych na lata 1976—80 instytuty Politechniki zgłosiły udział w siedmiu programach rządowych i w dwudziestu dwóch problemach węzłowych. Czynimy obecnie starania, aby nasze propozycje zostały przyjęte przez koordynatorów i wkomponowane w programy rządowe i problemy wezłowe. Ponadto zawieramy umowy mające na celu zacieśnienie więzów łączących uczelnię z przemysłem. We wrześniu br. podpisaliśmy umowę z elektrownią w Bełchatowie, a w październiku z kopalnią. 4 października została zawarta umowa z wojewodą piotrkowskim, a nieco później z Fabryką Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”. Są już daleko zaawansowane prace nad zawarciem umowy między Politechniką Łódzką i Zjednoczeniem Przemysłu Elektronicznego „Unitra”. W porozumieniu tym przewiduje się współpracę PŁ z zakładami przemysłu elektronicznego na terenie Łodzi i okręgu łódzkiego, a w szczególności z Zakładami Radiotechnicznymi „Fonica” w Łodzi. Chcemy wydatnie przyczynić się do stworzenia podstaw rozwoju łódzkiego przemysłu elektronicznego. W przygotowaniu jest także umowa z resortem przemysłu ciężkiego.

— Panie Rektorze, program rozwoju PŁ w najbliższych latach zakłada koncentrację całego potencjału uczelni wokół wymienionych przez Pana wiodących kierunków badań. Jakie inne działania, obok zapobiegania rozproszeniu środków, podejmowane są dla zapewnienia właściwej realizacji ambitnych zamierzeń naukowych uczelni?

— Planujemy dokonanie istotnych zmian w strukturze organizacyjnej uczelni oraz w systemie zarządzania uczelnią. Wprowadziliśmy dwuszczeblowy system kierowania działalnością naukową: rektor — dyrektor instytutu. Chcemy też podnieść rangę instytutów. Doskonalenie struktury organizacyjnej uczelni będzie prowadzone stopniowo, począwszy od bieżącego roku akademickiego.

Nadal będziemy dążyć do poprawy wyposażenia nowych laboratoriów i hal technologicznych w nowoczesną aparaturę. W tym celu powołaliśmy już Wydział Doświadczalny, który powinien być w niedalekiej przyszłości rozwinięty w Zakład Doświadczalny Aparatury Naukowej. Szczególną wagę będziemy przywiązywać do wyposażenia w wysokiej jakości aparaturę tych dyscyplin, które stanowią podstawę nowoczesnej nauki i techniki, tj. fizyki, elektroniki, informatyki itp.

Będziemy też tworzyć warunki sprzyjające szybszemu niż dotychczas rozwojowi wysoko kwalifikowanej kadry naukowej.

Oczywiście, wymieniłem tu tylko niektóre zamierzenia wynikające z przyjętego do realizacji pięcioletniego planu rozwoju uczelni.

— Jakie są zamierzenia Politechniki w zakresie pracy dydaktycznej w świetle Wytycznych na VII Zjazd PZPR, podkreślające konieczność dostosowania form kształcenia do nowych zadań dynamicznie rozwijającej się gospodarki?

— Nowoczesne kształcenie studentów winno być oparte na gruntownym przygotowaniu matematyczno-fizycznym oraz na rozszerzeniu pracy własnej studenta podczas ćwiczeń i seminariów, w laboratoriach i salach projektowych. Chcemy je realizować przy pomocy nowoczesnych środków technicznych, tj. z wykorzystaniem najnowszej aparatury naukowej, komputerów i in. W zakresie metod nauczania należy odchodzić od tradycyjnych wykładów na rzecz wykładów monograficznych, kształcących umiejetności formułowania problemów znajdowania metod ich rozwiązania oraz technikę poszukiwania koncepcji. Rzecz zrozumiała, że tak pojęte kształcenie studentów wymaga odejścia od kształcenia wąskospecjalistycznego. Absolwenci naszej uczelni muszą być specjalistami o szerokim profilu wiedzy i zainteresowań.

Wychodząc naprzeciw potrzebom makroregionu łódzkiego wprowadzamy nowe kierunki i specjalności studiów. W bieżącym roku akademickim po raz pierwszy przyjęliśmy studentów na specjalność „matematyka stosowana” w ramach kierunku „podstawowe problemy techniki”. W tym roku uruchomiliśmy też nowy kierunek studiów — elektronikę ze specjalnością „aparatura elektroniczna”. Na nowo uruchomionych specjalnościach rozpoczęło studia 50 studentów.

W przyszłości planujemy powołanie Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej, realizującego nowoczesne kształcenie inżynierów-fizyków i inżynierów-matematyków. Utworzymy też Instytut Architektury na prawach wydziału oraz Instytut Informatyki.

— Każdy śmiały plan realizuje się drogą pokonywania licznych przeszkód. Z jakimi trudnościami należy się liczyć przy wprowadzaniu w życie planu rozwoju Politechniki Łódzkiej?

— Podstawową naszą bolączką jest kryzys powierzchni użytkowych w instytutach naukowo-dydaktycznych. Obecnie PŁ kształci 13.620 studentów i zatrudnia ponad 3.600 pracowników. Baza lokalowa, jaką obecnie dysponujemy nie jest dostosowana do pracy tak dużej liczby osób. Plany inwestycyjne Politechniki przewidują rozbudowę w pierwszej kolejności Wydziału Mechanicznego, a następnie Wydziałów: Włókienniczego, Chemicznego, Instytutu Techniki Radiacyjnej i innych. Trwają już prace przy budowie nowych obiektów dla Wydziału Chemii Spożywczej (inwestycja ta niedługo już zostanie przekazana uczelni) oraz Instytutu Papiernictwa. W bieżącym roku rozpoczęto też budowę gmachu dla Wydziału Elektrycznego. Terminowe przekazywanie tych inwestycji jest dla nas sprawą pierwszej wagi wobec planowanego, podyktowanego potrzebami przemysłu, wzrostu liczby studentów PŁ do 17.500 w roku 1990. Liczymy się również z innymi trudnościami, ale wierzę, że Politechnika Łódzka, która posiada kadrę naukowców o wysokich kwalifikacjach, liczną rzeszę ofiarnych pracowników i szeroki krąg przyjaciół, z powodzeniem pokona wszystkie przeciwności.

DOKUMENT

Publikujemy fragmenty książki Jacques Sadoula — „Notes sur la Revolution Bolchevique" („Zapiski o Rewolucji Bolszewickiej", Paryż, 1971). Jest to zbiór listów, które autor pisał chodząc gorącymi śladami Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i które wysyłał do swoich przyjaciół i różnych działaczy politycznych i społecznych we Francji. Książka J. Sadoula, prawnika z wykształcenia, członka Francuskiej Partii Socjalistycznej, która ukazała się po raz pierwszy w 1919 roku i już od dawna stała się bibliograficzną rzadkością, została wydana powtórnie w 1971 roku w Paryżu.

Jacques Sadoul, wówczas w stopniu kapitana, przyjechał 1 października 1917 roku, wraz z francuską misją wojskową, do Piotrogrodu. Po Rewolucji pozostał w ZSRR. Został przyjęty do francuskiej sekcji RKP (b) i ochotniczo wstąpił do Armii Czerwonej. Francuski sąd wojskowy skazał go zaocznie na karę śmierci. W 1924 roku powrócił nielegalnie do Francji i został niebawem aresztowany. W 1925 roku stanął przed sądem i został uniewinniony. Odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Od 1932 roku był krespondentem „Izwiestii" w Paryżu. Więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Zmarł w 1956 roku.

RELACJA JACQUES SADOULA

PIOTROGRÓD 2—15 PAŹDZIERNIKA 1917 ROKU

Przyjechałem do Piotrogrodu 1 października. Po pięciu dniach wysłano mnie z misją do Archangielska; przedwczoraj wróciłem. Po krótkim dwutygodniowym pobycie w stolicy postanowiłem skreślić do pana tych kilka pośpiesznych wierszy, tak po przyjacielsku, nie zamierzając bynajmniej zaproponować panu sensacyjnego wywiadu. Nie spotkałem się dotąd z działaczami politycznymi, z którymi powinienem był nawiązać kontakt.

Tymczasem w drodze do Archangielska i w samym Piotrogrodzie udało mi się porozmawiać, osobiście i z pomocą tłumacza, z około pięćdziesięcioma żołnierzami, robotnikami, kupcami itd., a najważniejsze, że już 15 dni oddycham rosyjskim powietrzem. Ulica, tramwaj, rosyjska rodzina, u której mieszkam, są wspaniałym obiektem do obserwacji nasuwających wiele odkrywczych myśli dla bezstronnego umysłu.

Pierwszy i podstawowy wniosek (pragnę bardzo, żeby w przyszłości nic go nie obaliło): ogólne dążenie do natychmiastowego ustanowienia pokoju za wszelką cenę. Wszyscy Rosjanie, z którymi się spotkałem, bez wyjątku, zgadzają się w tym z bolszewikami.

To, że naród rosyjski w swojej masie odczuwa odrazę i nienawiść do wojny i pragnie pokoju, to, że w rewolucji dojrzał on najbardziej słuszną drogę do osiągnięcia pokoju — wszystko to jest dla mnie niezaprzeczalnie oczywiste. Odmiennego zdania, jak wiadomo, są przedstawiciele sojuszników. Jeśli tego nie rozumieją, to tylko dlatego, że zrozumieć tego nie chcą.

PIOTROGRÓD 25 PAŹDZIERNIKA/ 7 LISTOPADA 1917 ROKU

Dzisiejszej nocy bolszewicy przeszli do ofensywy. W pokoju dochodziły mnie odgłosy dalekich wystrzałów. Do rana wszystko ucichło: w hotelu „Astoria", gdzie mieszka kilkuset rosyjskich oficerów i większość oficerów misji sojuszniczych i wierni Rządowi Tymczasowemu junkrzy, posterunki objął oddział bolszewików.

Z godziny na godzinę dowiadujemy się, że dworce, Bank Państwowy, telegraf, stacja telefoniczna, większość ministerstw przeszły w ręce powstańców. Co robią wojska rządowe?

Kiedy przecinam Plac Mariinski z okien „Astorii" pada kilka wystrzałów karabinowych: strzelają do strażników Pałacu. Przyśpieszam kroku. Strzelanina trwa z przerwami. Na godzinę czwartą mam wyznaczone spotkanie z sekretarzem rady ministrów Halperinem, który ma mnie przedstawić Kiereńskiemu; pańskiego listu jeszcze mu nie doręczyłem. Jednakże Pałac Zimowy otaczają bolszewicy i, jak sądzę, przewodniczący Rządu Tymczasowego ma inne sprawy do załatwienia poza spotkaniem ze mną. Ja także.

Wszystkich skrzyżowań strzegą czerwonogwardziści. Patrole chodzą jeden po drugim, z dużą szybkością przejeżdża kilka opancerzonych samochodów. Słychać pojedyncze wystrzały. Przy pierwszych odgłosach strzelaniny przechodnie pierzchają, kładą się na jezdni, przyciskają do murów, cisną się do bram. Ale ciekawość przezwycięża strach i ulice znów są pełne ludzi.

Przed gmachem Smolnego rozlokowały się oddziały Gwardii Czerwonej i wojsk regularnych, chroniące Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. W ogrodzie stoją opancerzone samochody, miedzy kolumnami fasady — kilka dział. Wejście do gmachu zagradzają wartownicy. Pomaga mi zwłaszcza nieznajomość języka rosyjskiego: towarzysz wartownik mięknie i wchodzę do Smolnego.

Instytut Smolny — długi, niczym nie zwracający uwagi budynek, zbudowany w końcu XVIII stulecia — przy starym reżimie był czymś w rodzaju liceum dla panienek z arystokratycznych rodzin. Jego przestronne korytarze są zatłoczone tryumfującymi ludźmi — bolszewickimi aktywistami i żołnierzami. Nie udaje mi się znaleźć ani Dana, ani Czernowa, który opuścił Piotrogród. Podobnie jak Cereteli, uciekł przerażony burzą. Ale udaje mi się szybko

Dalszy ciąg na str. 8

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (V)

ANDRZEJ BLAJER

„AGRESJA ROZPOCZNIE SIĘ..."

Sierpień 1939 roku był w Szwajcarii, podobnie jak w innych krajach europejskich, miesiącem ogólnego niepokoju. Sytuacja polityczna komplikowała się bowiem z każdym dniem. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czy wojny można jeszcze uniknąć. Mijały dni i szanse na utrzymanie pokoju stawały się bliskie zeru.

Szwajcaria miała jednak nadzieję, iż jak w poprzednim wielkim konflikcie — i wojnie światowej — i tym razem uda się jej zachować neutralność. Mimo to udzieliła się jej atmosfera napięcia panującego w owych dniach w Europie. 29 sierpnia została przerwana łączność lotnicza, pocztowa, telegraficzna i telefoniczna z Francją. 30 sierpnia Zgromadzenie Związkowe w Bernie wybrało głównodowodzącym armii szwajcarskiej gen. Henri Guissana (Szwajcaria wybiera naczelnego wodza tylko w wypadku, gdy kraj znajduje się w stanie wyjątkowego niebezpieczeństwa). I choć 1 września przedstawiciele dyplomatyczni stron walczących zapewnili prezydenta Szwajcarii o przestrzeganiu jej neutralności, następnego dnia została przeprowadzona powszechna mobilizacja. Zaś 3 września, gdy Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, Szwajcaria zamknęła swoje granice państwowe. W ten sposób wszelka łączność z Francją i Niemcami została zerwana.

Fakty te nie pozostały oczywiście bez wpływu na dalszą działalność Sandora Rado i jego grupy. Szwajcaria stała się obiektem intensywnej penetracji ze strony wywiadów państw prowadzących wojnę, a i kontrwywiad szwajcarski nie próżnował. Na czele „Büro Ha" (bo taką nosił nazwę) stał wówczas kapitan Hans Hausmann, zaś jego bezpośrednim szefem był naczelnik V Sekcji Oddziału Sztabu Generalnego, ppłk Roger Masson. Kierowana przez niego sekcja była w rzeczywistości centralą służby wywiadowczej i służby bezpieczeństwa armii szwajcarskiej.

Rado w swej genewskiej siedzibie nerwowo oczekiwał poleceń „Dyrektora". Mijały tygodnie, miesiące, lecz żadnych instrukcji nie otrzymał. Dopiero w grudniu 1939 roku milczenie Centrali zostało przerwane. Ktoś, przejeżdżając przez Genewę, wrzucił do skrzynki bramy domu, w którym mieszkał Rado, zaszyfrowany list. Centrala donosiła w nim, że w ciągu najbliższych dni łączność zostanie nawiązana z pomocą jej przedstawiciela. Po upływie kilku dni do mieszkania „Dory" (pseudonim Sandora Rado po wybuchu wojny) zgłosiła się kobieta o pseudonimie „Sonia". Za pośrednictwem „Soni" „Dyrektor" przekazał instrukcję i zapytywał jak wyglądają sprawy wyposażenia, łączności radiowej, budżetu na finansowanie działalności grupy. Wkrótce po przekazaniu meldunku „Soni" do Centrali, w początkach stycznia 1940 roku został nawiązany stały kontakt radiowy z Moskwą. Mimo to jeszcze przez pewien czas ważniejsze meldunki „Dyrektora" były przekazywane przez „Sonię". Jej grupa nie była liczna, składała się tylko z kilku osób, wśród których było dwóch młodych Anglików: „Jim" (Alexander Foote) i „John", podobnie jak jego kolega uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. Obie grupy do owego grudniowego spotkania działały samodzielnie, nic o sobie nie wiedząc. Głównym zadaniem zespołu kierowanego przez „Sonię" było zbieranie informacji wojskowych na temat Niemiec.

W marcu 1940 roku Centrala przekazała przez „Sonię" radiogram dla Rado. „Dyrektor" donosił w nim, iż „Dorę" odwiedzi agent z Brukseli o pseudonimie „Kent". Ma on przywieźć z sobą dokumenty nieodzowne dla łączności radiowej z Centralą, instrukcje „Dyrektora" oraz pieniądze dla przyszłej pracy grup „Dory" i „Soni". Dzięki tej wizycie działalność Rado mogła być odtąd całkowicie niezależna. Zaniepokoił go jednakże fakt, iż Centrala przekazała jego prawdziwy adres zarówno „Soni" jak i „Kentowi". Było to, jego zdaniem, dość nieostrożne posunięcie z punktu widzenia dalszej skutecznej konspiracji grupy. Jednakże w przyszłości nigdy się to już nie powtórzyło.

„Kent" przybył do Genewy w przewidywanym terminie, przywożąc z sobą wszystkie niezbędne dokumenty, książki szyfrów, informacje o czasie i długości fali nadawania. Niestety, ze względu na zbyt duże ryzyko związane z przewiezieniem większej ilości pieniędzy postanowił nie brać ich z sobą. Brak pieniędzy niebawem dał się Rado silnie odczuć, a agencja kartograficzna „Geopress" w trudnych, wojennych warunkach, nie była w stanie zaspokoić rosnących wciąż potrzeb i wydatków.

Tak więc w październiku 1940 roku Centrala, znając trudną sytuację grupy, zawiadomiła „Dorę", iż pewna większa suma franków zostanie przekazana przez specjalnego kuriera. Spotkanie z Rado miało nastąpić w Belgradzie.

„Wyjechać ze Szwajcarii do Jugosławii — wspomina Sandor Rado — można było w tym czasie tylko pociągiem przez Austrię lub Włochy. O Austrii, która stała się częścią hitlerowskiej Rzeszy, nie mogło być oczywiście mowy. Była więc tylko jedna szansa: uzyskać oficjalne zezwolenie na przejazd przez Włochy. Nie było to proste: Włochy znajdowały się bowiem w stanie wojny i cudzoziemcom udzielano wiz bardzo niechętnie.

Napisałem list do sekretarza stanu we włoskim ministerstwie spraw zagranicznych, Fulvio Suvicha, którego regularnie zaopatrywałem w mapy swojej agencji, o tym, że wraz z żoną muszę koniecznie wyjechać na Węgry w sprawach rodzinnych (żyli tam moi krewni). Suvich wydał specjalne pozwolenie. Procedura wydania wiz uległa uproszczeniu również i z tego względu, że oboje z Leną byliśmy obywatelami kraju — sojusznika Włoch".

Po przybyciu do Belgradu Sandor i Helena Rado zatrzymali się w hotelu „Srbski Kral". Z radiogramu „Dyrektora" wynikało, że spotkanie miało nastąpić na jednym z belgradzkich placów, na którym znajdowała się kaplica Wrangla, zbudowana przezeń w latach 20 gdy żył tam na emigracji. Znakiem rozpoznawczym „Dory" miał być dziennik" Journal de Geneve", zaś kuriera — bułgarska gazeta „Dnies".

Na miejscu okazało się, że kaplicy Wrangla już dawno nie ma, została rozebrana, wokół zaś był teren niezabudowany i zaniedbany. Co najgorsze, na spotkanie nie stawił się łącznik Centrali. Rado postanowił czekać. Udał się na ów plac następnego dnia. I tym razem czekał go zawód. Dni mijały, a kuriera Centrali nie było. „Dora" stracił już wszelką nadzieję, gdy po upływie dwóch tygodni od ustalonej daty spotkania na placu pojawił się mężczyzna wyraźnie kogoś poszukujący. Był to właśnie kurier Centrali. Przekazał on znaczną sumę pieniędzy oraz nowe instrukcje.

Wiadomo, iż głównym zadaniem każdego wywiadowcy jest prawidłowe rozwiązanie problemu łączności z dowództwem. W przypadku grupy szwajcarskiej potrzebny był dobry radiotelegrafista. Rado wkrótce znalazł odpowiedniego człowieka. Był nim Edmond Hamel („Edward"), który wraz z żoną Olgą („Maud") nawiązał współpracę z siatką „Dory". Hamelowie mieszkali na peryferiach Genewy. Byli to prości ludzie, uczciwi, którzy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zagrażało również ich neutralnej ojczyźnie. Wkrótce po odbyciu u „Soni" przeszkolenia w posługiwaniu się z radiostacją, okazało się, że „Maud" nie jest wcale gorsza pod tym względem od „Edwarda".

Rado występował wobec nich zawsze pod pseudonimem „Albert" Jego drugi pseudonim „Dora" znany był tylko Centrali, pod nim właśnie odbywała się wymiana meldunków z „Dyrektorem". Wkrótce przed odjazdem „Soni" wraz z „Johnem" do Anglii, do zespołu Rado został włączony jej dotychczasowy współpracownik „Jim". Decyzją Centrali został odkomenderowany do Lozanny, gdzie obsługiwał radiostacje pozostawioną przez „Sonię". Dzięki temu jeszcze przed agresją Niemiec na ZSRR grupa Sandora Rado dysponowała dwoma liniami łączności z Centralą, mając trzech wyszkolonych radiooperatorów. W międzyczasie Centrala podporządkowała „Dorze" grupę „Sisi" (przyjaciółki jego żony jeszcze z czasów działalności w KC KPD). Ta nieliczna grupa zajmowała się zbieraniem informacji wojskowo-ekonomicznych o Niemczech. Jednak z chwilą wybuchu działań wojennych w Europie jej regularna łączność z Centralą uległa zerwaniu i grupa „Sisi" była praktycznie bezużyteczna.

Tymczasem pomimo ciągłych zapewnień władz Rzeszy o poszanowaniu radziecko-niemieckiego paktu o nieagresji, od połowy 1940 roku można było zaobserwować po stronie niemieckiej pewne posunięcia, które jawnie przeczyły słowom dyplomatów. W tym właśnie okresie z różnych źródeł zaczęły napływać niepokojące informacje o „dziwnych" ruchach armii niemieckiej. Jedna z pierwszych depesz, w której Rado (posługujący się jeszcze do końca 1940 roku, gdy informacje przechodziły przez radiostację „Soni" — pseudonimem „Albert") przekazał wiadomość o tym do Centrali, brzmiała:

„6. VI. 40 Dla „Dyrektora"

Według wypowiedzi japońskiego attaché, Hitler miał oświadczyć, że po błyskawicznym zwycięstwie na Zachodzie rozpocznie się niemiecko-włoska kampania przeciw Rosji".

„Albert"

Wiadomości, jakie napływały w okresie zimowych miesięcy 1941 roku, były jeszcze bardziej niepokojące. Pünterowi udało się nawiązać m. in. kontakt z jednym z oficerów szwajcarskiej służby wywiadowczej, którego informacje spowodowały natychmiastowe wysłanie następującego radiogramu:

„21. II. 1941 Dla „Dyrektora"

Zgodnie z danymi otrzymanymi od oficera wywiadu szwajcarskiego, Niemcy mają obecnie na Wschodzie pięćdziesiąt dywizji. Według jego mniemania agresja Niemiec rozpocznie się w końcu maja". „Dora"

W odpowiedzi na te i cały szereg innych depesz zawierających ostrzeżenia o zbliżającym się ataku Niemiec, Moskwa zaleciła „Dorze" informowanie o wszystkim, co jest mu wiadome na temat przygotowań Rzeszy do agresji.

Tymczasem szwajcarska grupa otrzymywała wciąż nowe, alarmujące dane, potwierdzające poprzednie doniesienia o koncentracji wojsk na granicach ZSRR.

„2. VI. 1941. Dla „Dyrektora"

Z rozmowy z niemieckim oficerem.

Wszystkie niemieckie jednostki zmotoryzowane na granicy radzieckiej znajdują się w stanie stałej gotowości, mimo faktu, iż napięcie jest obecnie mniejsze, niż było na przełomie kwietnia i maja. W odróżnieniu od tamtego okresu przygotowania odbywają się mniej demonstracyjnie, lecz za to bardziej intensywnie".

„Dora"

Rankiem, 16 czerwca, Rado otrzymał od „Sisi" bardzo ważny meldunek. Jego treść jeszcze tej nocy została przekazana do Centrali:

„17. VI. 41 Dla „Dyrektora"

Na radziecko-niemieckiej granicy znajduje się około stu dywizji piechoty, z których jedna trzecia to dywizje zmotoryzowane. Oprócz tego jest tam około dziesięciu dywizji pancernych. W Rumunii szczególnie duże ugrupowania wojsk niemieckich znajdują się w rejonie Galati. W chwili obecnej przygotowują się do akcji wyborowe dywizje specjalnego przeznaczenia, jak piąta i dziesiąta dywizja, dyslokowane w Generalnym Gubernatorstwie".

„Dora"

Wraz ze zbliżającym się dniem napaści na Związek Radziecki dla sekcji Rado nadchodził czas prawdziwej walki.

POCZTÓWKA ZNAD SEKWANY

TAK MI PRZYKRO, MISTRZU ADAMIE...

Z urzędu pierwsze miejsce na czele zabytków Paryża należy się bez wątpienia katedrze Notre Dame, wszelako nie powiem o niej ani słowa; wystarczy tego, co Szanowny Czytelnik wiedział o niej dotychczas, resztę trzeba już zobaczyć samemu. Nie lekceważymy jednak świętości — nie opodal mamy Świętą Kaplicę, arcydzieło budownictwa gotyckiego z XIII wieku. Sainte Chapelle powstała dzięki uniesieniom króla Ludwika IX, który — zanim wszedł do grona świętych — wykupił u wenecjan zastawioną tam przez cesarza Konstantynopola Koronę Cierniową i kazał wznieść obiekt godny tej relikwii. Sam ją potem odsłaniał wiernym pod strzelistym sklepieniem, pośród rzadko rozstawionych, prawie niewidocznych kolumn, w przepysznej grze świateł w witrażach, które opadają aż do samej ziemi; obezwładniająca swoim pięknem sztuka dawnych mistrzów.

Dla odmiany zabytek w rodzaju ponurych — Conciergerie, zbudowana w XIV wieku przez Filipa Pięknego. W czasie rewolucji był tu przedostatni przystanek w życiu skazańców. Tutaj czekały na spełnienie się okrutnego losu Maria Antonina i siostra Ludwika XVI — Elżbieta, a także faworyta Ludwika XV — madame du Barry, morderczyni Marata — Charlotta Corday, w tych lochach spędzili ostatnie chwile wysłani na śmierć przez Dantona żyrondyści, potem Danton za sprawą Robespierre'a, potem Robespierre, wreszcie prokurator sędziowie i ławnicy Trybunału Rewolucyjnego. I tak szli w tym upiornym ordynku pod nóż gilotyny. Z należnym respektem dotykamy teraz chłodnego ostrza, wiedząc, że było jednym z kardynalnych instrumentów kształtowania historii tego kraju.

Życie biegnie dalej, więc my także zabieramy się z mrocznych komnat, żeby jak najprędzej zapomnieć dzwoniące w uszach wyimaginowane jęki potępieńców. Młoda przewodniczka dopina sweterek, bo zrobiło się chłodno, jeszcze coś tam tłumaczy przygłuchej Angielce, która nie może wyjść z podziwu jak to można było c z y m ś t a k i m (jakby nie pamiętała, że na wyspach używano topora) — w końcu wychodzimy stąd, cali i zdrowi.

Tuż za rogiem pierwszy polski ślad — wspaniały renesansowy Zegar Walezjusza na baszcie Pałacu Sprawiedliwości. Na złoconej tarczy lilie Burbonów, polski Orzeł i litewska Pogoń. A oto Księgarnia Polska na Wyspie św. Ludwika. Rozmawiamy o Hotelu Lambert, ongiś centrali Wielkiej Emigracji. Pałac — o rzut kamieniem — jaśnieje bielą ścian pokrytych gdzieniegdzie winoroślą, w oknach żywego ducha.

— Podobno mieszka tu Michele Morgan?...

— Tak, odnajmuje apartament.

— Bywa w nim czasem?

— Rzadko, ale niekiedy widujemy ją na spacerze. Gdyby państwo nie wiedzieli że to ona, nigdy by jej nie rozpoznali.

— A do kogo należy teraz Lambert?

— Właśnie! To jest sprawa, którą głęboko przeżyliśmy. W 1842 roku nabył go książę Adam Czartoryski i przez wszystkie te lata był w rękach polskich. Kilka miesięcy temu pałac kupili Rotszyldowie.

Wczesnym popołudniem naciskam taster dzwonka przy bramie Biblioteki Polskiej. Brama otwiera się, wchodzimy, natychmiast dobiega nas uprzejme pozdrowienie:

— Dzień dobry państwu, serdecznie witamy!

Chwilę odczekaliśmy, nie widząc jeszcze komu odpowiedzieć, gdy podbiegł do nas w lansadach mężczyzna w nie określonym wieku, ukłonił się dworsko — buch żonę w mankiet, mnie także całuje w rękę i rzecze:

— Jestem N., pomocnik pana B. Ale ja, proszę pana, nie jestem pederastą...

„(Chwała Bogu" — pomyślałem, lecz wciąż w milczeniu czekaliśmy na rozwój wypadków po tym szokującym entre.

— Co to dzisiaj za dzień — szczebiotał pomyleniec — **ach, to przecież czwartek, państwo pewnie do Muzeum Mickiewicza? W takim razie zaraz tu przyjdzie panna G. i zaopiekuje się. Państwo wybaczą...**

Odszedł kołyszącym się krokiem, pozostawiając nas oniemiałych i pełnych najgorszych przeczuć. Niestety, sprawdziły się. Panna G. zmaterializowała się pod postacią pana D., sepieniącego młodzieńca w dżinsach i rozchełstanej koszuli. Pośpiesznie zebrał gromadkę czekających na schodach i powiódł po salach muzum, którego Władysław Mickiewicz nigdy by chyba nie założył, gdyby wiedział to, co my wiedzieliśmy już po upływie kwadransa — tyle mniej więcej czasu zajęło niedbałemu cicerone przepędzenie nas pośród pamiątek drogich sercu każdego Polaka.

— Tu jest biurko Mickiewicza, tu jego wizytówki, tu portret Stanisława Leszczyńskiego, tu księżę Józef, tu włosy Napoleona, a tu znowu Leszczyński — terkotał przewodnik. — **Mamy trochę rzeźby, oleje od różnych ofiarodawców; tam „Romantyczność", „Dziady" kowieńskie, tu „Pan Tadeusz"...**

— Zaczekaj pan! — wołam, żeby zatrzymać ten bezsensowny wyścig. Przestępuje z nogi na nogę, ale czeka. Przepisuję do notesu z wyblakłego wzruszającego manuskryptu:

„Ojczyzno Litwo moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ileż sercu potrzeba, ten tylko się dowie
Kto cię stracił..."

Tak właśnie w oryginale brzmi początek „Pana Tadeusza".

Idziemy dalej, biegniemy! Maska pośmiertna Wieszcza, jakieś bibeloty, w innej sali pamiątki po Chopinie — wytarty fotel, w którym zakończył życie, maski pośmiertne, pukle włosów. I jeszcze kilka Stanisławów Leszczyńskich, i jeszcze kilka artystycznych wersji tej samej jego żony — i wreszcie koniec zwiedzania zaniedbanego, zagraconego, urządzonego gorzej niż byle jak zbioru bezcennych skarbów, a obok nich bezwartościowych rekwizytów.

Wyszliśmy na zalany słońcem Quai d'Orleans i natychmiast dała o sobie znać stęchlizna, którą wdychaliśmy w czasie przebieżki w nasza wspaniałą historię: zacząłem kichać tak okropnie, że wzbudziłem sensację wśród przechodniów.

Niech się spełni! Żebyś, Mistrzu Adamie, doczekał lepszych czasów...

JERZY SZELEWICKI

BRACK -WIELKA PRZYGODA

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Cóż za bogata kraina z tej Syberii, jaka potężna kraina!... Gdy kiedyś zostanie zaludniona, przeznaczeniem jej będzie odegrać wielką rolę w kronikach naszego globu".

Aleksander Radiszczew (1749—1802)

Głos stewardessy, lekko zniekształcony przez mikrofon, wyrywa mnie ze stanu zamyślenia graniczącego z drzemką:

— Uwaga, szanowni pasażerowie! Nasz samolot schodzi do lądowania w porcie lotniczym w Bracku...

Po czym następuje sakramentalne przypomnienie o obowiązku zapięcia pasów. Tu—134 kładzie się lekko na jednym skrzydle, by zatoczyć łagodny łuk, jednocześnie wytracając szybkość i pułap lotu. W tym przechyleniu otwiera mi się za szybą iluminatora widok na pasmo Angary wijącej się wśród tajgi. A potem już tylko szerokie, nie kończące się rozlewisko — Brackie Morze! Tak zwykło się

tutaj nazywać to największe w świecie sztuczne jezioro, powstałe w wyniku działania człowieka: przecięcia tamą rzeki Angary i spiętrzenia jej wód. Długość powstałego w ten sposób zbiornika wodnego wynosi ponad 570 kilometrów. A więc odległość prawie taka jak z Gdyni do Sztokholmu! Nie ma przesady w nazwie „Brackie Morze".

Z lotniska wiedzie w stronę miasta szosa równiuteńko przecinająca tajgę. Jakby kto przyłożył linijkę i narysował. W ten zresztą mniej więcej sposób projekt jej musiał się narodzić. Ktoś wytyczył na rysownicy najkrótszą linię. Równinny teren nie skłaniał do poszukiwania dogodniejszych tras. Im krótszy wyrąb przez tajgę — tym lepiej. Trzeba bowiem znać tę dziewiczą puszczę syberyjską, zwartą gęstwinę drzew zespoloną dołem przez splątane, nie do przebycia chaszcze, by zrozumieć, jakie korzyści dawał każdy metr skróconej trasy.

Tu nie potrafię sobie odmówić małej dygresji. Jak niewymownie piękna jest tajga w momencie, gdy ją oglądam, czyli w blasku wczesnego wrześniowego słońca! Drzewa przybrały jesienne barwy o zaskakującej skali i intensywności. Od ciemnej, zbliżonej do czarnej, zieleni syberyjskich cedrów, modrzewi i jodeł poprzez różne odcienie brązów, złota i żółci, aż po krwiste, purpurowe plamy brzóz syberyjskich. Od zachwytu aż dech zapiera.

Wróćmy jednak na szosę wiodącą do Bracka. Po kilku kilometrach rozczłonkowuje się, jej odnogi sięgają do usytuowanych na dużej przestrzeni osiedli. Miasto ma bowiem zabudowę luźną, przerośnięte jest tajgą, która jak miękki, puszysty płaszcz otula poszczególne osiedla. Dziewicza puszcza i cywilizacja XX wieku sąsiadują tu ze sobą bezpośrednio bez żadnego przejścia. Wiekowe sosny zaglądają do okien. Wystarczy parę minut drogi od bloku mieszkalnego, by w ciągu kwadransa uzbierać kosz grzybów, których bogactwo jest tu nieprzebrane.

Miasto liczy dziś 240 tysięcy mieszkańców. Aż wierzyć się nie chce, że jeszcze dwadzieścia lat temu była tu tylko tajga i rzadko rozrzucone przysiółki ludzkie. Nazwa „Brack" nie istniała jako pojęcie geograficzne.

21 grudnia 1954 roku grupka specjalistów, przybyłych tu helikopterem, jak desant wojenny, zatrzymała się w miejscu, gdzie natura wtłoczyła szeroko rozlane wody Angary w skalisty, o stromych brzegach, wąwóz Padun. — Tutaj — powiedzieli przyszli budowniczowie, a któryś z nich wykuł na ścianie skalnej słowa: **„Tu będzie zbudowana Bracka Elektrownia Wodna. Pierwsze roboty zaczęto 21 XII 1954 r."**. Napis ten zachował się do dzisiaj. Wówczas wśród dzikiej, nie okiełzanej przyrody, słowa te brzmiały zuchwale i niewiarygodnie. Zaczęła się wielka przygoda.

Budowniczowie zamieszkali w tzw. Zielonym Miasteczku, czyli w osiedlu namiotowym wśród tajgi. Mróz dochodził do —60 stopni C., a przecież żyli tu, wdzierając się krok po kroku w tajgę, zakładali rodziny. Zaczęły rodzić się dzieci, pierwsze brackie dzieci. Dziś są to 20-letni ludzie, dumni ze swojego miasta, którego są rówieśnikami, dumni z rodziców, którzy przetrwali i dokonali rzeczy na historyczną skalę.

— Zbudowaliśmy milion metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej — mówi mi sekretarz Komitetu Miejskiego KPZR — Irina Zgłoniewa — **dziesiątki dziecięcych kombinatów z basenami pływackimi i wszelkimi udogodnieniami, 8 domów kultury i klubów, teatr, 91 bibliotek, 13 księgarń, 41 szkół podstawowych, 5 średnich technicznych, filię irkuckiej politechniki. Stworzyliśmy ludziom dobre warunki życia i pracy. Osiedlenie się w Bracku nie jest już dzisiaj aktem odwagi. Każdy, kto rozpoczyna u nas pracę, otrzymuje z miejsca 50-procentowy dodatek „północny", a przez pierwszych pięć lat zatrudnienia jego płaca wzrasta co roku o dalszych 10 proc. Tak więc po 5 latach tutejszy pracownik zarabia o 90 proc. więcej, niż ktoś na podobnym stanowisku, dajmy na to, w Moskwie. Do tego minimalny roczny urlop wynosi u nas 36 dni, a dla zatrudnionych na szczególnie trudnych stanowiskach sięga 42 dni. Rok przepracowany u nas liczony jest do renty za półtora roku. Co 3 lata każdemu pracownikowi przysługuje bezpłatny powrotny bilet kolejowy do dowolnie wybranego miejsca w Związku Radzieckim. Te przywileje są uzasadnione. Klimat syberyjski jest ostry. W Bracku temperatura dochodzi latem do 35 st. C., a zimą do —58 st. W ciągu roku ilość dni bezmroźnych wynosi średnio zaledwie 84. Pierwszy śnieg spada około 15 września. A mimo to praca u nas jest atrakcyjna. Nie mamy trudności z obsadzaniem stanowisk pracy. Przybywają do nas chętnie wysoko wykwalifikowani inżynierowie, lekarze, naukowcy. Migrację odnotowujemy niewielką. Rocznie rodzi się w naszym mieście 4600 dzieci, co stanowi najwyższy wskaźnik przyrostu naturalnego w Rosyjskiej FSRR.**

— A skąd wzięła się nazwa „Brack"?

— Kiedyś ludność miejscową stanowili Buriaci, trudniący się myślistwem. Nazywali siebie nawzajem „braty". Gdy w 1917 r. tworzono na tym terenie pierwsze komuny wiejskie, określano je jako „brackie" (czyli: braterskie — W.O.). Tyle tradycja. Do tego dołączyły się nowe elementy. 72 narodowości doliczono się wśród budowniczych Bracka. Dziś żyją tu przedstawiciele 68 narodowości. Oprócz tego przybywają do nas turyści z całego świata, by oglądać to jedyne w swoim rodzaju miasto i naszą elektrownię. Tak więc Brack stał się symbolem ludzkiego braterstwa.

Bracka Elektrownia Wodna (Gidroelektrostancja, czyli w skrócie: GES). Budowę jej ukończono 23 września 1967 roku, ale pierwsza turbina wodna ruszyła już w 1961. Jest najwspanialszym dziełem rąk i mózgów, jakiego dokonano w tym mieście, dlatego tam kierują się wszyscy przybywający tutaj goście. Pod względem mocy (4,1 miliona kW) ustępuje pierwszeństwa Krasnojarskiej GES na rzece Jenisiej (6 mln kW) i będącej w budowie Sajarskiej GES (będzie miała moc 6,4 mln kW). Ale roczną produkcję energii elektrycznej ma Brack największą nie tylko w Związku Radzieckim, ale w ogóle na świecie. Wynosi ona średnio 22,6 miliarda kWh, ale w zeszłym roku sięgnęła 28 miliardów. W tym roku plan będzie również znacznie przekroczony, gdyż już 29 sierpnia Bracka GES zameldowała o wykonaniu zadań pięciolatki, za co załoga otrzymała osobiste podziękowanie od sekretarza generalnego KC KPZR — Leonida Breżniewa.

W hali elektrowni na tablicy świetlnej podawana jest na bieżąco ilość wyprodukowanej energii od chwili uruchomienia zakładu. W dniu, w którym odwiedziłem go, napis na tablicy głosił: „Bracka GES dała Ojczyźnie 252411 milionów kWh". Rozmiary swej produkcji zawdzięcza Brack olbrzymiej masie wód, jaką transportuje Angara z Bajkału do rzeki Jenisiej. Już w 1920 roku, gdy VIII Ogólnorosyjski Zjazd Rad uchwalił plan perspektywiczny elektryfikacji kraju, zwany planem „GOELRO", Lenin nazwał Angarę **„rzeką elektryczności"** mając wówczas na myśli tkwiące w niej potencjalne możliwości. W związku z tym zaprojektowano na Angarze kaskadę elektrowni wodnych. Zapoczątkowała jej realizację Irkucka GES, zbudowana w 1950 r., później przyszła kolej na Brack, a obecnie kończy się prace przy Ust'-Ilimskiej GES. Budowa czwartej elektrowni — Boguczańskiej — zamknie pracę nad całym systemem wodnoenergetycznym Angary.

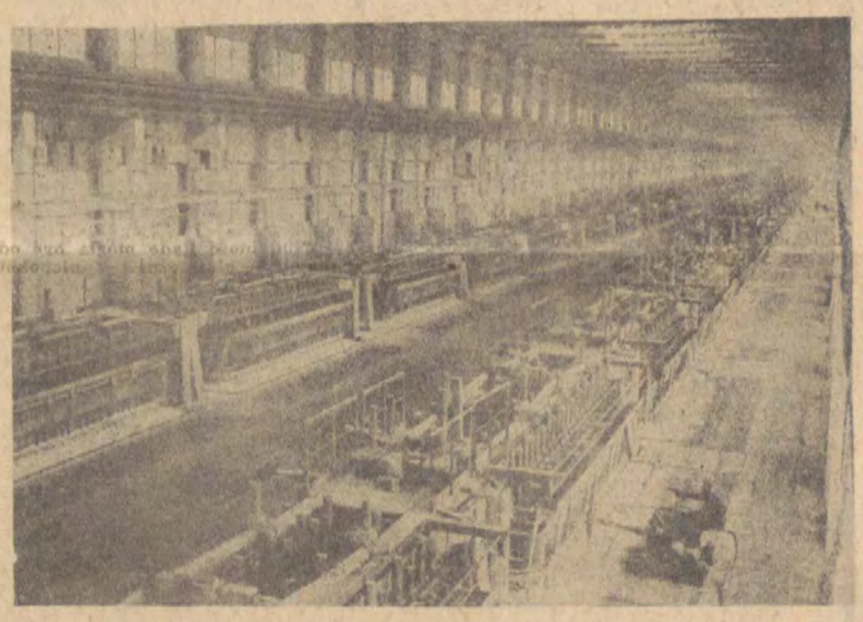

Fot. Archiwum

Siedzę w gabinecie dyrektora generalnego Brackiej GES, inż. Iwana Ustinowa.

— Angara to nasz największy skarb — mówi gospodarz. — **Dla wyprodukowania 30 milionów kWh rocznie potrzebowaliśmy 15 milionów ton węgla. A rzeka, można by rzec, nam to darowuje. Prawdziwie królewski dar. Koszt wyprodukowania przez nas 1 kWh wynosi dzięki temu 0,055 kopiejki. Do maja tego roku zwróciły się 5-krotnie nakłady inwestycyjne wydatkowane na całą Bracką GES.**

— A jaki był koszt całej budowy? — pytam — Tamy, sztucznego rezerwuaru wodnego, elektrowni?

— 730 milionów rubli (blisko 15 miliardów złotych — W.O.). **Najwięcej wysiłku kosztowało przecięcie Angary. Dokonano tego w dwóch etapach: w 1957 roku przecięto połowę od lewego brzegu, a w 1959 wyszło się od prawego i rzeka została zamknięta. Łatwo się to mówi. Ogółem budowa tamy pochłonęła 5 milionów metrów sześciennych betonu. 60 procent betonowania trzeba było wykonać w zimie. Lato u nas za krótkie. Tama posiada 924 metry długości, a w najwyższym miejscu liczy sobie 125 metrów. Nasza elekrownia jest w pełni zautomatyzowana. Aby uruchomić agregat, trzeba tylko nacisnąć odpowiedni guzik i zaczekać 30 sekund. Pewien amerykański energetyk, gdy mu to powiedziałem, wyraził wątpliwość. Zaproponowałem mu, by sam sprawdził. Agregat został uruchomiony w 23 sekundy. Ostatnio mieliśmy przyjemność gościć u siebie premiera Francji, pana Jacquesa Chiraca. Powiedział mi na pożegnanie, że widział szereg imponujących inwestycji na Syberii, ale Brackiem jest szczególnie wstrząśnięty.**

Dyrektor Ustinow nie kryje osobistej satysfakcji, gdy przez szerokie okno jego gabinetu patrzymy na gigantyczny betonowy korpus zapory, po którego szczycie mkną w obie strony sznury samochodów.

— Niech mi pan opowie coś o sobie — ryzykuję prośbę. Odpowiedź nie pada od razu, gdyż domofon odwołuje dyrektora do biurka. Podnosi słuchawkę, odbiera meldunki, wydaje dyspozycje. Potem wraca do mnie, do okna. Zaczyna mówić prosto, bez fałszywej skromności.

— Moja kariera była nieco inna niż amerykańskich menadżerów. Matka była analfabetką. Ja do wojny skończyłem 7 klas. Do 25 roku życia pracowałem w kołchozie. Ale przedtem wybuchła wojna. Zmobilizowano mnie w 1941 roku, gdy nie miałem jeszcze ukończonych 17 lat. Po zdobyciu Rygi zostałem zasypany w okopie i kontuzjowany. Po wojnie ukończyłem ze srebrnym medalem wieczorową szkołę średnią, a potem Instytut Energetyczny w Moskwie. Pierwsze stanowisko inżynierskie objąłem w Wołżańskiej GES im. Włodzimierza Lenina. W 1961 roku przeniesiono mnie do Bracka na naczelnika oddziału technicznego. W październiku 1961 roku, w dniu otwarcia XXII Zjazdu KPZR, uruchamiałem tu pierwszą turbinę wodną. W 1965 roku mianowano mnie dyrektorem Irkuckiej GES, a potem głównym inżynierem eksploatacji elektrowni wodnej w Assuanie w Egipcie.

— Dla porównania: jaką moc ma elektrownia przy tamie assuańskiej?

— 2,1 miliona kW. Mniej więcej połowę tego co Brack. No, więc w końcu wróciłem do Bracka, tym razem jako generalny dyrektor. Jestem tu na własnych śmieciach.

Przyglądam się przez chwilę w milczeniu temu człowiekowi. Jednemu z tych, którzy przeobrażają Syberię i przewodzą jej procesom rozwojowym. I samo jakoś nasuwa mi się pytanie:

— Pan ma do czynienia w pracy z młodzieżą?

— W pracy i nie tylko w pracy. Mam dwie córki, starsza jest 19-letnią studentką.

— Jaki jest pana sąd o współczesnej młodzieży radzieckiej?

— Cóż? Ich życie układa się inaczej. Gdy byłem w ich wieku problemem dla mnie było nie być głodnym. Oni tego nie znają, jak nie znają smaku burzliwej romantyki naszej młodości. No, i dobrze, że nie znają. Ale gdy czasem narzekają na brak silniejszych bodźców mówię im: „Romantyki nie trzeba szukać, ona sama realizuje się w życiu". Ot choćby nasz GES... Jestem spokojny o naszą młodzież. Przed nią jest wspaniała przyszłość.

A mnie nasuwa się refleksja: w Bracku wielka przygoda nie skończyła się. Ona trwa.

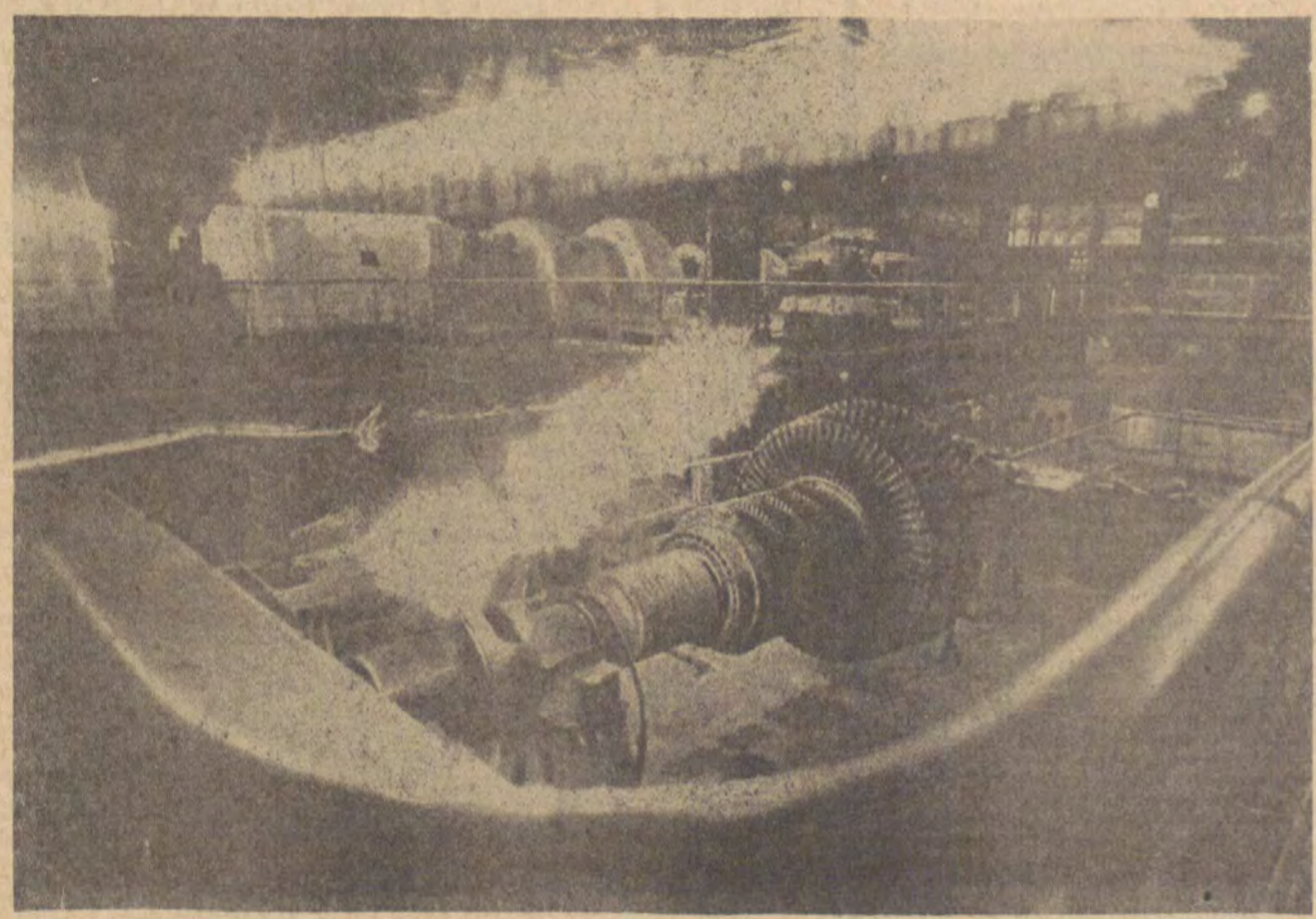

Fot. Archiwum

DOKUMENT

RELACJA JACQUES SADOULA

Dalszy ciąg ze str. 6

skontaktować ze Stiekłowem i innymi — szczęśliwymi i strasznie zajętymi.

Przyjmują mnie serdecznie i szczegółowo odpowiadają na moje najbardziej „nieskromne" pytania. Wyrażają oburzenie z powodu kłamliwych słuchów; jutro zostanie w gazetach opublikowane oświadczenie, że rewolucja z należnym szacunkiem odnosi się do personelu ambasad i misji. Opowiadają mi o swoim sukcesie. Cały garnizon Piotrogrodu połączył się z bolszewikami z wyjątkiem kilku sotni kozackich, junkrów i kobiecego batalionu. Cały aparat administracyjny znajduje się w rękach powstańców. Rząd Tymczasowy jest otoczony w Pałacu Zimowym. Byłby już dawno aresztowany, gdyby Komitet Wojskowo-Rewolucyjny chciał uciec się do użycia siły, ale rewolucja powinna być bezkrwawa. Na to można mieć tylko nadzieję.

Nazajutrz na Zjeździe Rad zostanie ogłoszony program rządu bolszewików.

Zdaję misji sprawozdanie z wykonania polecenia i wracam do Smolnego. Jest już godzina 22. Na placu przed Pałacem silna wymiana ognia. Widocznie Komitet Wojskowo-Rewolucyjny musiał rozpocząć walkę.

PIOTROGRÓD 26 PAŹDZIERNIKA/ 8 LISTOPADA 1917 ROKU

Nasze oficjalne koła nie doceniają potężnego i dobrze zorganizowanego wystąpienia bolszewików. Nasza ambasada i misja decydują, że będą uważnie śledzić rozwój wydarzeń w Smolnym, bowiem zdarzył mi się wyjątkowy przypadek (nie śmiem jeszcze napisać — zaszczyt) uznania mnie za towarzysza. Wczoraj nie spotkałem jeszcze w Smolnym ani jednego Francuza, nawet przedstawiciela prasy, chociaż w sali, w której odbywa się Zjazd, widziałem dziesiątki angielskich i amerykańskich dziennikarzy.

Posiedzenie Zjazdu Rad Delegatów, które powinno się zacząć o godz. 2 po południu, rozpoczęło się dopiero o godz. 9.

Występując przed wypełnioną salą Lenin, któremu zgotowano gorącą owację, przeczytał, a następnie skomentował orędzie do narodów i rządów wszystkich wojujących państw oraz projekt ustawy o reformie agrarnej (autor ma na myśli projekty Dekretu o Pokoju i Dekretu o Ziemi — red.). Jego słowa przerywano burzliwymi oklaskami. Po wezwaniu o zawarcie pokoju, delegaci Zjazdu odśpiewali Międzynarodówkę, a następnie odegrano marsza żałobnego dla uczczenia pamięci bojowników, którzy oddali życie za rewolucję.

PIOTROGRÓD 28 PAŹDZIERNIKA/ 10 LISTOPADA 1917 ROKU

Obfitość „nowin". Kiereński rzekomo odniósł zwycięstwo w Carskim Siole. Na ulicach znów wystrzały. Znów mówią — bo chcą w to uwierzyć, że Lenin uciekł, że Smolny, niemal całkowicie ewakuowany przez bolszewików, jest otoczony wojskami „Komitetu Ocalenia". Spieszę nocą do Smolnego. Żadnych oznak obecności wojsk „Komitetu Ocalenia". Żołnierze — bolszewicy i czerwonoarmiści są na swoich bojowych stanowiskach. Z trudem pokonuję pięć czy sześć barykad, przez dwie godziny prowadzę rozmowy ze strażą, chociaż mam stałą przepustkę do Smolnego. Ale swobodny wstęp do sztabu rewolucji mają tylko członkowie Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego.

Moja cierpliwość zostaje nagrodzona: jestem w Smolnym. Sytuacja zmieniła się — mniej objawów tryumfu, podniecenia, na twarzach chłodne, napięte oczekiwanie i zdecydowanie. W przyćmionym oświetleniu korytarzy — ruch żołnierzy, uzbrojonych ludzi o twardym spojrzeniu. Zapełniają Smolny. Żałuję, że nie mogę szczegółowo opisać tego niezwykle sugestywnego obrazu.

Tej nocy miasto znów przybrało wojenne oblicze: patrole, czerwonogwardziści na skrzyżowaniach, barykady, samochody opancerzone.

PIOTROGRÓD 30 PAŹDZIERNIKA/ 12 LISTOPADA 1917 ROKU

Dziś rozgorzała zacięta walka między wojskami Kiereńskiego a bolszewikami.

Piotrogród zachował spokój, chroniony przez liczne oddziały bolszewików. Należy przyznać, że — z wyjątkiem nielicznych wypadków szczególnych — porządku publicznego przestrzega się w stolicy bardziej niż do wybuchu powstania.

Znacznie zmniejszyła się ilość grabieży. „Komitet Ocalenia" znajduje się w stanie szoku po poniesionej klęsce. Pomylił się on wyraźnie, licząc na zmęczenie czerwonogwardzistów i antybolszewickie nastroje ludności.

MOSKWA, 28 LIPCA 1918 ROKU

Nigdy tak nie żałowałem, że nie jestem teraz we Francji, wraz z naszymi towarzyszami i tymi uczciwymi ludźmi, których nie zaślepia obłędna nienawiść do socjalizmu. Jakże łatwo byłoby im otworzyć oczy, udowodnić, mając fakty i liczby w ręku, fałsz obiegowych twierdzeń, pomóc im w zrozumieniu rosyjskiej rewolucji, żeby poparli jej wielkie dzieło i wykrzyknęli wraz ze mną w zgodnym porywie: „Niech żyje Republika Rad!".

•

LITERATURA

WASILIJ SZUKSZYN

DACH NAD GŁOWĄ

W sobotę wieczorem, w klubie w Nowej Wsi zebrano się dla omówienia świeżo otrzymanego tekstu sztuki teatralnej. Przyszło około dwunastu osób, uczestników amatorskiego ruchu artystycznego.

Przemawia Wania Tatuś, krępy facet, niewysokiego wzrostu, ambitny, drażliwy i antypatyczny. Ukończył w tym roku okręgową szkołę dla pracowników kulturalno-oświatowych i bezustannie się popisuje. Jest kierownikiem kółka amatorskiego.

— Poprosiłem was tutaj, żeby zakomunikować ważną nowinę..

— Czy przyjeżdża do nas rewizor? — wtrąca Wołodźka Marow. Wołodźka przyjaźni się z pielęgniarką Wierą, która podoba się Wani Tatusiowi, ale Wania kryje się z tym, mając nadzieję, że Wiera sama zauważy dumnego Wanię i porzuci głupawego Wołodźkę. A jeżeli zostanie z szoferem Wołodźką, to niech potem ma żal do siebie. Wystarczy powodów po temu, żeby cierpiała i żałowała kiedyś swego kroku.

Wołodźka wie — odgadł, czy jak — o tych skrytych zamysłach Wani i docina mu, gdzie może. W tym celu zapisał się nawet do kółka. Pielęgniarka Wiera też jest obecna — zwariowała zupełnie na punkcie działalności kółka i Wanię złości tym bardziej, że tak kochając występy sceniczne nie może pojąć, niemądra, iż kochać należy reżysera. Ciekawe, o czym oni mogą rozmawiać z Wołodźką? O tłoku samochodowym?

— Marow, dowcipkować będziesz później. — Wania wie, że nie powinien w ogóle zauważać istnienia Wołodźki, a co dopiero wdawać się z nim w rozmowy, ale nie może się opanować, usiłuje również dopiec rywalowi. — Otrzymaliśmy z okręgu tekst sztuki. Napisał ją miejscowy autor. Powinniśmy ją przygotować i wystawić na przeglądzie w okręgu. Ten się śmieje, Marow, kto się śmieje ostatni.

— Głupieje — poprawia Wołodźka.

— Przestań — gniewnie mówi Wiera. — O czym jest ta sztuka, Wania? A kobiece role są?

— Sztuka mówi o kołchozowym życiu, piętnuje... — Wania zajrzał do notatek. — Piętnuje prywatę. Autor wywodzi się z samego gaszczu, można powiedzieć, narodu, zna dobrze współczesną wieś, jej warunki życia, obyczaje. Używa słów mocnych, jak... orczyk.

— Co to znaczy — z samego gąszczu? — pyta Waśka Jermiłow, według ogólnego przekonania głupawy chłopak, również kierowca, kumpel Wołodźki. Wołodźka wciągnął go do kółka, żeby nie było tak nudno. Waśka, biorąc przykład z kolegi, zrozumiał, że należy tu dowcipkować i kpić, ile wlezie.

— Wasia, daj spokój, na litość boską! — Wiera gniewnie patrzy na Waśkę.

— Ale ja nie całkiem dobrze rozumiem: jak to — wywodzi się z gąszczu? Gąszcz — to bywa na dnie w garnku...

— O czym by nie była mowa, a głodnemu tylko chleb na myśli — rzuca jeden — żonaty już, chłop.

— A ty rozumiesz?

— Z gąszczu — to znaczy z dołów, z prostego ludu.

— Prostego ludu teraz nie ma. Spośród kołchoźników — poprawia Wania.

— To tak by trzeba i pisać — mruczy Waśka. On całkiem nie umie żartować.

— Ja bym powiedział tak — nie ustępuje żonaty — spośród pracującego chłopstwa.

W pracach kółka brał również udział stary Jelistratycz, wieczny żartowniś. Wśród młodych uważany był za specjalistę od zagadnień związanych z przeszłością, i wszystko, co w sztukach dotyczyło chłopstwa, na przykład kolektywizacji, żywo go interesowało. Kiedy padło słowo „chłopstwo", Jelistratycz ocknął się.

— Chłopstwa teraz też nie ma, są kołchoźnicy (wymawiał: kołchoźnicy).

— Wania, czy są tam role kobiece? — spytała Wiera.

— Uspokójcie się, towarzysze! — z surowością w głosie powiedział Wania. — Ja zaraz pokrótce streszczę wam sztukę i wszystko będzie jasne. Do kołchozu wraca po odbyciu służby wojskowej porządny chłopak Iwan Pietrow. Z początku — Wania odczytuje przedmowę — aktywnie włącza się w życie i pracę chłopstwa kołchozowego...

— No proszę: chłopstwa kołchozowego! — zawołał żonaty.

— Pracującego — też można powiedzieć. Chłopstwo kołchozowe, to właśnie jest chłopstwo pracujące. Czytam dalej: aktywnie włącza się w życie i pracę, a potem żeni się... Występują więc, jak widzicie, kobiety. Inaczej z kim by się żenił? On żeni się i trafia pod wpływ teściów, a później i żony: staje się dorobkiewiczem. Zaczyna budować dla siebie dom, otacza go wysokim ogrodzeniem.. Sztuka nosi nazwę „Dach" nad głową". „Dach" jest w cudzysłowie bo taki duży dom to już nie „dach". Ludzie zwracają Iwanowi uwagę, żeby się bardziej miarkował, ale on mówi o bodźcach materialnych...

— A ojciec i matka jego żyją? — znowu ocknął się Jelistratycz.

— Wszystkich to zaskakuje: co się też z nimi dzieje? — kontynuuje Wania, nie zwracając uwagi na Jelistratycza. — Przejeżdżają się po nim w gazetce ściennej, młodzież z zespołu amatorskiego układa piętnujące go czastuszki... To, co ja proponowałem zrobić w stosunku do Iwanowa, ale mnie nie podtrzymano.

— Iwanow to robotny chłop.

— A ten? Ważne, na czyją korzyść idzie ta robota. Słowem, figlarne dziewczęta śpiewają te czastuszki w klubie na scenie — na sali wesoły nastrój... Ale Iwan nie ustępuje. Wtedy sprawa zostaje postawiona na zebraniu. Jeden za drugim wychodzą na trybunę kołchozowi aktywiści, dawni koledzy Iwana, starzy kołchoźnicy — sąd ich jest surowy, ale sprawiedliwy. Wszyscy tłumaczą Iwanowi, że budując sobie tak zwany dach nad głową, odgradza się w ten sposób od kolektywu... To znaczy pod słowem „dach" należy rozumieć „ogrodzenie". „Dach" — myślnik — „ogrodzenie'. Jasne?

— A jakie stanowisko zajmuje żona — to znowu głos Wiery.

— Przecież było powiedziane: działali wspólnie — odzywa się żonaty.

Jelistratycz sięga do mądrości ludowej:

— Czy mąż, czy żona — jeden diabeł.

— Żona też jest obecna na zebraniu?

— Dopiero tu, na zebraniu — kontynuuje Wania — Iwan uświadamia sobie, w jakie grzęzawisko wciągnęli go teść i teściowa. Zrywa się więc i biegnie w kierunku nie dokończonego domu... Dom już był podciągnięty pod dach. Podbiega i trzęsącymi się rękami wydostaje pudełko zapałek... — Wania zniżył głos, zrobił w tym miejscu pauzę (aktor!), spuentował — I... podpala dom!

Nikt nie spodziewał się takiego zakończenia.

— Jak to?

— Sam?

— Co jemu?

— A to on... A pożar we wsi wybucha?

Wiera jest wstrząśnięta sztuką.

— To jest tragedia, prawda, Wania?

— Jeżeli nie tragedia, to... w każdym razie dramat o tematyce społecznej.

— A my będziemy coś podpalali? — interesuje się jakiś amator pirotechniki.

— Tak, towarzysze — ciągnie dalej Wania — on sam podpala dom, który budował własnymi rękami — poza godzinami pracy.

— A dom się spalił? — zapytuje Wołodźka, do żywego dotknięty triumfującym tonem Wani. Nie wierzy, żeby we współczesnej sztuce mógł się spalić dom.

— Kiedy to się dzieje? — żonaty nie może pojąć, żeby dom się spalił. — Latem?

— Spokojnie, spokojnie — mówi Wania-artysta — On podpala dom, ale kołchoźnicy... Tu jest punkt kulminacyjny sztuki, rozwiązanie. Zwróćcie uwagę na to, jakimi ostrymi pociągnięciami pióra autor dochodzi do finału. Iwan zrywa się z miejsca i z krzykiem: „Szumowiny społeczne! Do czego mnie oni doprowadzili?!" — wybiega z zebrania. Żona...

— Ale on już przecie wybiegł.

— Żona rzuca się za nim. Wybiega.

— On już przecież wybiegł!

— Za jakiś czas żona ze zbielałą twarzą przybiega z powrotem... Na zebraniu omawia się następny punkt programu. Żona wpada do sali i rozdzierającym głosem woła: „Prędzej, on dom podpalił!". Kołchoźnicy zrywają się z miejsc i pędzą w stronę nowego domu. Jeden staruszek biegnie w zupełnie inną stronę — do domu teściów Iwana. Za kulisami krzyczy: „Czy to u was się pali?!". To jest już moment tragikomiczny. My całą sztukę wystawimy w stylu tragikomicznym.

— Ale dom się spalił? — znowu pyta Wołodźka.

— Dom ratują kołchoźnicy. Iwanowi powiedziano, że dom zostanie przeznaczony na żłobek, on sam bierze udział w gaszeniu pożaru i wciąż powtarza: „Męty, szumowiny, do czego oni mnie doprowadzili!".

— Ale o kim to on tak? — nie rozumie Waśka.

— O Boże mój, no o teściu i o teściowej, czy to nie jasne?

— Mocna rzecz!

— I to już wszystko? Koniec? — pyta Wołodźka.

— Na końcu Iwan, zażenowany, ale szczęśliwy, podpisuje razem z innymi chłopcami i dziewczętami zobowiązanie, że żłobek zostanie oddany do użytku na Nowy Rok.

— A gdzie on sam będzie mieszkał? — rozlega się głos Wołodźki.

— Pomieszka na razie u teścia... — rozpędził się Wania, ale się spostrzegł; bohater sztuki tylko co zaliczył swoich teściów do „szumowin". — Znajdzie sobie miejsce.

— Gdzie?

— A tobie, co, nie odpowiada idea sztuki?

— Idea to mi odpowiada, ale ja pytam, gdzie on będzie mieszkać?

— A według mnie, to sama idea ci się nie podoba.

— Ty mnie tu w politykę nie pakuj. Ja zapytuję, gdzie on sam będzie mieszkać?

Żonatemu znudziło się słuchać tego spierania się.

— Być może, on sobie jeszcze jeden dom wybuduje, ale mniejszy. No co, wystarczy ci?

— A za jakież to pieniądze tak się stawia jeden dom, a potem drugi?...

— Drugi to już poza zasięgiem sztuki — zdecydowanie przeciął Wania. — Drugi dom nas już nie interesuje. Przed nami oto sztuka i trzeba traktować ją zawodowo. No, według mnie, tobie i pierwszy dom nie przypadł do gustu...

— Na pierwszy okres u teścia się przytuli — powiedział żonaty.

— Do żadnego teścia nie pójdzie! — wybuchnął Waśka. — Co wy? Po tym wszystkim to by się kłócili, na czym świat stoi. Przecież to teść pomagał mu dom stawiać, skąd inaczej żołnierz miałby pieniądze? Teść mu pomagał, a zięć chciał potem spalić ten dom. I co, teraz teść może mu powiedzieć: „Dziękuję ci, kochany zięciu!".

— Nie mierz wszystkich swoją miarką.

— Teść to mnie najmniej obchodzi — twardo powiedział Wania.

Żonaty wstał z miejsca.

— Tu się chce podłożyć pod to inny sens! — I usiadł. Nie lubił Wołodźki za jego długi język.

— No, dalej proszę! Cóż ty milczysz? Jaki sens? Mów! — poprosił Wołodźka.

Żonaty wstał.

— Tu po prostu chodzi o okazanie współczucia teściowi.

Zapadła jakaś niezręczna cisza.

— Proponuję wykreślić Marowa z naszego kółka dramatycznego — powiedział żonaty. — A i Waśkę także. Oni nie pracują, tylko sobie żarty stroją.

— A mnie to za co? — obraził się Waśka.

— Nie, Waśki nie trzeba — ujął się pirotechnik. — On się poprawi.

Rozległy się dodatkowe głosy:

— Waśka jest zawsze chętny do roboty. Jego tylko wodzi na pasku Marow.

Żonaty wysunął inną propozycję:

— Należy Waśce zwrócić uwagę. I uprzedzić, żeby nie nadużywał napojów alkoholowych.

— A na to, to trzeba zwrócić uwagę! — podchwycił Jelistratycz. — Na to trzeba. Co innego — w święta. Ale ty, Waśka, i w dni powszednie — niby to nic, a sobie nieraz golniesz. A tu samochód, o wypadek niełatwo.

— Całkiem powinien przestać! — odezwała się bibliotekarka, kobieta mająca już swe lata, ale bardzo przystojna.

— Nie... całkiem, poczekajcie, jak to całkiem? — zwątpił sam Jelistratycz. — To przecież mężczyzna...

Ale tu wybuchnął żonaty:

— No i co z tego, że mężczyzna? A zapytajcie, dlaczego pije? On wam nie odpowie.

Atmosfera robi się ciężka.

— W dni świąteczne wszyscy piją — zamamrotał Waśka. — A ja co, od macochy?

— Tak więc — podsumował Wania — dwie osoby się sprzeciwiają, dwie chcą postawić na swoim. Proponuję przegłosować: kto jest za tym, żeby...

W tej chwili weszła do sali i usiadła w pierwszym rzędzie Matriona Iwanowna Wdowina, emerytka, były naczelnik rejonowego wydziału kultury, nieoficjalny kierownik i opiekun ruchu amatorskiego.

— Witajcie, towarzysze! No, co tu słychać?

— Omawiamy sztukę, Matriono Iwanowno.

— Aha, tak.

— Okazało się, że idea sztuki nie wszystkim odpowiada.

— Czyżby? — zdziwiła się Matriona Iwanowna. — Ja czytałam — zupełnie dobra sztuka. A komu idea się nie podoba?

— Mnie idea się podoba — odezwał się Wołodźka, spojrzawszy z pogardą na Wanię — ale ja nie wiem, gdzie on teraz będzie mieszkał.

— Kto?

— Żołnierz.

— Jaki żołnierz?

— Bohater sztuki, Matriono Iwanowno — wyjaśnił Wania. — Trzeba jaśniej się wyrażać, Marow. On już dawno nie jest żołnierzem.

— A ja już się zlękłam: jak to, gdzie będzie mieszkać żołnierz? Rzeczywiście powinniście się wyrażać jaśniej, inaczej można by pomyśleć, że u nas żołnierze nie mają gdzie mieszkać. A czemu idea się nie podoba?

— No, tak... postawiono dwuznaczne pytanie: gdzie będzie mieszkał Iwan?

— Tylko nie dwuznaczne! — zezłościł się Wołodźka. — Dwuznaczne... Pytanie zupełnie zwyczajne.

— No, no?

— Swój dom przeznaczył na żłobek, do teściów po tym, co się stało, nie pójdzie, to gdzie będzie mieszkać, co?

— No, znaleźliście temat do kłótni! Koguty! Pomieszczenie da mu kołchoz. Jest obowiązek mu dać, skoro człowiek oddał własny dom na żłobek.

— W sztuce o tym nie ma.

Wdowina zamyśliła się.

— Możliwe, że to niedopatrzenie autora. Wiecie co, zadzwonię do niego i poproszę, żeby uzupełnił ten fragment. Bo to rzeczywiście można zrozumieć opacznie... Można pomyśleć, że Iwana pozostawiono na pastwę losu... Poproszę go, żeby wyjaśnił sprawę mieszkania. Już ja go zawiadamiałam, że wzięliśmy do wystawiania jego sztukę, pogratulował nam i prosił, żeby wszystkim przekazać pozdrowienia. Zadanie poważne, kochani. Jeśli zajmiemy pierwsze miejsce na przeglądzie...

W tym miejscu wybuchła wrzawa.

— To co wtedy, Matriono Iwanowno?

— Oj, proszę powiedzieć!

— Matriono Iwanowno, powiedzcie.

— Dadzą nam odznakę teatru ludowego?

— No, za jeden spektakl...

— Jak by tu zrobić?

— Urządzą nam może objazd po całym okręgu?

Wdowina, uśmiechnięta, zaklaskała w dłonie.

— Spokojnie, kochani, spokojnie!

— No, powiedzcie, Matriono Iwanowno!

— Nie, nie, nawet mnie nie proście. — Wdowina uśmiechała się. — Jeżeli nie będziecie wiedzieli, to będziecie lepiej pracować! No tak. Będzie to nawet bardziej pedagogiczne. No, do roboty, przyjaciele!

Do klubu weszła dziewczyna z poczty.

— Matriono Iwanowno, telegram do was. Ja już byłam u was w domu, ale tam nikogo nie ma...

Matriona Iwanowna włożyła okulary, przeczytała depeszę.

— Co za zbieg okoliczności — powiedziała. — Tylko co o nim mówiliśmy...

— To od autora?

— Tak. Pisze: „Pieśń „Mój Wasia" wykreślić. Stop. Bohaterka śpiewa „Ktoś zszedł w dolinę". Stop. Życzę sukcesów. Kopyłow". Niepokój go trawi, pamięta.

— A czy ona tam śpiewa? — zapytał Wania.

— Kto?

— No, bohaterka. Ona przecież nie śpiewa.

— Ach, tak, rzeczywiście... Nie przypominam sobie, żeby śpiewała. Jemu na pewno pomyliły się sztuki. Gdzieś jeszcze pewnie wystawiają jego utwór... Oczywiście, pomylił się. Zatelefonuję i wszystko wyjaśnię. A teraz — do roboty, przyjaciele, do roboty!

Przełożyła:
BARBARA RESZKO

Z tomu W. Szukszyna „Rozmowy przy jasnym księżycu", wydanego przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

MYKOŁA WINHRANOWSKI

★ ☆ ★

Stoi sucha kukurydza,
W źdźblach wyschniętych suche proso.
Bociek — coś w nim jest z Kirkiza —
Po żółtym polu chodzi boso.

Zeżarł lis — no i już nie ma.
Resztki w wyżółkłej ciszy liże.
Z chmurzątkami jak najwyżej
Chmurza mama wędruje smętna.

Żona śpi. Na stołu blacie
Leżą trykoty, fildekosy.
W szybie czart do rannej rosy —
Zorza i czart w czarnym kwadracie.

W owym czarcie coś jest ze mnie
I coś jest dla mnie w tamtej zorzy...
Droga smuży się czerwiennie,
A żółta chmura w górze krąży.

Przełożył z ukraińskiego TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

TAMARA ŻIRMUŃSKA

BAJKI

J. KAZAKOWOWI

W niemieckich bajkach
czart rogaty
wszechwładnie rządzi krajem całym.
Na cienkich nóżkach w stronę chaty
brnie poprzez błota krawczyk mały.

W angielskich —
chłopczyk bladolicy,
garkuchnia, świerszcz, omszały kamień.
A we francuskich — biedny rycerz
podaje pantofelek damie.

W rosyjskich —
chłopaczysko chrapie,
w śnie pogrążony na polanie.
Otworzy oczy grzbiet podrapie,
I wyrwie sosnę z korzeniami!

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

STIEPAN SZCZIPACZEW

LIRYKI WOJENNE

☆

Przeniosłem miłość swą przez wszystkie złe rozłąki
Szczęśliwy dziś, że chociaż nie ma ciebie
Nie dotknął cień jej nawet, obcej, złodziejskiej ręki,
że jej nie rozwlókł wiatr po posiwiałym niebie.

☆

Potyczka dziś i jutro znów od nowa
W ziemiance piach się sypie od ostrzału
Wciąż wojna trwa – od ciebie ani słowa,
Trwasz w moich snach zgarbiona, posiwiała

Nieprawda to! Ty ciągle jesteś piękna
I oczy twe zielone są i młode
I kocham cię – czas niby granat pęka
a ja twych oczu zapomnieć nie mogę.

Przełożył: JERZY WILMAŃSKI

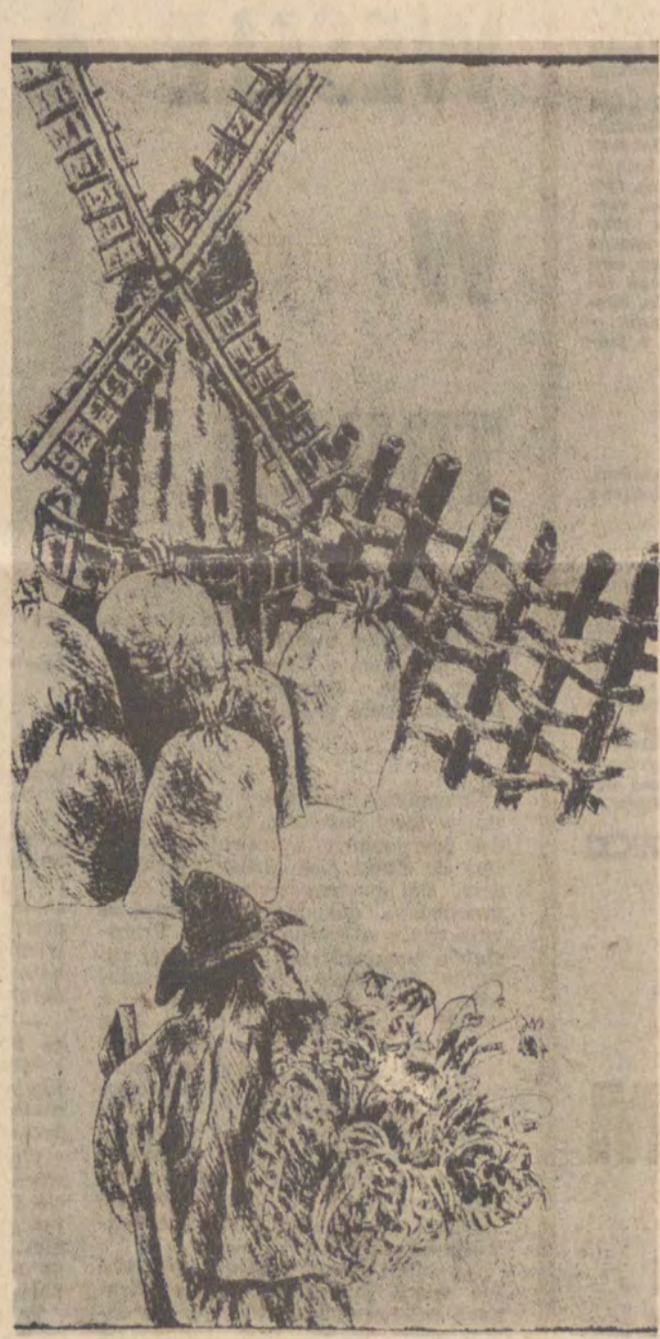

FIKRET SADYCH

★ ☆ ★

— W drogę! — potok wzywa.
Ziemia – milczy w tej chwili.
Kamień – myśli ukrywa.
Kwiatek głowę chyli.

— W drogę! — mgła przyzywa.
Dolina — milczy w tej chwili.
Góra — myśli ukrywa.
Trawa głowę chyli.

— W drogę! — sztorm przyzywa.
Lasek — milczy w tej chwili.
Drzewo — myśli ukrywa.
Listek głowę chyli.

— W drogę! — rozłąka wzywa.
Słońce — milczy w tej chwili.
Człowiek — myśli ukrywa.
Miłość głowę chyli.

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

Zdjęcia: ARCHIWUM

WŁADYMIR TOROPYGIN

★ ☆ ★

Gdy wam czegoś brakuje na co dzień,
Jeśli martwo pieśń wasza dźwięczy —
Pewnie jeszcze się nie narodził
Wasz poeta, poeta największy.

Niech poeci piszą o was pieśni —
Pokolenia, kraje, planety
Kim byliście i kim wy jesteście,
Jeśli nie ma wśród was poety?

Prawda, byli Dante i Szekspir.
Legion innych poetów już tworzył.
Ale własnych poetów, wielkich
Prócz was — światu nikt dać nie może.

Więc słuchajcie ich i czytajcie,
I poetom nauczcie się wierzyć.
I troszeczkę ich nie rozumiejcie —
Wy ich jeszcze pojmiecie kiedyś...

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

PETRAS PALILIONIS

★ ☆ ★

Kobiety
rozmawiają w autobusie
o niewierności mężczyzn
Pierwsza —
siedemdziesięcioletnia
druga —
ma lat siedemnaście
Smutno mi lecz rozumiem
że na tym świecie
są jeszcze rzeczy
wiecznotrwałe

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

NOBEL-1975

EUGENIO MONTALE

Werdykt Szwedzkiej Akademii przyznający tegoroczną nagrodę Nobla w dziedzinie literatury sędziwemu poecie włoskiemu Eugenio Montale mógł zaskoczyć czytelników, ale chyba nie będzie budził kontrowersji. Należy on bowiem do tej, nie tak znów licznej grupy pisarzy, których zalety dzieła zostały docenione już dość dawno, choć nie są natrętnie obecni na rynku literatury, nie szukają bowiem sensacji ani w swojej twórczości, ani nie tworzą skandalicznej otoczki wokół dzieła, stanowiącej zwykle znakomitą reklamę. Twórczość Eugenia Montale i pisarzy jemu podobnych funkcjonuje raczej wśród dość nielicznej elity czytelniczej, nazywana bywa hermetyczną. Z reguły nie robi nigdy wielkiej kariery, wymaga bowiem bardzo osobistego stosunku czytelnika do utworu, wielokrotnego odczytywania, rozmyślania nad wierszem. Z tego względu nagroda Nobla jest nie tylko wyrazem uznania dla znakomitej poezji Eugenia Montale, ale i niebagatelną zachętą dla bliższego zapoznania się z jej mądrością i pięknem.

Eugenio Montale urodził się 12.X.1896 r. w Genui. Myślał początkowo o karierze śpiewaka operowego. Podjął również studia humanistyczne. Jego plany życiowe zmieniły się zasadniczo pod wpływem osobistych doświadczeń w czasie pierwszej wojny światowej. Montale uczestniczył w niej jako oficer piechoty. Zapewne śmierć jego nauczyciela śpiewu, znakomitego barytona Sivoriego, jak i wojenny bagaż doznań i przemyśleń wpłynęły na decyzję rezygnacji z kariery muzycznej i poświęcenia się literaturze.

W 1922 r. wraz z G. Debenedettim i S. Solmim Montale zakłada pismo literackie „Primo Tempo", które zresztą upada po ośmiu numerach. W trzy lata później jednak sam Montale debiutuje tomem wierszy „Ossi di Seppia", przyjętym entuzjastycznie zarówno przez czytelników jak i krytykę. Świeży, barwny język, bezpośredniość wypowiedzi, różnorodność tematyczna, pozorna niedbałość ukrywająca bardzo precyzyjne wewnętrzne powiązania wierszy mogły się podobać różnym kręgom czytelniczym.

Od tej chwili Montale systematycznie, mimo niewielkiej objętościowo twórczości, zdobywa uznanie i szacunek dla swojego dzieła i również dla swojej postawy wobec życia. Nieufny, traktujący świat jako pustkę, nicość maskowaną nieustanną grą pozorów, nie dowierzający człowiekowi, zdający sobie sprawę, iż rzeczą bardzo rzadką i bardzo uciążliwą jest dążenie do szlachetności, jednak nie usuwa się na margines życia społecznego ówczesnych Włoch. Od 1927 roku pracuje w wydawnictwie we Florencji. Jest współredaktorem głośnego wtedy miesięcznika „Solaria'. Przez pewien czas pełni funkcję dyrektora naukowo-literackiego instytutu „Gabinetto Vieusseux". Przez pewien czas, bowiem usunięto go z niej z powodu podpisania antyfaszystowskiego manifestu intelektualistów zredagowanego przez Benedetta Croce oraz za odmowę wstąpienia do partii faszystowskiej.

Drugi tom wierszy, wydany w 1939 roku „Occasioni", przyniósł pogłębienie pesymistycznych akcentów poezji Montalego. Tym silniej na tle takiej wizji świata ujawniają się wszelkie próby nawiązania kontaktów międzyludzkich, przełamujących samotność i rozpacz. Niemniej w chwili zakończenia wojny Montale natychmiast wraca do aktywności okresu młodzieńczego. W 1945 r. opublikował rozprawę „Faszyzm i literatura". W 1948 przeniósł się do Mediolanu, gdzie podjął pracę w redakcji „Corriere della Sera". Tutaj publikował opowiadania wydane później w tomie „Farfalla di Dinard" (1956). Zebrał również w jeden tom tłumaczenia z literatur obcych (Szekspir, Marlowe, Eliot, Corneille, Guillen).

W 1966 r. ukazał się tom szkiców krytycznych „Auto da Fe" oraz trzeci tom wierszy „Bufera e Altro". W tymże roku w uznaniu zasług literackich Eugenio Montale uzyskał tytuł senatora. Wreszcie w 1971 r. ukazał się czwarty tom wierszy „Satura'.

Wiersze Eugenio Montalego są klasycznie opisowe i powściągliwe. Poeta kształtuje wiersz dość swobodnie, wykorzystując jednak bardzo precyzyjnie zarówno rytmikę jak i rym. Obraz i sens w wierszu buduje często na opisie krajobrazu, rzeczy, zjawisk przyrody, zwierząt czy roślin. Obraz z reguły jest konkretny, w toku wiersza jednak poddany refleksji. Niewyczerpywalny, bogaty konkret w ten sposób sam niejako podsuwa możliwość doszukiwania się pewnych analogii między nim a człowiekiem, prowadzi to do symbolicznych interpretacji własnego, ludzkiego losu. Nietrwałość, pustka kryjąca się poza maskami rzeczywistości, okrutna ale bezsensowna gra żywiołów obojętnych na ludzkie doznania, pracę i poszukiwania — to elementy rzeczywistości przedstawianej w poezji Montalego. Lecz choć z jednej strony stwierdza poeta

tworzą się tutaj historie i czyny
przez igry losu przekreślone potem

lub

Dobra nie znałem prócz tego wyroku,
co oczom odsłania obojętność boską...

z drugiej strony podkreślać będzie konieczność wyrwania się poza tę straszliwą, może nawet beznadziejną, sytuację ludzkiego uwikłania we wszystkie okrucieństwa i bezsensy natury:

Ty za rozdartym okiem w sieci szperaj
co nas oplata, pryskaj, uciekaj w świat!
Idź, wymodliłem ci to — pragnienia ból teraz
miły mi będzie, mniej żrącą rdza...

Wyznanie wiary Montalego, znakomity wiersz „Dom nad morzem", jawi się w kontekście jego pesymizmu niemal jak testament. Tym szlachetniej i głębiej słowa: „Chciałbym nim ustąpię tę drogę ci wskazać, co ucieczce dana".

W Polsce, niestety twórczość Eugenio Montale jest prawie nie znana. XX-wieczna poezja włoska, posiadająca tak znakomitych twórców, jak Montale właśnie, Umberto Saba, Giuseppe Unagaretti nie trafiła jeszcze do nas. Prawie wszystko zawdzięczamy Zygmuntowi Ławrynowiczowi, który wytrwale od lat prezentuje czytelnikom polskich czasopism literackich wiersze tych wybitnych Włochów. Również przede wszystkim jemu zawdzięczamy możliwość zaprezentowania Państwu sylwetki i wierszy tegorocznego laureata nagrody Nobla. Myślę, że najwyższy czas pomyśleć o książce nie tylko zresztą dla Montalego, ale i jego znakomitych kolegów.

JERZY PORADECKI

EUGENIO MONTALE

DOM NAD MORZEM

W tym miejscu koniec jest podróży:
w trywialnych troskach, które trują
duszę do krzyku niezdolną bez mała.
Chwile są teraz miarowe, te same,
jak obrót koła w regularnej pompie.
Obrót: i z pluskiem leci strumień wody.
Następny, znów woda, koło skrzypi czasem.

Kończy się podróż na piaskach wybrzeża
gładzonych niestrudzenie przez łagodne pływy.
Na łąkach morza nic prócz oparów
leniwych, w których żłobi muszlowe zagłębia
subtelna bryza i nader rzadko się zdarzają
chwile gdy w morskiej ciszy się pojawia
wśród wysp wędrownych w zaspanym eterze
Korsyka garbata albo też Capraia.

Pytasz czy aby tak przepada wszystko
we wspomnień mgiełce niewielkiej i ginie,
czy w chwili, co oślepia, albo też w westchnieniu
fali u brzegów spełnia się los wszystek.
Chciałbym zaprzeczyć, powiedzieć, że bliska
jest już godzina gdy czas przezwyciężysz.
Może tylko kto pragnie, w nieskończoność urasta,
ty to może potrafisz, kto wie, ale nie ja.
Myślę, że dla większości nie będzie zbawienia,
lecz zjawia się kto wszystkie obala wyroki,
wymyka się z matni, takim się znajduje,
jakim być pragnął. Chciałbym nim ustąpię
tę drogę ci wskazać, co ucieczce dana,
łamliwą jak na wzburzonych polach morza
bruzdy lub piana.
Tobie także oddaję skąpą nadzieję moją,
na nowe dni już jej pomnożyć nie mam siły:
twoim losem w ofierze, byś ty wolna była.

Tu podróż nasza kończy się koliskiem
wyrąbanego przez pływy wybrzeża.
Już mnie nie słysząc twoje serce bliskie
szlak ku wieczności być może przemierza.

Przełożył:
ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

REPORTAŻ ZAGRANICZNY-GRUZJA

ZBIGNIEW WIRSKI

WESELE W TBILISI

Fot. Archiwum

Spacerowaliśmy po Soczi, kiedy podszedł do nas Gruzin w średnim wieku.

— Przepraszam. Szukam sklepu z częściami samochodowymi.

— My nietutejsi — wyjaśniłem.

Odszedł, ale zawrócił i zapytał:

— Skąd jesteście?

— Z Polski.

— Z Polski — wykrzyknął. **— Warszawa, Łódź, Poznań, Wrocław...**

— Był pan w Polsce?

— Nie, ale wiem wiele o waszym kraju i bardzo chciałbym go zwiedzić. Przyleciałem z Tbilisi do Soczi po zakupy. Szukam dobrego kawioru. W sobotę mam wesele młodszej córki. Chcę także kupić części do mojego „moskwicza", Czy długo jeszcze będziecie w Soczi?

— W czwartek odlatujemy właśnie do Tbilisi.

— Tbilisi! Musicie koniecznie zobaczyć jego stare, pełne uroku dzielnice. Do widzenia.

Wrócił ponownie.

— W sobotę w mojej rodzinie będzie wielkie święto — wesele mojej córki. Jak przylecicie do Tbilisi, przyjdźcie do nas. Zapiszcie adres. Łatwo znajdziecie mój dom. Dojedziecie metrem do stacji 26 Komisarzy. W mojej dzielnicy znają mnie. Gdy zapytacie o Kolę, każdy wskaże wam drogę. Przyjdźcie koniecznie. Do zobaczenia w Tbilisi.

1.

Drewniany, parterowy dom Koli stoi w głębi podwórza. Z lewej ogródek przydomowy, z prawej, przylegający do domu Koli, drugi drewniany dom. Do wnętrza wchodzimy przez przeszkloną dobudówkę. Gospodarz wita nas z widoczną radością. Przedstawia żonie, córkom i pozostałej rodzinie. W trakcie rozmowy dowiadujemy się, że rodzina Koli pochodzi z wioski. Są Ormianami. Córki Koli skończyły wyższe studia. Starsza jest lekarką, a młodsza, która wychodzi za mąż — pedagogiem. Jej narzeczony jest chirurgiem.

Kola w czasie wojny walczył z Niemcami. Teraz pracuje w fabryce. Starsza córka biegle włada językiem angielskim. W domu używa się języka ormiańskiego. Z nami rozmawiają po rosyjsku.

Na ulicy, przed domem Koli stoi już spory tłumek odświętnie ubranych gości i widzów. Na razie do domu panny młodej nikt jeszcze nie wchodzi.

— Czekajcie cierpliwie — wyjaśnia Kola. **— Znajdę was w odpowiednim momencie i powiem co macie robić. Czekamy na przyjazd pana młodego i jego gości.**

Punktualnie o godzinie siedemnastej słyszymy melodyjne, ciągłe głosy telu klaksonów samochodowych. Zza zakrętu wyjeżdża kilkanaście samochodów osobowych. Pierwsza podjeżdża „wołga" przystrojona wstążkami i siedzącą na masce dużą lalką w stroju weselnym. Pan młody wysiada. Przy furtce spotka się z wychodzącą panną młodą i oboje wsiadają do przystrojonej „wołgi". Goście weselni wsiadają do pozostałych samochodów. Podbiega do nas Kola.

— Siadajcie do tej czarnej „wołgi". Jedziemy do Urzędu Stanu Cywilnego.

Zbiorowy sygnał klaksonów samochodowych towarzyszy naszemu odjazdowi. Na ulicach Tbilisi pozostałe pojazdy wyraźnie ustępują pierwszeństwa kawalkadzie wiozącej weselników.

2.

Pałac Ślubów mieści się w pięknym gmachu o nowoczesnej architekturze. Wewnątrz marmury, boazerie, lustra. Pałac spełnia wiele funkcji. Mieści urzędy, sale ślubów i sale wesel z odpowiednimi zapleczami. Zamawiający wesele podaje kwotę, jaką przeznaczył na ucztę weselną i liczbę gości. Obowiązki organizatora wesela przejmują pracownicy pałacu.

Ruch w pałacu jest duży. Odbywa się kilka ślubów. Obserwuję młodą parę. Liliana, urodziwa, czarnooka i czarnowłosa, ubrana w długą suknię ze srebrnej lamy i pantofelki pokryte tym samym materiałem. Krótki welon, białe rękawiczki i bukiet ślubny uzupełniają strój. On, w czarnym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie. Kruczowłosy, smagłolicy, silnie zbudowany mężczyzna. Dobrana para.

Znów wsiadamy do samochodu. Ulicami Tbilisi jedziemy do oddalonej o 26 km Mcchety — dawnej stolicy Gruzji. Tu w zabytkowym obiekcie z XI wieku przy grobach książąt założycieli Gruzji odbywa się zwyczajowe ponowienie przyrzeczeń przez młodą parę.

Wracamy pod dom panny młodej. Para młoda i goście rozdzielają się. Orszak pana młodego odjeżdża do jego domu. My zaś z rodziną i gośćmi panny młodej wchodzimy do domu Koli. Jest teraz „czas oczekiwania i wesela" — oczekiwania na przyjazd pana młodego i początek wesela. W czasie oczekiwania i wesela nie je się i nie pije.

3.

Kola przedstawia mnie starszemu, posiadającemu wiele odznaczeń Gruzinowi. Sergiusz jest emerytem. Zrobił dla panny młodej pantofelki ze srebrnej lamy. Jest szewcem. Jak najlepszy przyjaciel dba o to abyśmy rozumieli znaczenie następujących po sobie wydarzeń. Na piętnaście minut przed dziesiątą następuje nagłe ożywienie, a panna młoda i wszystkie kobiety śpiesznie opuszczają dom. Sergiusz tłumaczy nam:

— Nadchodzi czas wykupu. Niedługo nadejdzie pan młody. Ani jedna kobieta nie może pozostać w domu. Kryją się w sąsiednich zabudowaniach. Pan młody będzie musiał odszukać oblubienicę i wykupić.

Wychodzimy przed dom. Na podwórze wkracza pan młody, jego goście i muzycy. Pan młody przeszukał już dom Koli. Szuka teraz w sąsiednim domu. Wraz z gośćmi idziemy za nim. Wreszcie panna młoda odnaleziona.

W dużej izbie goście i sąsiedzi stają pod ścianami. W środku tego kręgu, w rytmie pięknej melodii rozpoczyna swój taniec panna młoda. W imieniu pana młodego wykupu dokonuje ojciec chrzestny. Szpakowaty, przystojny wysoki mężczyzna tańczy w kręgu starając przybliżyć się do panny młodej. Pięknie tańcząca dziewczyna zwinnie umyka, zwodzi, odwraca się. Melodia brzmi coraz głośniej. Coraz szybciej wybija rytm bębenek. Każde przybliżenie mężczyzna okupuje banknotami wkładanymi w ręce tańczącej. W kręgu, tańczą jeszcze siostra panny młodej i jej brat, student, sierota z czasów wojny adoptowany przez Kolę. Stanowią oni jak gdyby ochronę panny młodej. Obie ręce Liliany zapełniają się różnej wartości banknotami. Jej taniec staje się coraz wolniejszy, ale wciąż pełen wdzięku i uroku. Wreszcie przystaje. Podchodzi do niej pan młody. Tańczą razem.

— Pięknie tańczą — mówi stojący obok mnie Sergiusz. **— Wiesz, że oboje skończyli dodatkowo średnią szkołę tańca.**

Siadamy do stołów, każdy na wskazanym mu miejscu. Kola staje przy drzwiach, w miejscu gdzie podkowa stołów nie domyka się. Jest to jego stałe miejsce na czas wesela. Ma czuwać, aby gościom niczego nie zbrakło.

Przez drzwi podają Koli tacę z butelką koniaku i sześcioma kieliszkami. Kola napełnia kieliszki. Trzy kieliszki podaje gościom po lewej stronie — ojcu chrzestnemu pana młodego, wodzirejowi wesela i starszemu Gruzinowi z odznaczeniami. Trzy kieliszki podają na naszą stronę, mnie, mojemu koledze i Sergiuszowi. Naszej koleżance, która sięgnęła odruchowo po kieliszek, delikatnie zwrócono uwagę:

— Kobiety teraz nie piją.

Goście wyróżnieni pierwszymi kieliszkami koniaku wstają. Krótkie przemówienie w języku ormiańskim wygłasza wodzirej. Spełniamy pierwszy toast.

Sergiusz wyjaśnia mi, że pierwsze toasty spełnione koniakiem, to przywilej wyróżnionych gości. W czasie uczty pije się wino małymi łykami. Kobiety, które towarzyszą zaproszonym gościom, mogą pić wino po uzyskaniu zwyczajowej zgody swojego partnera. Uczta trwa. Co chwila któryś z gości wstaje i wygłasza przemówienie lub składa krótkie życzenia. Przemawia również pan młody, dziękując obu rodzinom za wychowanie i wykształcenie swoje i żony. Goście zachowują się poważnie. W czasie całej uczty nikt nie pali tytoniu.

— Chciałbym złożyć życzenia młodej parze. Czy mógłbym przemówić? — pytam Sergiusza.

— Dobrze, że o tym pomyślałeś — odpowiada Sergiusz. — **Przygotuj się. Uprzedzę cię, po kim zabierzesz głos.**

— Pozwólcie, że złożę życzenia w moim języku i wypiję zdrowie młodej pary zgodnie z moim zwyczajem.

Po krótkich życzeniach wypijam wino do dna.

4.

Punktualnie o godzinie drugiej w nocy goście wstają i wychodzą przed dom. Nie mogę zorientować się, co się dzieje. Podchodzi do nas pan młody.

— Jedziemy teraz do mojego domu.

— W domu młodego będzie długa uczta — mówi Sergiusz — **a wy macie samolot z Tbilisi po południu, możecie się spóźnić.**

Zostajemy w domu Koli, gdzie ponownie siadamy do stołu. Teraz jest uczta dla kobiet, które pracowały w kuchni i podawały do stołu. Kobiety z rodziny gospodarza, również matka Liliany, nie uczestniczyły w pierwszej części uczty.

— Liliana jako narzeczona nie miała dotychczas wstępu do domu swego narzeczonego — wyjaśnia nam Sergiusz. — **Teraz, już jako żonę syna powita ją teściowa na progu domu. Na znak przekazania młodej kobiecie władzy nad domem stłucze przed nią talerz. Następnie napełni winem czarę i poda ją najpierw synowi, a później synowej. Od tego czasu gospodynią domu jest młoda kobieta**

Pora już nam rozstać się z gościnnym domem. Serdecznie dziękujemy. Żegnamy się z gospodarzem i rodziną.

Zbigniew Wirski jest inżynierem budownictwa. Pracuje w Kutnowskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Jest racjonalizatorem. Gruzję zwiedzał w nagrodę za swoje osiągnięcia racjonalizatorskie.

ROLA REWOLUCYJNEGO PROLETARIATU

Organ teoretyczny KC KPZR, „Komunist", w październikowym numerze zamieścił artykuł G. Trukana pt. „Wielki Październik: kierownicza rola rewolucyjnego proletariatu". Poniżej relacjonujemy treść tego artykułu.

Sprawa międzynarodowego znaczenia Wielkiego Października, jego roli w historii światowej znajduje się w centrum walki ideologicznej między kapitalizmem i socjalizmem — pisze G. Trukan. — Im silniejsze jest ciążenie mas pracujących do poznania znaczenia największej z rewolucji, tym gwałtowniejsze są wysiłki ideologów imperializmu i „rewolucjonistów" wszelkiej maści do kwestionowania jej nieuniknioności i prawidłowości, ograniczania jej do ram krajowych, wyjaśniania jako „zjawisko rosyjskie". Doświadczenia historyczne wykazały w sposób oczywisty, że przebieg rewolucji socjalistycznej w każdym kraju podporządkowany jest wspólnym dla wszystkich krajów prawidłowościom, wyrażającym jedność treści światowo-historycznego procesu przechodzenia od kapitalizmu do socjalizmu. Chodzi o jakościowy skok w rozwoju społeczeństwa, o rewolucyjne przechodzenie od opartego na wyzysku kapitalistycznego porządku do ustroju socjalistycznego wolnego od wyzysku i ucisku, a w perspektywie — do bezklasowego społeczeństwa komunistycznego. Mimo istnienia istotnych różnic w warunkach i formach rozwoju rewolucji w tym czy innym kraju, prawidłowości zasadnicze, które po raz pierwszy pojawiły się podczas Wielkiego Października, mają i będą miały znaczenie nieprzemijające.

Zwycięska rewolucja socjalistyczna — czytamy dalej — możliwa jest właśnie wówczas, gdy proletariat konsekwentnie i do końca realizuje swą kierowniczą rolę. Ideolodzy antykomunizmu kierują wszystkie swe siły przeciw temu głównemu filarowi komunizmu naukowego, aby zdezorganizować walkę klasy robotniczej i pomniejszyć jej autorytet jako hegemona rewolucji. W tym pomagają im aktywnie prawicowi i „lewaccy" rewizjoniści, którzy bezskutecznie starają się dowieść, że klasa robotnicza utraciła kierowniczą rolę w procesie rewolucyjnym. Podzielając wrogość burżuazji do proletariatu i komunistów, oportuniści wszelkiej maści odciągają masy od głównej drogi walki sił rewolucyjnych i obiektywnie występują w roli obrońców imperializmu.

Wielkiej wagi leninowski wniosek polega na tym, że ścisły związek wzajemny walki o socjalizm stanowi prawidłowość rozwoju ruchu rewolucyjnego w epoce imperializmu; hegemonia proletariatu staje się czynnikiem stałego głębokiego i coraz większego oddziaływania klasy robotniczej na rozwój, kierunek i perspektywy procesu rewolucyjnego w ogóle.

Autor stwierdza następnie, że droga rewolucji i jej przechodzenie na wyższy stopień rozwoju w decydującej mierze zależy od poziomu organizacji i dojrzałości politycznej proletariatu, który ze swej istoty jest najbardziej rewolucyjnym i konsekwentnym bojownikiem o obalenie kapitalizmu. Siła proletariatu polega na tym, iż kieruje nim partia marksistowska. Bez tego kierownictwa niemożliwe jest zwycięstwo rewolucji socjalistycznej. Stworzenie partii bolszewickiej otworzyło nowy etap w rosyjskim i światowym ruchu robotniczym, ponieważ po raz pierwszy w historii jeden z oddziałów międzynarodowego proletariatu uzyskał organizację zdolną z powodzeniem kierować jego walką. Historia ruchu rewolucyjnego w Rosji świadczy, że klasa robotnicza pod przywództwem partii leninowskiej zawsze była przywódcą mas pracujących i roli tej nigdy nie utraciła i nikomu nie oddała.

Wielkie znaczenie dla wypełnienia przez klasę robotniczą roli przywódcy rewolucji socjalistycznej — czytamy w artykule — miało twórcze rozwiązanie przez partię leninowską problemu dróg i form zdobywania władzy politycznej. Wykorzystując wszystkie możliwości zapewnienia pokojowego rozwoju rewolucyjnego partia przygotowywała klasę robotniczą również do niepokojowej formy dokonania rewolucji socjalistycznej i wiązała wybór formy walki z konkretnymi warunkami historycznymi, z układem sił klasowych, z charakterem oporu klas wyzyskujących. Jednakże krwawa przemoc stosowana przez burżuazję w celu zdławienia rewolucji zamknęła pokojową drogę jej dalszego rozwoju. W tych warunkach partia bolszewików nastawiła się na powstanie zbrojne.

Autor przypomina, że po zdobyciu władzy i utworzeniu państwa nowego typu, a mianowicie państwa dyktatury proletariatu, klasa robotnicza pod przywództwem leninowskiej partii kierowała wszystkimi organizacjami państwowymi i społecznymi jako wyrazicielka interesów wszystkich ludzi pracy. Obiektywną prawidłowością rozwoju społeczeństwa socjalistycznego jest wzrost kierowniczej roli partii komunistycznej. Jest to — czytamy w artykule — prawidłowość ogólna, właściwa wszystkim krajom, które wstąpiły na drogę budownictwa socjalistycznego i komunistycznego.

Radziecka forma dyktatury proletariatu, odzwierciedlając specyficzne warunki Rosji, miała cechy wspólne dla proletariackiej władzy państwowej, a mianowicie realizowanie zasady kierowniczej roli klasy robotniczej na czele z partią komunistyczną, sojusz klasy robotniczej z innymi warstwami mas pracujących, wciągnięcie ludzi pracy do zarządzania państwem, odpowiedzialność organów państwowych wobec narodu i podporządkowanie ich kontroli narodu, konsekwentne stosowanie zasady centralizmu demokratycznego oraz przekształcenie internacjonalizmu proletariackiego w ważny czynnik polityki państwa.

W zakończeniu autor stwierdza, że światowy system socjalistyczny, będący tworem międzynarodowego proletariatu, występuje obecnie jako główna siła rewolucyjna naszych czasów w walce z imperializmem, o pokój, demokrację i socjalizm.

(J.W.)

ZSRR

SZEROKIE PERSPEKTYWY GOSPODARKI ROLNEJ

W wielu zagranicznych publikacjach podkreśla się, że w dziewiątej pięciolatce radziecka gospodarka przeżywa okres intensywnej technizacji rolnictwa, a nakłady inwestycyjne w tej gałęzi gospodarki przewyższają sumę inwestycji dwóch poprzednich pięciolatek razem wziętych. Eksperci na Zachodzie wyrażają opinię, że pozwoli to Związkowi Radzieckiemu, już w najbliższych latach, zająć jedno z czołowych miejsc w świecie w dziedzinie produkcji rolnej.

Znaczną część środków inwestycyjnych przeznaczono na prace nawadniające w południowych częściach ZSRR (około 2 milionów hektarów). W rejonie Rostowa nad Donem, słynącym z tamtejszych czarnoziemów, w latach 1965-1975 powierzchnia nawodnionych pól wzrosła dwukrotnie, a do 1980 roku zwiększy się o dalszych 50 procent. W Uzbekistanie, w tym królestwie bawełny, funkcjonuje już 900 rozbudowanych systemów irygacyjnych, które zraszają ponad 11 proc. powierzchni pól. Realizując plan 5-letni, w latach 1971-1975 rząd radziecki wydatnie zwiększył dostawy nawozów i traktorów. Na przykład produkcja nawozów sztucznych w latach 1971-75 wzrosła z 50 do 66 milionów ton.

Dziennik „Le Monde" zamieścił reportaż swego korespondenta, P. M. Doutrelanta, który z grupą francuskich specjalistów z zakresu gospodarki rolno-hodowlanej odbył podróż po trzech republikach radzieckich: Uzbeckiej, Azerbejdżańskiej i Rosyjskiej FSRR. Oto jego relacja:

„W dziedzinie produkcji zbóż radziecka gospodarka rolna niemal w niczym nie ustępuje dziś Zachodowi. Osiągnięcia w tej dziedzinie są wręcz znakomite, biorąc nawet pod uwagę, że nasi gospodarze pokazywali nam przeciętne rejony, czy też podawali przeciętne liczby.

W ciągu 30 lat Uzbekistan podwoił produkcję zbóż, przy tym 8-krotnie zwiększył produkcję kukurydzy. Urodzaj tych kultur na ziemiach nawadnianych osiągnął 55 centnarów z hektara, co jest dobrym wynikiem dla tak upalnego rejonu. W Azerbejdżanie w ciągu pięciu lat ogólny zbiór zboża powiększył się do 910 tys. ton, a w 1980 roku planuje się zbiory rzędu półtora miliona ton. Średni urodzaj wynosi tutaj 15 centnarów z hektara i są to niezłe wyniki, biorąc pod uwagę, iż część pól znajduje się na wysokości ponad 1200 m, na jakiej we Francji na przykład spotyka się tylko pastwiska. W okręgu rostowskim, na czarnoziemie, urodzaj wzrósł na przestrzeni 10 lat z 35 do 75 centnarów z hektara.

Do dzisiejszego dnia brzmią mi w uszach opinie naszych dwóch specjalistów z zakresu gospodarki rolnej, którzy stojąc po pas w morzu pszenicy z dojrzałych kłosów określali stopień urodzaju. Ich zdaniem — a są w tym całkowicie zgodni z opinią amerykańskich specjalistów — ZSRR, przezwyciężywszy wiele trudności, z powodzeniem urzeczywistnia swoją „zbożową rewolucję". Jeszcze trochę wysiłku w selekcji nasienia, żeby krótszy cykl dojrzewania osłabił wpływ gorących lipcowych wiatrów, które wysuszając ziarno, wyrządzają w poszczególnych rejonach szkoły dochodzące do 15 procent z ha, jeszcze nieco więcej środków technicznych do zbioru płodów i ZSRR przekształci się w jednego z ważnych eksporterów zboża, wejdzie na światowy rynek zbożowy, na którym panują teraz Stany Zjednoczone i Kanada. Ile lat dzieli nas od tego wydarzenia? Jedna pięciolatka — odpowiadają specjaliści radzieccy.

W oddali nikną wieże wiertnicze Baku i droga, wijąc się serpentyną, pnie się po górskich szlakach Grzbietu Kaukaskiego. Pierwsze pola zbożowe pojawiają się na wysokości 400 m i giną w bezmiernej przestrzeni. Po kwadransie zaczynamy już buszować po winnicach. I to jakich winnicach! Ogromne powierzchnie zasiano krzyżówkami. Mieliśmy okazję spróbować azerbejdżańskich win; są mocne, pięknego koloru. Bez wątpienia należą do rzędu najlepszych win w świecie.

Na wysokości 800 metrów winnice ustępują miejsca kulturom zbożowym i słonecznikom. Jeszcze wyżej spotkaliśmy pięć albo sześć stad dużego bydła rogatego i owic, pędzonych na wysokogórskie pastwiska. Sekretarz komitetu rejonowego partii powiedział nam, że hodowla takiego typu należy już do przeszłości i że główny wysiłek, mimo wysokich gór, kieruje się na hodowlę zbóż i winogron.

Odpowiedzialni pracownicy otwarcie przyznają, że w dziedzinie hodowli istnieją trudności, ponieważ uprzednio znajdowała się ona „w czwartym lub piątym miejscu listy najbardziej palących zadań, ustępując miejsca kulturom zbożowym, nawozom i mechanizacji zbiorów. Ta kolejność mogła się zmienić teraz, kiedy w innych dziedzinach osiągnięto już znaczne postępy. W związku z tym powstał problem, jaki typ hodowli należy rozwijać? Czy jest celowe zachować stada we wszystkich kołchozach i sowchozach? Czy też tworzyć wyspecjalizowane zespoły hodowlane na zasadach przemysłowych, fabryki produkcji mięsa, w których pracowaliby uczeni i wysoko wykwalifikowany personel techniczny?

Sądząc z gospodarstw doświadczalnych, które pokazano naszej francuskiej delegacji, najprawdopodobniej priorytetowa będzie ta droga koncepcji.

Najpierw pokazano nam zespół „Bratskij", położony 300 kilometrów od Rostowa. Na niewielkim sztucznym wzniesieniu, pośród do białości rozpalonego stepu, leży tuczna farma wielkiego bydła rogatego, przypominająca rancho amerykańskiego Środkowego Zachodu. Farma jest podzielona na dwa sektory. Z jednej strony znajduje się fabryka: wieże silosowe, składy siana, zbiorniki paszy, kruszarki i mieszadła. Fabryka, prawie bez udziału ludzi, przygotowuje pokarm, który do niedawna dostarczano do tuczarni na samochodach ciężarowych. Po drugiej stronie znajduje się sześć częściowo krytych obór, każda długości 450 m, w których jest 20 tys. byczków.

Pięć leżących w pobliżu kołchozów zaopatruje farmę w ziarno i inną karmę. Cała sieć wyspecjalizowanych farm zajmuje się produkcją i hodowlą bydła, a tutaj trafia ono wyłącznie na tuczenie. Wszystkie prace w tym wysoko zmechanizowanym przedsiębiorstwie wykonuje zaledwie 30 pracowników technicznych w białych fartuchach.

Następnie oglądaliśmy farmę hodowli świń, położoną 30 km od Moskwy. Nie ulega wątpliwości, iż w tej dziedzinie jest ona osiągnięciem w skali światowej. Na pewno wielu rzeczy mogą się tutaj nauczyć francuscy hodowcy bydła. Wyobraźcie sobie coś pośredniego między fabryką atomową a kliniką położniczą, potężnymi ścianami, podziemnymi przejściami, z gigantyczną siecią komunikacyjną i wewnętrznym mikroklimatem. Wchodząc do tego laboratorium trzeba zdejmować wierzchnią odzież i ubierać się w specjalne ubranie robocze, specjalne nakrycie głowy i obuwie. Po każdych 200—300 metrach buty myje specjalny roztwór dezynfekcyjny. Krótko mówiąc — istnieje tutaj i działa cały szereg przepisów i ostrzeżeń absolutnie niezbędnych, wystarczy bowiem złośliwy mikrob czy wirus, żeby rozstroić ten precyzyjny mechanizm, jakim jest farma podobnej klasy.

Na niewielkiej powierzchni hoduje się tutaj ponad 100 tys świń, funkcjonuje fabryka pokarmu i oczyszczalnia. A sama farma, w odróżnieniu od kompleksu hodowlanego „Bratskij", znajduje się bezpośrednio w strefie wypoczynkowej stolicy. Prawdziwym cudem techniki jest to, że nawet o dwa kroki od farmy — mogą o tym tylko marzyć mieszkańcy niektórych dolin Bretanii — nie czuć żadnych innych zapachów, poza orzeźwiającym tchnieniem pobliskiego lasu. Skonstruowane tutaj urządzenia oczyszczające są tak doskonałe, że przepuszczana przez nie woda odzyskuje 98-procentową czystość.

To centrum hodowlane, uruchomione w 1971 roku, kosztowało, bagatela, 23 miliony rubli. Ale już się zamortyzowało. Mając 21 milionów rubli rocznego obrotu przynosi co roku 9 milionów rubli dochodu. A z technicznego punktu widzenia jest szczytem doskonałości.

Wybudowano już około 30 analogicznych, ale nieco mniejszych, zespołów hodowlanych. Nie jest to jeszcze zbyt dużo jak na potrzeby tak ogromnego kraju jak Związek Radziecki, ale są to przecież dopiero pierwsze kroki.

Nie ulega kwestii, że Związek Radziecki nie będzie zwlekać z opracowaniem generalnego planu hodowli bydła, planu opartego na szerokiej bazie przemysłowej".

Oprac. JERZY CZECH

■ Wysoka cena „nie" Kohla
■ Tymczasowy szef państwa
■ Głos Sadata w ONZ

Podpisane w czasie pobytu w Warszawie min. Genschera **porozumienia między Polską i RFN są ciągle nad Renem przedmiotem dyskusji w partii opozycyjnej.** W ostatnich dniach przewodniczący CDU — H. Kohl oświadczył, że w głosowaniu w Bundesracie powie: nie. Nie zaleci również deputowanym, zrzeszonym we frakcji CDU/CSU, zaaprobowania porozumień. Wcześniej podobne stanowisko zajął przewodniczący bawarskiej CSU — F. Strauss. Komentuje się, że to właśnie pod jego wpływem Kohl, zresztą ze znacznym opóźnieniem, wypowiedział się negatywnie, ostatecznie kapitulując przed swym wewnętrznym konkurentem.

Wypowiedź Kohla ma dwa aspekty — **świadczy o zachowawczym charakterze polityki wschodniej CDU oraz o sytuacji w tej partii.** Dzisiejsze „nie" przewodniczącego Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej może drogo kosztować za dwanaście miesięcy, kiedy wyborcy pójdą do urn. Pisze na ten temat np. „Frankfurter Rundschau". Oto główna teza komentarza: to, co dzieje się w Chadecji, nasuwa poważne wątpliwości, czy żywi ona jeszcze poważny zamiar odzyskania władzy. „Przemawia przeciwko temu bezsilność kandydata na kanclerza". Dodajmy kandydata, który przedstawił się jako wykonawca woli „twardego monachijczyka"...

Któryś z komentatorów napisał, że w biegu do fotela kanclerskiego Kohl sam sobie podstawił nogę. **A takie potknięcie może drogo kosztować.**

* * *

W ub. tygodniu, komentując ciężką chorobę gen. Franco, postawiliśmy pytanie: czy dyktator odda władzę? W chwili, kiedy piszemy te słowa z Madrytu nadeszła wiadomość, że **Franco tymczasowo przekazał władzę desygnowanemu na następcę — Juan Carlosowi.** Uczynił to niechętnie, rozważał podobno możliwość zachowania do końca „pełnych prerogatyw szefa państwa". Również Carlos, raz już przez dwa miesiące zastępujący chorego Franco, wolałby inną ewentualność — całkowite przejęcie władzy.

Innym elementem nowej sytuacji w Hiszpanii jest **oświadczenie Junty Demokratycznej,** grupującej partie komunistyczną, socjalistyczną, liberalnych monarchistów i komisje robotnicze, **iż nie zaakceptuje ona mianowania Juana Carlosa,** gdyż zapewniłby on „kontynuację dyktatury frankistowskiej". Przejęcie przez niego władzy otrzymałoby wsparcie junty tylko w przypadku, **gdyby Carlos przeprowadził szybko referendum na temat określenia konstytucyjnej formy państwa.**

Równocześnie na konferencji prasowej w Paryżu sekretarz generalny KP Hiszpanii — S. Carillo **zaapelował o utworzenie rządu tymczasowego,** który byłby szeroką platformą koalicji dla wszystkich, którzy chcą oszczędzić Hiszpanii nowej wojny domowej i ustanowić w kraju pluralizm polityczny.

Program Junty Demokratycznej obejmuje ponadto: **powszechną amnestię dla więźniów politycznych, legalizację partii politycznych oraz rozdzielenie Kościoła od państwa.**

Wydarzenia w Hiszpanii uważnie obserwowane są na całym świecie. Waszyngtoński korespondent AFP pisze, iż najwięcej obaw ma Waszyngton, gdyż możliwość wciągnięcia Hiszpanii w proces rewolucyjny na wzór Portugalii wydaje się być w pełni realna.

Powtórzeniem opinii AFP wkroczyliśmy już jednak w przyszłość. Tymczasem Madryt wsłuchuje się pilnie w komunikaty o stanie zdrowia Franco. Praktycznie **nikt już nie sądzi, aby szef państwa mógł odzyskać taką sprawność fizyczną, która pozwoliłaby mu pozostać u steru rządów.**

* * *

Najżywiej komentowanym wydarzeniem z rejonu Bliskiego Wschodu **jest wizyta prezydenta Sadata w Stanach Zjednoczonych:** jego dwa spotkania z Fordem, podpisanie czterech porozumień o dostawach zboża, mąki i tytoniu oraz o współpracy w dziedzinie kultury i opieki zdrowotnej, a także przemówienie prezydenta Egiptu na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. W tymże **Sadat opowiedział się stanowczo za wznowieniem konferencji genewskiej na temat Bliskiego Wschodu z udziałem przedstawicieli Organizacji Wyzwolenia Palestyny** jako równorzędnego uczestnika. Zaproponował nawet, aby Zgromadzenie Ogólne przyjęło rezolucję, głoszącą konieczność udziału OWP w tej konferencji. Sadat w imieniu narodów arabskich wysunął sugestię, aby przyszły rok proklamowany został rokiem narodu palestyńskiego, ponieważ jego dążenia są dążeniami do pokoju.

Przypuszcza się, że tak mocnym zaakcentowaniem problemu palestyńskiego prezydent Egiptu chciał osłabić niekorzystne wrażenie, jakie w innych państwach arabskich wywołane zostało niedawnym odrębnym porozumieniem egipsko-izraelskim. Porozumienie to — przypomnijmy — poważnie ochłodziło stosunki innych stolic arabskich z Kairem.

WITOLD SŁAWSKI

FILM

TOMASZ JUDYM?

Film „Doktor Judym" powstał, jak donosi czołówka, na motywach powieści „Ludzie bezdomni" Stefana Żeromskiego. Motywy te wypreparował z całości dzieła reżyser, Włodzimierz Haupe, przy współpracy literackiego fachowca, Andrzeja Szczypiorskiego. Słowo — motywy — filmowcy już dawno uznali, i w zasadzie słusznie, za tarczę ochronną broniącą ich przed ewentualnymi zarzutami oskarżającymi o niewierność wobec oryginału. Sprawa wierności adaptacji jest jednak sprawą wielce złożoną i mamy dowody tego, że najwięksi miłośnicy pierwowzoru literackiego potrafią godzić się z ową niewiernością, jeśli twórca filmowy „jedynie" na motywach oryginału potrafi stworzyć nowe dzieło wybitne. Wspomnijmy choćby „Popiół i diament" Andrzeja Wajdy, czy „Noce i dnie" Jerzego Antczaka.

Tytuł filmu Włodzimierza Haupego sam informuje o dokonanym przez realizatorów wyborze. Spośród wszystkich „ludzi bezdomnych" z powieści Stefana Żeromskiego wybrali postać centralną, to prawda, lecz tracąc z pola widzenia bądź upraszczając pozostałe, tej głównej odebrali siłę, która w powieści wynika z całego układu dramatów tych innych.

Oglądowi, bo o inne słowo tu trudno, filmu Haupego towarzyszy groza i swoiste zażenowanie. Mają one swe źródła w ocenie samego filmu, mają jednak również swój aspekt praktyczny. Wiadomo, że uczyni się wszystko, by film ten oglądała przede wszystkim młodzież szkolna, a więc odbiorcy najbardziej podatni oddziaływaniu kina, jakie by ono nie było. Wiadomo też, że „Ludzie bezdomni" i ideały w powieści tej zawarte nie są dziś dla młodych ludzi tak samo żywe, jak dla pokoleń poprzednich. Prawdą też jest, że Tomasz Judym pozostaje jedną z nielicznych kontrowersyjnych postaci w klasycznej literaturze polskiej. Ta kontrowersyjność stawała się i staje głównym przedmiotem szkolnych analiz, zaczynem dyskusji o ideałach życiowych, drogach wyboru, wzorcach osobowych. Ona określa sens miejsca tej powieści w lekturach szkolnych. Warsztatowe problemy „Ludzi bezdomnych" jako powieści w swym czasie bardzo nowoczesnej — to przecież drugi plan szkolnych dywagacji. Sama powieść jest zaś dopełnieniem wizerunku pisarza przez całe pokolenia czytelników szanowanego, choć zawsze znajdującego swych polemistów.

Spór o Żeromskiego wypełnia też całe tomy historyczno-literackich opracowań. Wśród fachowych już interpretacji nie ma zgody co do spraw podstawowych dla rozumienia przesłania powieści „Ludzie bezdomni". Rzecz dotyczy przede wszystkim właśnie postaci Judyma, którego portret w równej mierze zawiera znaki wskazujące tę jego wersję, która ukazuje go jako bezkompromisowego społecznika, jak i tę, która pozwala dostrzec ironiczną postawę pisarza wobec swego bohatera. Szkolne interpretacje postaci Judyma, na czym ciąży zapewne tradycja, przy całej kontrowersyjności doktora Tomasza, najczęściej skłaniają się ku wersji pierwszej, tej szlachetnej, choć zastrzegam, że nie wierzę, że jest to regułą. Nauczyciele uczą rozumieć literaturę tak jak sami ją rozumieją i czują i właśnie ten indywidualizm, przy wszystkich historyczno-literackich obowiązkach, cenimy przecież w naszych nauczycielach najbardziej.

Wracając do punktu wyjścia, postawić trzeba pytanie o to, czy owi nauczyciele, obok wszystkich innych widzów filmu „Doktor Judym", znajdą w tym „dziele" coś, co interpretacji i ocenie tytułowej postaci przyda żaru, lub choćby maleńkiego blasku ważności. Podejrzewam, że nie tylko — nie. Kto choć w części uwierzy filmowej wersji Tomasza Judyma, tego nikt nie przekona, że jest to postać, obok której obojętnie przejść nie można.

Włodzimierz Haupe i jego współpracownicy wyrządzili pisarzowi niedźwiedzią przysługę. Można by rzec, że obroni się on sam, lecz to nieprawda, właśnie dlatego, że kino jest sugestywne i łatwo uwierzyć, iż powieściowy Judym to taki Judym, jakim go film pokazuje. Jest tu tylko jedna rada — nie oglądać tego filmu, pozostać przy książce i jej bohaterze, gdyż młody widz patrząc na film Haupego gotów uwierzyć, że... „taki film jak jego scenariusz — książka". A przecież to nie tak.

Przyczyną klęski filmu „Doktor Judym" jest, jak się wydaje, uderzający brak jakiejkolwiek autorskiej próby interpretacji głównej jego postaci, bo nikt chyba z czytelników Żeromskiego nie potraktuje serio finalnej supozycji określającej dalszą drogę Judyma — a jest to jedyny wkład autorów w kreację dzieła nowego. Reszta to ruchome ilustracje wyrwanych fragmentów i wątków powieści. Ilustracje na domiar złego — niedobre, banalne w obrazach obyczajów i w obrazach stosunków społecznych, ozdobione wątpliwej jakości smaczkami, złożone w całość, której nic nie trzyma. Funkcję tę miał i mógł pełnić główny bohater. Cóż z tego jednak, skoro miota się po ekranie, budząc jedynie uczucie narastającej doń niechęci. Gdyby to było celem autorów filmu, byłaby to jakaś tam próba interpretacji i oceny tej postaci. Ale tak nie jest. Cel filmu był inny, miał pozyskać aprobatę widzów dla postaw i działań Tomasza Judyma. Osiągnięto efekt odwrotny. Smutną w tym zasługę ma również wykonawca głównej roli, Jan Englert i nie sądzę, że można go od winy uwolnić zrzucając odpowiedzialność na reżysera. Aktor musi wiedzieć, kogo chce grać, inaczej roli tej podjąć się nie powinien. Jego partnerka, Anna Nehrebecka, mimo iż tak niewiele w filmie tym miała do zagrania, wiedziała kim jest w powieści Joasia.

„Doktor Judym" Włodzimierza Haupego i jego współpracowników jest ostrzeżeniem dla następnych amatorów adaptacji. Przed podjęciem tego zadania trzeba mieć świadomość celu, jaki przed sobą się stawia. W przeciwnym wypadku literatura zemści się okrutnie, choć pozornie jest tak bezradna wobec adaptacyjnych zabiegów.

EWA NURCZYŃSKA

KOSMOS

22 października 1975 roku, po przebyciu przeszło 300 milionów kilometrów, po 136 dniach lotu, na orbitę planety WENUS weszła kolejna sonda kosmiczna — „Wenus — 9". Sonda ta stała się pierwszym sztucznym satelitą WENUS, a osiadłwszy łagodnie na powierzchni planety lądownik przesłał na ZIEMIĘ pierwszy obraz powierzchni WENUS.

UPADAJĄ HIPOTEZY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

WENUS jest drugą w kolejności, licząc od **SŁOŃCA**, planetą **UKŁADU SŁONECZNEGO**. Wraz z **MARSEM** jest najbliższym sąsiadem Ziemi. Jest najjaśniejszym po Księżycu punktem naszego nocnego nieba. Planeta ta jest cała spowita gęstą warstwą chmur. Jej atmosfera — według dotychczasowych badań — sięga wysokości około 200 km. licząc od powierzchni planety, a warstwa chmur, otaczających planetę, wynosi około 30 km i sięga wysokości około 100 km.

Kilka porównań:

— **WENUS** obiega Słońce w okresie wynoszącym 0,616 roku ziemskiego, to jest około 250 dni.

— średnica planety wynosi 0,97 średnicy Ziemi,

— masa **WENUS** — 0,815 masy Ziemi,

— **WENUS** nie posiada naturalnych satelitów.

— Obecnie **WENUS** posiada dwa sztuczne satelity. Są nimi dwie radzieckie sondy kosmiczne: **„Wenus — 9" i „Wenus — 10".**

2.

Sonda kosmiczna — jest to bezzałogowy obiekt kosmiczny, wyposażony w aparaturę przeznaczoną do badania przestrzeni kosmicznej oraz planet, do których został wysłany.

Z powierzchni Ziemi wystrzelono już wiele sond kosmicznych, skierowanych ku WENUS, Marsowi i Merkuremu.

3.

25 października 1975 roku o godzinie 8,17 czasu moskiewskiego, na powierzchni **WENUS** osiadł łagodnie lądownik drugiej sondy kosmicznej: **„Wenus — 10".** Osiadł on w odległości 2 200 km od miejsca lądowania aparatu badawczego pierwszej sondy kosmicznej: **„Wenus — 9"** i również przekazał za pośrednictwem drugiego sztucznego satelity **WENUS** panoramiczny obraz planety.

4.

„Wenus — 10" jest dziesiątą sondą kosmiczną wystrzeloną z terytorium ZSRR w kierunku planety **WENUS.**

Zaczęło się wszystko **12 lutego 1961 roku**, kiedy w kierunku **WENUS** poleciała pierwsza sonda kosmiczna: **„Wenus — 1".** Jej masa wynosiła 643,5 kg, a długość — 2,04 metra. Sonda ta przeleciała w pobliżu planety w odległości 100 tys. kilometrów, a było to w dniach 19, 20 maja 1961 roku.

„Wenus — 2" wystrzelono **12 listopada 1965 roku.** Jej masa wynosiła już 963 kg. Przeleciała ona w odległości 27 tys. km od planety.

„Wenus — 3" miała 960 kg masy i została wystrzelona **16 listopada 1965 roku.** Sonda zawierała zespół lądujący, w kształcie kuli i średnicy 90 cm. Zespół ten wylądował na powierzchni planety przy pomocy spadochronu. Stało się to **1 marca 1966 roku.** Miejsce lądowania oddalone było o 450 km od planowanego. Nie uzyskano jednak żadnych danych naukowych z powierzchni WENUS, gdyż nie otrzymano od sondy sygnałów radiowych.

„Wenus — 2" i „Wenus — 3" dokonały pierwszego międzyplanetarnego lotu zespołowego.

„Wenus — 4" wystrzelono **12 czerwca 1967 roku,** a jej zespół lądujący osiadł na planecie **18 października 1967 roku.** Z danych przekazanych przez aparaturę naukową **„Wenus — 4"** ustalono, że wahania temperatury na powierzchni planety wynoszą w miejscu lądowania od +25 do +270 stopni Celsjusza oraz że w atmosferze **WENUS** znajduje się dwutlenek węgla, azot, tlen i para wodna. Ilość dwutlenku węgla w atmsferze **WENUS** wahała się w granicach od 80 do 95 procent.

„Wenus — 5" wystrzelono **5 stycznia 1969 roku,** a **„Wenus — 6" — 10 stycznia 1969 roku.** Obie sondy wyposażone były w aparaty lądujące i oba aparaty — w dniach **16 i 17 maja 1969 roku.** — wylądowały na powierzchni **WENUS.** Z danych nadesłanych przez aparaturę **„Wenus — 5"** wynikało, że w miejscu lądowania temperatura wynosi 530 stopni Celsjusza, a w miejscu lądowania aparatury **„Wenus — 6"** — 400 stopni Celsjusza.

„Wenus — 7" wystrzelono **17 sierpnia 1970 roku.** Zespół lądujący tej sondy osiadł miękko na powierzchni planety **15 grudnia 1970 roku.** Dane nadesłane przez aparaturę badawczą potwierdziły, że w miejscu lądowania temperatura wynosi od 420 do 500 stopni Celsjusza, a średnie ciśnienie od 100 do 110 atmosfer. Aparatura lądująca **„Wenus — 7"** przeprowadziła 124 seanse łączności z Ziemią. Masą tej sondy wynosiła już 1 180 kg.

„Wenus — 8" wystrzelono **27 marca 1972 roku.** Aparatura lądująca tej sondy miękko osiadła na powierzchni planety, przekazując w czasie lądowania dane bezpośrednio na Ziemię. W miejscu lądowania aparatury naukowej **„Wenus — 8"** ciśnienie wynosiło 93 kG/cm kw., a temperatura — 465 stopni Celsjusza. Na skutek wysokiego ciśnienia i wysokiej temperatury aparatura sondy kosmicznej została zniszczona po upływie 50 minut.

„Wenus — 9" i „Wenus — 10" wystartowały w Kosmos w **czerwcu 1975 roku.**

5.

Również Amerykanie w ramach programu badań kosmicznych **„Mariner"** wysyłają sondy w kierunku planety **WENUS.**

„Mariner — 2" wystartował w kierunku **WENUS 27 sierpnia 1962 roku,** a **„Meriner — 5" — 14 czerwca 1967 roku.** W wyniku badań naukowych obu tych sond ustalono między innymi, że pole magnetyczne **WENUS** jest 300 razy mniejsze od pola magnetycznego Ziemi, że wokół **WENUS** brakuje pasa promieniowania, temperatura chmur w odległości 320 km od powierzchni planety wynosi 43 stopnie Celsjusza oraz że temperatura na powierzchni planety wynosi 267 stopni Celsjusza, a zawartość dwutlenku węgla w atmosferze **WENUS** waha się w granicach od 72 do 85 procent.

W chwili przelotu **„Marinera — 5"** odległość **WENUS** od Ziemi wynosiła 340 milionów kilometrów.

W kierunku **WENUS** wystrzelono również sondę kosmiczną **„Mariner — 10"**, która stwierdziła istnienie silnej cyrkulacji w atmosferze **WENUS.** Wyniki badań przeprowadzone przez radzieckie stacje **„Wenus — 9"** i **„Wenus — 10"** wydają się potwierdzać stwierdzenia amerykańskiego **„Marinera — 10".**

6.

Pierwsze prasowe doniesienia z Moskwy potwierdzają ważkość sygnałów przekazywanych z powierzchni **WENUS.** Przede wszystkim ludzie po raz pierwszy mogli obejrzeć zdjęcia panoramy planety w miejscu lądowania aparatury **„Wenus — 9"** i **„Wenus — 10".**

Pierwszą sensacją, której się nie spodziewano, była możliwość przekazania „reportażu" z **WENUS** przy tamtejszym oświetleniu słonecznym. Jak oświadczył specjalnemu wysłannikowi agencji TASS — Nikołajewowi Żelaznowoi specjalista od systemu telewizyjnego sond kosmicznych — dr **Arnold Seliwanow** na **WENUS** w czasie dokonywania zdjęć było mniej więcej tak jasno, jak w Moskwie w pochmurny dzień czerwcowy. Radzieccy specjaliści zaopatrzyli aparaturę lądującą w specjalne reflektory, które umożliwiłyby dokonanie zdjęć telewizyjnych, gdyby warunki naturalne **WENUS** tego wymagały, a czego się spodziewano. Tak upadła jedna z hipotez o warunkach panujących na powierzchni planety. Do tej pory badania astronomiczne powierzchni planety uniemożliwiała gęsta powłoka chmur.

Materiały nadesłane przez aparaturę lądującą **„Wenus — 9"** i **„Wenus — 10"** obaliły również hipotezę o płaskiej, piaszczystej powierzchni planety. Według opinii radzieckiego planetologa — dr **Michaiła Marowa WENUS** jest planetą młodą, jeszcze „żywą" — podlegającą procesom tektonicznym. Na podstawie wstępnej analizy zdjęć dokonanych przez aparaturę lądującą **„Wenus — 9" i „Wenus — 10"** stwierdzono, że ta pierwsza wylądowała na wysokości około 2,5 tys. metrów nad poziomem „wenusjańskiego morza", w łańcuchu górskim, posiadającym jeszcze ostre krawędzie skał, a więc stosunkowo młodym. Aparatura **„Wenus — 10"** wylądowała natomiast w otoczeniu bardziej równinnym, wśród skał starszego pochodzenia.

Niektórzy badacze zakładali, że horyzont na **WENUS** powinien być wklęsły, co miało być hipotetyczną właściwością atmosfery **WENUS.** Pierwsze wyniki badań przeprowadzonych przez aparatury lądujące **„Wenus — 9"** i **„Wenus — 10"** obaliły i tę hipotezę.

Wyniki uzyskane przez aparatury lądujące **„Wenus — 9" i „Wenus — 10"** potwierdziły, że na planecie panuje wysoka temperatura, rzędu 500 stopni Celsjusza,, ciśnienie przekracza 90 atmosfer, a aparatura „Wenus — 10" lądowała przy wietrze wiejącym z prędkością 3,5 m na sekundę.

7.

Kilka porównań:

— 20 maja 1961 roku — „Wenus — 1" przelatuje w odległości 100 tys. km od planety WENUS.

— 27 lutego 1966 roku — „Wenus — 2" przelatuje już w odległości 27 tys. km od powierzchni planety.

— 16 i 17 maja 1969 roku — zespoły lądujące „Wenus — 5" i „Wenus — 6" osiadają na powierzchni planety w czasie 53 i 51 minut.

— 25 października 1975 roku — czas lądowania aparatury „Wenus — 10" wynosił 75 minut.

Trzeba było 14 lat na doskonalenie ziemskiej techniki, aby aparatura lądująca dwu sond kosmicznych mogła osiąść łagodnie i precyzyjnie wykonać zaprogramowane działanie.: Już pierwsze wyniki, nadesłane z **WENUS** za pośrednictwem umieszczonych przez człowieka sztucznych satelitów planety, przyniosły rewelacje. Można się spodziewać, że następne dane, jakie aparaty umieszczone na planecie **WENUS** oraz krążące w przestrzeni okołowenusjańskiej satelity, przekażą na Ziemię zawierać będą również rewelacyjne stwierdzenia. Snute przez ludzi hipotezy obalają ludzie, wysyłając na planety Układu Słonecznego elektronowych zwiadowców. Sporo już wiemy o naszym Układzie Słonecznym, ale prawdziwa wiedza o naszym systemie planetarnym dopiero przed nami. Każda penetracja wysyłanej przez ludzi aparatury obala jedne hipotezy i pozwala tworzyć nowe. Przez długi czas człowiekowi zdawało się, że dobrze zna Księżyc, ale dopiero lądowanie ludzi na naszym naturalnym satelicie pozwoliło zweryfikować dotychczasową wiedzę, uściślić ją i lepiej poznać Księżyc. A i tak jeszcze wszystkiego o nim nie wiemy.

8.

Co dalej?

Uczeni radzieccy, nie rezygnując z badań nad innymi planetami Układu Słonecznego, a także Księżycem, koncentrują swoją uwagę na badaniach **WENUS.** Amerykanie natomiast więcej uwagi poświęcają Marsowi. Szeroko zakrojony jest program badania tej planety przez sondy kosmiczne **„Viking".** Obok tego Amerykanie myślą o badaniach przestrzeni okołosłonecznej, jak i o wysyłaniu sond kosmicznych w kierunku innych planet.

W 1976 roku — według projektu **NASA** — ma wystartować sonda kosmiczna **„Helios — B"**, jej celem będzie badanie Słońca i przestrzeni okołosłonecznej.

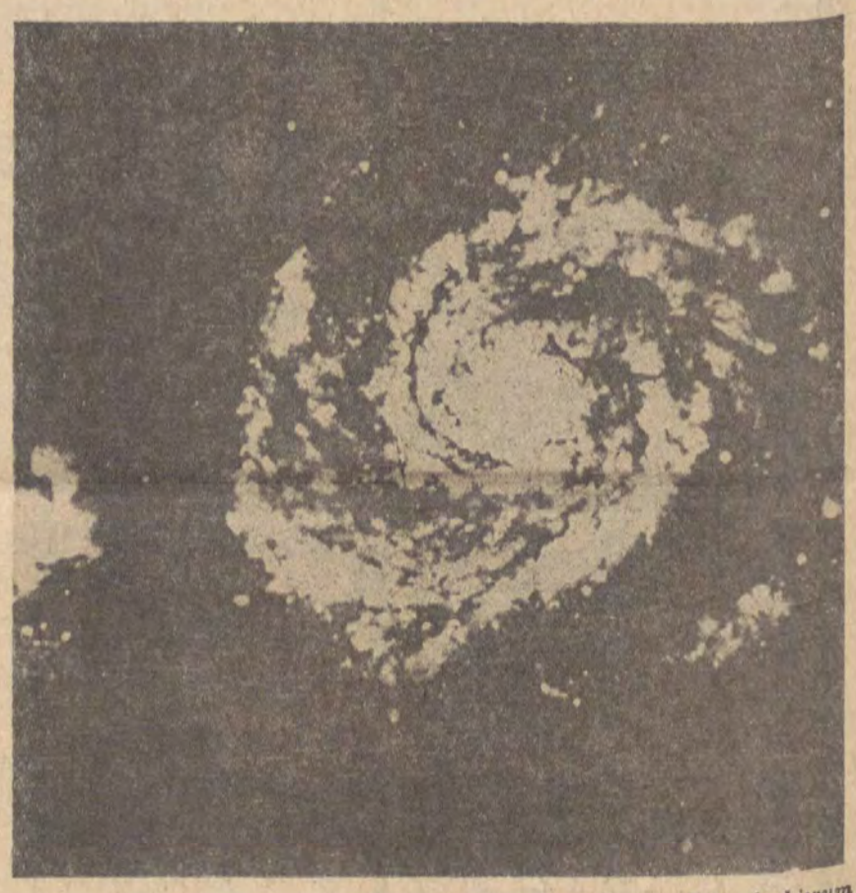

Fot. Archiwum

Na rok 1977 **NASA** planuje wysłanie trzech sond kosmicznych typu **„Mariner".** Skierowane one mają być w kierunku Jowisza, Saturna oraz księżyca Saturna — Tytana.

Rok 1978 ma przynieść dalszy postęp w badaniach **WENUS,** planuje się wysłanie dwu sond kosmicznych typu **„Pioneer Venus",** z lądowaniem aparatury na powierzchni planety oraz dalszą kontynuację programu **„Viking",** który ma na celu poznanie Marsa.

Amerykanie mają też zamiar kontynuować badania Księżyca, wysyłając w latach 1979—1991 w kierunku naszego naturalnego satelity 8 automatycznych stacji badawczych. Niektóre z nich zaopatrzone będą w samobieżne pojazdy księżycowe. Po lądowaniu człowieka na Księżycu Amerykanie — podobnie jak uczeni radzieccy — przechodzą na badanie satelity Ziemi za pośrednictwem stacji automatycznych.

Planuje się też dalszą penetrację planet Układu Słonecznego. Zarówno z kosmodromów ZSRR, jak i USA startować będą sondy kosmiczne w kierunku różnych planet naszego Układu Słonecznego. Planuje się dalszą penetrację **WENUS,** Marsa, Jowisza, Saturna, a także satelitów Jowisza. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku **NASA** projektuje na przykład wysłanie sond kosmicznych dla zbadania dwu satelitów Jowisza: Ganimeda i Io.

Wcześniej, bo w połowie lat osiemdziesiątych naszego stulecia, **NASA** planuje między innymi wysłanie dwu sond kosmicznych dla zbadania komety Enckego. Sondy te zbliżyłyby się do jądra komety na odległość... 90 km.

Co więcej nas czeka?

Nie wszystkie plany są chętnie ujawniane. Pożyjemy — jak mówią Rosjanie — zobaczymy. Penetracja Kosmosu trwa. Najbliższym celem — **poznanie tajemnic Czerwonej Planety — Marsa.**

WSPOMNIENIA

„Urodziłem się 16 maja 1896 roku w Łodzi na Żubardziu" — tak zaczyna swoje wspomnienia Władysław Spychała. A życiorys ma rzeczywiście bogaty, niebanalny i niełatwy. W piętnastym roku życia rozpoczyna pracę w łódzkiej fabryce włókienniczej. Nieco później zostaje działaczem związkowym. Jako jeden z organizatorów strajków zostaje zwolniony z pracy i wpisany na tzw. czarną listę. W roku 1924 los rzuca go do Francji, tam szuka pracy i zarobku. Wstępuje do Francuskiej Partii Komunistycznej, pełni funkcję sekretarza Komitetu Okręgowego Polskich Grup w Lille, a potem jest członkiem Centralnej Podsekcji Polskiej FPK. Za działalność polityczną zostaje wydalony z Francji w 1932 roku. Wraca do Polski, zostaje aktywnym działaczem KPP najpierw w Łodzi, gdzie zostaje aresztowany i przewieziony do Berezy Kartuskiej, potem w Piotrkowie Trybunalskim, Częstochowie i Radomsku. Potem przychodzi wojna. Władysław Spychała znalazł się wówczas na terenie ZSRR. Wstępuje do armii Andersa. Po przybyciu na Bliski Wschód jest prześladowany jako komunista, wreszcie zostaje uwięziony. W rok po zakończeniu wojny Władysław Spychała wraca do kraju. I w tym miejscu kończy swoje wspomnienia, choć biografia tego działacza komunisty nie jest jeszcze zakończona. Wyjeżdża bowiem na Ziemie Odzyskane, aby tam poświęcić się odbudowie nowego życia.

Prostota i niemal surowa powściągliwość charakteryzuje wspomnienia Władysława Spychały, jednego z wielu Polaków, których życiorysy złożyły się na historię naszej ojczyzny.

Władysław Spychała — „Odmiany losu", Książka i Wiedza, Warszawa 1975, str. 148, cena zł 20.

„GAWĘDY SKALNEGO PODHALA"

Tytuł książki Włodzimierza Wnuka nieprzypadkowo przywodzi nam na myśl książkę Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Na Skalnym Podhalu". Włodzimierz Wnuk, publicysta i eseista, znaczną część swojej twórczości poświęcił tematyce podhalańskiej. Urodzony w roku 1915 w Zakopanem, przez matkę spokrewniony z rodem Sabały, zajął się później, już w pracach publicystycznych i literackich, historią i kulturą Podhala. Z tego nurtu powstała książka „Gawędy Skalnego Podhala", która jest obszernym zbiorem, jakże popularnych i zawsze atrakcyjnych góralskich „gadek" W wyborze z twórczości podhalańskich gawędziarzy, przygotowanym przez Włodzimierza Wnuka, znajdujemy pisarzy ludowych i literatów w pełnym tego słowa znaczeniu. Antologię podzielono na trzy części. Pierwsza — obejmuje gawędziarzy, którzy sami swoich opowieści nie zapisywali, druga — pisarzy ludowych, którzy swoje gawędy zamieszczali w pismach i książkach, trzecia wreszcie — literatów piszących gawędziarskie utwory. Stąd też, obok Sabały czy J. Gąsienicy, znajdują się utwory H. Nowobielskiej, St. Nędzy-Kubińca, czy wreszcie Kazimierza Przerwy-Tetmajera, St. Witkiewicza, A. Stopki i wielu innych. Antologia zawiera także noty biograficzne wszystkich autorów. Jest to, co prawda, trzecie już wydanie „Gawęd Skalnego Podhala", ale zarówno drugie jak i obecne uzupełnione są utworami tych gawędziarzy, których pominięto w wydaniu pierwszym. Stąd też zasługuje na uwagę. A chyba i bez tej rekomendacji książka Wnuka szybko znajdzie swoich czytelników.

„Gawędy Skalnego Podhala" — wybór i opracowanie Włodzimierza Wnuka, Wyd. Literackie, Kraków 1975, str. 550, cena zł 65.

„SPOTKANIA POLSKO-FRANCUSKIE"

W Bibliotece Studiów Literackich pod redakcją Henryka Markiewicza ukazała się książka Zygmunta Markiewicza — „Spotkania polsko-francuskie". Autor od lat zajmuje się badaniem związków między literaturą polską i francuską, interesuje go okres Woltera i Stanisława Leszczyńskiego, ale przede wszystkim epoka Wielkiej Emigracji. Po wybuchu powstania listopadowego z trybuny Izby Deputowanych La Fayette głosił, że „cała Francja jest polska" Była to oczywiście przesada. La Fayette myślał bowiem o tej części francuskiego społeczeństwa, która podzielała jego demokratyczne przekonania. Toteż książka Zygmunta Markiewicza przedstawia nie tylko propolskie sympatie czołowych umysłów Francji owej epoki. W krótkim wstępie czytamy: „Celem książki, gromadzącej dokumenty „sine ira et studio" — choć może się ona wydawać oskarżeniem szeregu pisarzy francuskich, którzy z różnych powodów solidaryzowali się z wrogami Polski — było w pierwszym rzędzie zbadać przyczyny ich odmiennego stanowiska.

Można założyć, że „Spotkania polsko-francuskie" będą na pewno interesującą lekturą dla miłośników polskiej i francuskiej literatury XIX wieku, a także dla tych, których pasjonują ówczesne kontakty umysłowe między przedstawicielami tych dwu narodów.

Zygmunt Markiewicz — „Spotkania polsko-francuskie", Wyd. Literackie, Kraków 1975, str. 252, cena zł 55.

„DŻENTELMENI I POECI"

Na książkę „Dżentelmeni i poeci" składa się czternaście esejów pióra Przemysława Mroczkowskiego, anglisty, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rzecz jest w całości poświęcona literaturze angielskiej. Eseje przedstawione są w porządku chronologicznym, toteż pierwszy, zatytułowany „Pirat i mnich" traktuje o początkach angielskiej twórczości, ostatnie zaś omawiają już czasy współczesne. Autorowi chodziło nie tylko o przedstawienie możliwie całościowego obrazu bogatej literatury angielskiej, ale głównie o wydobycie tych jej aspektów, które były albo pomijane, albo zaledwie pobieżnie dostrzegane przez polskich badaczy.

„Pisząc o najodleglejszej nawet przeszłości nie zapomina nigdy Przemysław Mroczkowski o czasach, w których żyje; problemy historyczno-literackie ujmuje zawsze w perspektywy człowieka współczesnego. I to jest dodatkowym walorem tych esejów, które w sposób interesujący i kompetentny wypełniają lukę w naszej wiedzy o literaturze ojczyzny Szekspira" — rekomenduje książkę Przemysława Mroczkowskiego Wydawnictwo Literackie. Można tutaj wyrazić pewną wątpliwość. Książkę „Poeci i dżentelmeni" wydano w nakładzie dwutysięcznym. Siła rzeczy dotrze ona głównie do zainteresowanych tematem specjalistów. Luka w wiedzy o literaturze angielskiej przeciętnego człowieka pozostanie raczej taka, jak była.

Przemysław Mroczkowski — „Dżentelmeni i poeci", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, str. 306, cena zł 45.

JESZCZE RAZ DE GAULLE

„O de Gaulle'u napisano wiele na świecie i w Polsce. On sam swój wizerunek plastycznie maluje w pamiętnikach, które — choć pisane dla Historii — pozwalają poznać nie tylko przekonania, poglądy i sposób myślenia jego autora, ale i w dużym stopniu jego charakter. Tournoux charakter de Gaulle'a pokazuje w całej jego złożoności w całej jego barwie, w całej jego trójwymiarowości — pisze Zygmunt Broniarek w swojej przedmowie do książki Jeana Raymonda Tournoux „Charles de Gaulle — Po raz pierwszy ujawnione". Tournoux jest dziennikarzem parlamentarnym i od roku 1958, kiedy to opublikował swoje pierwsze większe dzieło, specjalizuje się w tematach wymagających dotarcia do tajnych źródeł. Stąd tytuł obecnie wydanej u nas książki — „Po raz pierwszy ujawnione" Stąd tytuły wcześniejszych prac francuskiego dziennikarza, takie, jak: „Tajny notatnik polityki", „Tajemnice państwowe", „Tajna historia". Generał de Gaulle, bohater wielu książek J. R. Tournoux, tak pisał w liście do niego: „Nigdy nie było dla Pana tajemnic, a dziś — dzięki Panu — nie ma ich również dla publiczności". Książka „Po raz pierwszy ujawnione" pozwala nie tylko bardziej zrozumieć de Gaulle'a — polityka i przywódcę. Wzbogaca także naszą wiedzę o problemach współczesnego świata.

B.M.

Jean-Raymond Tournoux — „Charles de Gaulle — Po raz pierwszy ujawnione", przełożył A. Galica, KiW, Warszawa 1975, str. 350, cena zł 50.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WYPISY Z „KRONIK" PRUSA

Bolesław Prus pisał felietony (wówczas mówiło się f e j l e t o n) przez ponad lat czterdzieści. Oczywiście największą sławę zyskały mu „Kroniki", które rozpoczął w „Kurierze Warszawskim" 23 marca 1875 roku. Przedtem były jeszcze felietony „Na czasie" w „Kolcach", a w międzyczasie...

W roku 1874 pisał Prus do narzeczonej: „miałem masę roboty w tym tygodniu, musiałem przygotować fejletony do trzech pism („Kolce", Niwa" i „Gazeta Polska"), co jest nie tylko w naszej, ale w każdej innej literaturze bez przykładne (...) Obecnie myślę zacząć pisać szkice z życia i miejscowości tutejszych w „Kurierze Warszawskim", co, jeżeli mi się uda, wytworzy odrębny rodzaj prozy".

Miał rację. Jego „felietonowe" pisarstwo stworzyło zupełnie odrębny rodzaj prozy, który rozwija się i zmienia, ale trwał przez dziesięciolecia i trwa do dziś.

Można się spierać (choć to sensu nie ma) czy większym pisarzem był Sienkiewicz, Żeromski czy Prus. Ale jedno jest pewne i niepodważalne: n i k t, absolutnie n i k t nie stworzył dorobku, który można by porównać z „Kronikami" Prusa. „Kroniki" te — zebrane razem — stanowią dziś d w a d z i e ś c i a wielkich tomów.

A jednocześnie z niektórych listów Prusa przebija wyraźnie lekceważenie tej „roboty parobczej", jak nazywa pisanie do gazety. Musiała go nieraz ta intensywna praca porządnie męczyć, skoro swoje felietony nazywa ironicznie „zupą" dla czytelników. Inna rzecz, że dodaje, iż w tej zupie są „kluski i kasza" czyli zawarte w tekstach tezy społeczne.

Jeśli to jednak była „zupa", „kluski i kasza" — muszą to być niezwykle trwałe koncentraty. Zachowały bowiem świeżość do dziś. Dlatego też chcę zaserwować czytelnikom parę przystawek z panaprusowego menu.

Oto fragment felietonu „Wieża paryska".

„Zobaczyłem tam trzy pracujące grupy ludzi: stu Francuzów, stu Niemców i stu nadwiślańczyków. Każda z tych grup miała wznieść osobny budynek z dużych brył ciosowych, za których ustawianie płacono im franka od sztuki.

Niemcy i Francuzi natychmiast wybrali sobie po pięciu dyrektorów i wzięli się do roboty. Polacy z początku wszyscy chcieli być dyrektorami, o co nawet pobili się i rozbiegli. Dopiero gdy im głód dokuczył, zeszli się znowu i zapytawszy o radę Francuzów, Niemców, przechodniów lub gapiów, wybrali sobie dyrektorów, ledwie wówczas, gdy pod francuskim i niemieckim budynkiem już stały fundamenta.

Ułożono się też o system wynagradzania.

W grupie francuskiej i niemieckiej każde 100 franków zarobionych dzielono w następujący sposób:

Na utrzymanie dyrekcji szło 25 fr., na oszczędność 25 fr., a pozostałe 50 fr. dzielono między wszystkich — po 25 centymów na osobę.

W grupie polskiej również płacono po 25 cent. jednej osobie. Ta jednak była oryginalność, że dyrektorowie brali 50 fr., a na oszczędność nie odkładano nic (...)"

A historia kończy się tak:

„W miesiąc zaś później gmach budowany przez Francuzów jaśniał pięknością, Niemców imponował siłą i niezgrabnością, a polski, ledwie zaczęty, począł się rozwalać. Pracujący bowiem, straciwszy chęć do roboty, wymyślali dyrektorom (...)".

Napisano te słowa... prawie dziewięćdziesiąt lat temu, bo w roku 1887. Niektóre nasze przywary mają twardy żywot. Dlatego warto je czasem przypomnieć.

Albo dalej. Pisane w roku 1890, w „Kurierze Codziennym":

„W tej galerii czy menażerii spotykamy się z inteligencją, która mówi kilkoma językami, posiada cały śmietnik wiadomości historycznych, estetycznych i literackich, a jest pozbawiona najprostszej, chłopskiej logiki. Znajdujemy deklamatorów, którzy rozprawiając o poświęceniu, miłości całego wszechświata, są najordynarniejszymi egoistami. Znajdujemy wreszcie ludzi wiecznie zadyszanych, wiecznie zajętych, wiecznie działających, którzy są skończonymi próżniakami, nic nie zrobili nigdy i nic po nich nie pozostanie".

I jeszcze na koniec cytacik prawie żartobliwy, lecz zawierający tzw. siermiężną prawdę. Otóż Prusa zwie się — całkiem zresztą zasłużenie — najbardziej warszawskim pisarzem. Niech się więc dzisiejsi farbowani warszawiacy dowiedzą, co pisał o rodakach Prus w roku 1882:

„Niechże (...) ludzie zrozumieją u nas, że warszawiaka muszą obchodzić nie tylko jego buty i bruki na Nowym Świecie, ale i trakt z Miechowa do Końskowoli. I nie tylko ten trakt, ale nawet badania naukowe, od których nie możemy się spodziewać natychmiastowego procentu".

No cóż, los felietonistów nie jest jednak taki najgorszy, skoro przez sto lat mogą pisać w kółko o tym samym. Niestety.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ŚCIEŻKA CEMENTOWO-MLECZNA

W mojej wczesnomłodzieżowej epoce, w okresie zaczytywania się książkami „o Indianach", imponującym typem fachowca i w ogóle człowieka wtajemniczonego był „restreador", czyli tropiciel, poszukiwacz śladów. Nie tropił on szukanego człowieka drogą wymyślonych analiz logicznych, nie posługiwał się żadną aparaturą ani — co jest obrzydliwym symptomem wynaturzeń wyobraźni ludzkiej naszych czasów — perfidnym wymuszaniem, torturami, szantażem. Pochylał się nad złamaną trawką i wiedział wszystko o człowieku, który tędy przechodził. Spoglądał na lecącego jastrzębia i szedł pewnym krokiem w kierunku miejsca, gdzie jastrząb ten został spłoszony przez Ostatniego Mohikanina.

Tamte książki nie rozpalają już wyobraźni dzisiejszej młodzieży. Książki Zane Greya, Maine Reyda, Karola Maya, Zevaco spotyka się jeszcze na straganach przy placu Niepodległości, na targach starzyzną — zaczytane do cna, wystrzępione na amen, po 300 złotych sztuka. Dla czternastoletnich koneserów z domów prywatno-incjatywnych. Poza tym zostały zastąpione przez film mało- i wielkoekranowy, pełen mordobicia, miażdżenia palców, kopania w brzuch i masowego zabijania dla draki. Samo sedno zainteresowań — egzotyka, przygoda, zagadka do rozwiązania, ryzyko — zostały bez zmian, ale wyraz tych zainteresowań, ich otoczka, sztafaż, egzemplifikacja — nie świadczą o sublimacji gustów. Raczej odwrotnie.

Jeszcze harcerze organizują sobie niekiedy zabawę w chodzenie za śladem. Wśród nas, dorosłych, istnieje natomiast tendencja niechodzenia za śladem, udawania, że go się nie dostrzega. Jakże łatwo byłoby bowiem nieraz wytropić niechluja, partacza, marnotrawcę, gdyby komuś na tym zależało!

Wystarczy niezbyt szybko a z otwartymi oczami przemaszerować kilkanaście kilometrów którąkolwiek szosą. Każdy ciężarowy wóz pozostawia za sobą ślad absolutnie jednoznaczny. Jeżeli wiezie węgiel — zostawia za sobą ścieżkę czarnych węglowych brył. Jeżeli to były ziemniaki — masz co parę metrów leżące ziemniaki. Jeżeli deski — możesz uciułać sobie desek na budowę ładnej wiaty. Każdy coś gubi i nikomu nigdy nie brakuje do wagi. W sezonie buraczanym mamy po szosach całe kwintale dorodnych buraków. Niestety, posypane są cementem, bo i cement też tędy wieźli. Zbierać ten cement? Nie warto, zanieczyszczony mlekiem z nieszczelnej cysterny, a z wierzchu przyprószony czerwoną glinką kaolinową.

Byli u Dickensa nędzarze, żyjący z odpadków łowionych z rzeki pod londyńskim mostem. Są ponoć jeszcze w głębi Australii ludzie, nie trudniący się niczym prócz zbieractwa. Jak by się ktoś bardzo uparł, może i udałoby mu się utrzymać rodzinę ze zbieractwa zgubionego dobra na naszych drogach. Ze zgubionych cegieł zbudowałby sobie daczę, przykryłby ją zgubioną papą. Drut na ogrodzenie bardzo trudno kupić, ale znaleźć można czasem cały zwój. Widziałem już zgubione worki z wapnem i worki z cementem, skrzynię nie wiem z czym i pudło z zapisaną maczkiem kartoteką. Widziałem, jak z samochodu wiozącego szmaty fruwały swetry i damskie detale, oczywiście znoszone, podarte, ale Australijczycy u siebie nawet takich do zbierania nie mają, a żyją.

Czytamy od czasu do czasu alarmujące wieści o tym, ile to zjadają nam szczury, ile myszy, a ile mrówki faraona.

„Gdyby wszystkie odpadki zjedzone przez szczury w ciągu roku zebrać razem i przeliczyć na słoninę, mielibyśmy stado świń zajmujące powierzchnię Tokio i Pernambuco razem wziętych..."

A gdyby tak zebrać wszystkie pełnowartościowe dobra, zgubione niefrasobliwie w czasie transportu, wgniecione w błoto, zmarnowane na skutek złego załadunku, niedostatecznego zabezpieczenia — gdyby to wszystko zebrać i przeliczyć na dni ciężkiej pracy, to ile wolnych sobót dałoby się dorzucić do tegorocznych dwunastu?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

NIE WSZYSCY SĄ ANIOŁAMI

Człowiek uczciwy i rzetelnie pracujący z niepokojem obserwuje przypadki braku dyscypliny, marnotrawstwa, nieróbstwa. Ludzie uczciwi zdają sobie sprawę z tego, że czas pracy przeznaczony jest na pracę, a nie na herbatki, pogawędki, załatwianie innych spraw lub oczekiwanie na Godota. A przecież nie wszyscy solidnie pracują przez 8, czy 7 godzin. Nie wszyscy troszczą się o wspólne mienie. Gdyby zsumować tylko czas, bezproduktywnie zmarnowany w ciągu jednego dnia, okazałoby się, że społeczeństwo poniosło ogromną stratę. I wielu ludzi zdaje sobie sprawę, że z takim zjawiskiem nie można się godzić, że stanowi ono hamulec w naszym dążeniu do rozwoju kraju, do utrzymania należnego nam miejsca na mapie świata.

Co jednak robić? Jak ma uczciwy człowiek reagować na te nieprawidłowości? Gdzie interweniować? Mówi się o takich sprawach na zebraniach, mówi się na różnych spotkaniach, pisze się o tym w gazetach, ale skutki tego są ciągle mniejsze, niż należałoby się tego spodziewać. Człowiek, który nie chce bezczynnie patrzeć, jak każdego dnia nikną bezpowrotnie tak nam potrzebne wartości, jakie moglibyśmy wytworzyć w traconym czasie, czuje się jednak niekiedy bezradny.

Jedna z warszawskich gazet wystąpiła z interesującą propozycją: powołania w Urzędach Miast Warszawy, Krakowa, Łodzi i Poznania TELEFONU SYGNAŁU. Byłby to telefon działający na zasadzie TELEFONU ZAUFANIA, pod numer którego można byłoby nadawać sygnały o dostrzeganych nieprawidłowościach, marnotrawstwie, niechlujstwie, nieróbstwie, czy nieuczciwości. Wprawdzie gazeta przyznaje, że taki TELEFON SYGNAŁ może działać tylko na zasadzie pełnego zaufania, do tych, którzy sygnalizują spostrzegane zło, gdyż jednocześnie otwierają się możliwości dla nadawania fałszywych, krzywdzących ludzi sygnałów. Trzeba jednak wybierać między większym, a mniejszym złem.

Przyznaję, że propozycja jest interesująca, ale skoro jest to jeszcze t y l k o propozycja, chciałbym zgłosić swoje zastrzeżenia. Widzę bowiem w tej propozycji pewne bardzo groźne w następstwach niebezpieczeństwo. Jest to bowiem próba stworzenia jeszcze jednej instytucji, której powstanie potwierdzałaby tylko małą sprawność funkcjonowania istniejącego systemu kontroli społecznej i państwowej. A poza tym powstanie takiej, nowej instytucji utrwalałoby nie najlepszą, a przecież rozpowszechnioną zasadę działania anonimowego.

Z mojej dziennikarskiej praktyki wiem, jak wiele listów, traktujących o sprawach bagatelnych, wręcz drobiazgowych, przychodzi niepodpisanych. Wytworzył się już niemal zwyczaj n i e p o d p i s y w a n i a listów do redakcji. Zdarzają się nawet i takie przypadki, że czytelnicy wytykający błąd autorowi, który pomylił się w szczegółach, nie podpisują listu. Rozumiem jeszcze, że czytelnik krytykujący stosunki w swojej instytucji z a s t r z e g a sobie, że nazwisko i adres podaje t y l k o do wiadomości redakcji. Redakcja ma bowiem prawo n i e u j a w n i a n i a informatorów, kiedy dziennikarz sprawdziwszy zarzuty, bierze na siebie całą odpowiedzialność.

Swego czasu gazety gdańskie informowały czytelników, że nie biorą pod uwagę anonimów nadsyłanych do redakcji. Być może czynią tak nadal, ale wiem, że w większości przypadków anonimy traktuje się poważnie, choć wszyscy są zgodni, że tego typu korespondencje nie najlepiej świadczą o autorach. Czy zatem można i czy to będzie społecznie uzasadnione, tworzyć instytucję, której działalność opierałaby się na anonimowości informacji? Warszawska gazeta zakłada bowiem, że ludzie wykręcający numer TELEFONU SYGNAŁU mogą podawać swoje nazwisko i adres, albo nie.

Stare powiedzenie głosi, że czy to Kowalski ukradł, czy ukradli Kowalskiemu, ale było złodziejstwo. Znam kilka przypadków, gdzie do starych zespołów przychodzili nowi ludzie, których próbowano zniszczyć anonimami. Do jednej instytucji, sfeminizowanej zresztą i zajmującej się kulturą, przyszła nowa kierowniczka placówki. Miała kwalifikacje i była ładna. W kilka dni później do zwierzchników tej instytucji wpłynął anonim, sugerujący, że jeden z dyrektorów sypia z nową. Jak to bywa zwykle z plotkami, ludzie zaraz pomyśleli, że coś w tym jest. Z palca tego nikt nie wyssał. Proszę sobie wyobrazić atmosferę pracy w tej instytucji, kiedy wszyscy na wszystkich patrzą podejrzliwie, raz szukając autora anonimu, a dwa — „sprawdzając" podstawność zarzutu. A przecież obowiązuje u nas zasada, że oskarżonemu winę trzeba u d o w o d n i ć. Posądzeniem nie można nikogo dyskryminować.

Dysponujemy może nie najdoskonalszym systemem kontroli, ale znacznie rozbudowanym. Dyżurują radni i posłowie, dyrektorzy przyjmują skargi i zażalenia, działa PIH, działają inne instytucje i organizacje. Czyż nie prościej doskonalić ich kontrolne funkcje, zamiast tworzyć instytucję nową, której społeczne skutki działania mogą okazać się nieobliczalne?

Jeśli mimo to propozycję warszawskiej gazety nazwałem interesującą, to dlatego, że jest to próba przełamania milczenia ludzi uczciwych, próba poruszenia sumień. I to się liczy, ale mam poważne obawy, czy w społecznych skutkach cena tej próby nie będzie zbyt wysoka? Czy łatwość w rzucaniu oskarżenia jest najlepszą drogą w walce ze złem?

MARCIN RODAK

SPORT

SREBRO I COŚ WIĘCEJ

„Dysponuję świetnymi zawodnikami, znającymi swoją wartość. Potrzebne im jednak silniejsze bodźce, zachęta do wysiłku. Tymczasem prawie nic się nie zmieniło od czasu, gdy byliśmy szóstą drużyną w Europie. Ot, choćby powrót z Belgradu. Nie było na lotnisku nikogo z władz sportowych, jakiegoś kwiatka, słów podziękowania. Na pozór drobiazgi, ale sporo jest tych drobiazgów, utwierdzających zawodników w przekonaniu, iż nikogo nie interesuje, że grają, że dobrze grają, odbierających im pełnię satysfakcji z medali".

Jeśli młody, mądry, umiejący postawić na swoim, a więc wydawałoby się twardy mężczyzna decyduje się na taką właśnie publiczną wypowiedź, to widać wiele nagromadziło się w nim goryczy i żalu. Nie pretensji obrażonej primadonny, a właśnie goryczy.

Autorem tej wypowiedzi jest nie kto inny, tylko Hubert Wagner — trener reprezentacyjnej drużyny polskich siatkarzy. Tej drużyny, która w ubiegłym roku przywiozła do kraju złoty medal mistrzów świata, a teraz srebrny medal wicemistrzów Europy. Wcale się nie dziwię Hubertowi Wagnerowi, że te swoje i zawodników żale ujawnił wreszcie dziennikarzowi „Trybuny Ludu". Pamiętam, jak w ubiegłym roku byli witani piłkarze, którzy zajęli trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata i jak szalenie skromnie witaliśmy mistrzów świata — siatkarzy. Drużyna Huberta Wagnera nie ma szczęścia do kibiców. W tym roku, znów, jakby na złość, sportowa opinia pasjonowała się piłką nożną. Co prawda tylko eliminacjami do Mistrzostw Europy, ale zawszeć to piłka nożna. Dawno już przecież ustalono, że polski kibic to piłkarski kibic. Z ubiegłorocznych Mistrzostw Świata w siatkówce transmitowano w telewizji tylko finałowy pojedynek Polaków z Japończykami, jakby to wszystko, co zrobili przedtem było nieważne. Więc teraz znów nas ten srebrny medal nie usatysfakcjonował, no bo jak to: aż mistrzowie świata i tylko wicemistrzowie Europy? A przecież to jest sport. I aż głupio przypominać wyświechtane zdanie, że w sporcie nie ma i w gruncie rzeczy nie powinno być pewniaków, bo na tym polega urok sportowych zmagań. Więc nie „tylko wicemistrzowie Europy", ale po prostu — srebrni medaliści, którym należą się słowa uznania, należy się podziękowanie i kwiaty. Jeśli już nie od kibiców, to przynajmniej od działaczy.

Zanim jeszcze Polacy pojechali do Belgradu, wiadomo było, że ten sezon potraktowany jest eksperymentalnie, jako jeden z etapów, które polskich siatkarzy mają przygotować do Olimpiady w Montrealu. Więc nie walka o złoty medal za wszelką cenę, ale jak na mistrzów przystało, sprawdzenie, jakie mamy rezerwy, czy możemy pozwolić sobie na nowy styl gry. Sześciu znakomitych złotych medalistów „dostało urlop". Na ich miejsce Hubert Wagner wprowadził do reprezentacji młodych. Dwóch się już sprawdziło, reszta miała okazję zagrać w prawdziwych, mistrzowskich spotkaniach. I jeżeli nawet zagrali gorzej, to przecież pierwsze doświadczenie z poważnych zawodów już zdobyli. A to się liczy. Nie bez kozery Jurij Czesnokow, trener mistrzowskiej drużyny ZSRR, powiedział: „Rosną wam jednak dobrzy, młodzi zawodnicy. (...) Obserwowałem jeden z treningów Polaków. Jestem dla nich pełen szczerego podziwu, za rzucające się w oczy zaangażowanie, samodyscyplinę, wytrwałość. Wagner wie, co robi. Walka z wami w Montrealu będzie niezwykle zacięta".

Hubert Wagner rzeczywiście wie, co robi. Mistrzostwa Europy potraktował nie tylko jako sprawdzian możliwości swojej odmłodzonej drużyny, ale również jako sprawdzian możliwości rywali. I słusznie, bo okazało się, że prawie wszystkie zespoły zaczęły naśladować „polski styl". Odpowiedź Wagnera jest prosta:

„A my też nie stoimy w miejscu. W Montrealu zagramy znów inaczej (...) Taktyka gry w siatkówkę jest bardzo bogata, sporo można udoskonalić i dlatego między innymi miniony sezon uważam za udany, że z powodzeniem próbowaliśmy nowych koncepcji gry".

Jeden z dziennikarzy obsługujących Mistrzostwa Europy w Belgradzie napisał: „Poziom jeszcze nierówny, ale liczy się medal". Owszem, Srebrny Medal liczy się na pewno. I na pewno powinien się liczyć bardzo wysoko. Ale postawiłabym znak równości między tym właśnie Srebrnym Medalem i koncepcją. Fakt, że drużyna Huberta Wagnera nie spoczęła na należnych jej, bądź co bądź, laurach, fakt, że trener szuka nowych rozwiązań i nie zamierza poprzestać na tym, co wspólnie z zawodnikami zrobił do tej pory, ma taką samą wagę, jak ów Srebrny Medal. A kto wie, czy nie większą.

I dlatego, jakoś głupio mi się zrobiło, kiedy przeczytałam pełną żalu wypowiedź Huberta Wagnera.

BOGDA MADEJ

WŁADYSŁAW LACHOWICZ

W WARSZAWIE NIE BYŁO „CATENACCIA"

Foto: W. Paryś

Szef banku informacji, **Bernard Blaut**, nie będzie skarżył się na nudę podczas długich wieczorów zbliżającej się zimy. Po przegranym przez drużynę polską meczu z Holandią i remisie z Włochami prasa dostarczyła mu tyle uwag, iż niejedną godzinę spędzi na rozmowie z trenerem narodowej kadry **Kazimierzem Górskim**, aby wspólnie z nim dokonać prawidłowej selekcji opublikowanych spostrzeżeń, następnie zająć się ich analizą, szukając odpowiedzi na pytanie: co robić dalej? Od czego zacząć?

Czy rzeczywiście, jak to doradzają poniektórzy, od montowania zespołu z uroczystym pożegnaniem **Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy** i być może jeszcze paru innych etatowych reprezentantów kraju, czy też w pierwszej kolejności zastanowić się nad modyfikacją obecnej formy gry naszej jedenastki? Przeciwnicy aż nazbyt dobrze poznali już w czym tkwiła dotąd główna siła uderzeniowa polskiej drużyny i — jak to przekonały nas ostatnie dwa mecze — świetnie się orientują przy pomocy jakiego manewru mogą powstrzymać lotny napad rywala znad Wisły.

Mogę przypuszczać, że stosunkowo krótko trwała na obozie holenderskich piłkarzy przedmeczowa odprawa. Trener **Georges Knobel** mógł bez długich przemówień przekazać swym podopiecznym plan batalii z Polską w rewanżowym meczu na amsterdamskim stadionie. Nawet jeśli do swych największych asów powiedział: **„Panowie, korony z głów i do pełnej poświęcenia pracy na wszystkich odcinkach boiska!"**, to w lot zrozumiano jego intencje. Zaś przebieg spotkania wykazał, że nawet wielki **Johan Cryuff** śpieszył z odsieczą holenderskiej obronie i parokrotnie nawet w bliskim sąsiedztwie własnej bramki przechwycił piłkę adresowaną do naszych napastników. Holendrzy w drugim pojedynku z naszą jedenastką zamienili się w drużynę hokejową. I dlatego w sytuacjach dla nich krytycznych nigdy nie dochodziło w amsterdamskim spotkaniu do przewagi liczebnej Polaków, podczas gdy w falowych natarciach gospodarzy — w strefie **Jana Tomaszewskiego** nieustannie widać było pomarańczowe stroje. Zaraz też po wyłapaniu przez polskiego bramkarza piłki, żaden z naszych napastników nie był bez asysty, w myśl zresztą piłkarskiej zasady, że piłka w rękach bramkarza, to już początek akcji ofensywnej rywala.

Jan Tomaszewski ratował się długimi wykopami, za co sporo cięgów dostał po meczu. Ale czy słusznie? Czy przypuszczony nań atak nic a nic nie miał wspólnego z popularnym hasłem — łapaj winnego?

W wypowiedziach dla prasy **Jan Tomaszewski** zapytał po prostu dziennikarzy: komu miał przekazywać piłkę? Przez koleżeńską solidarność, co wysoko się zawsze ceni po przegranym meczu, nie przypomniał, że o piłkę wybitą przez bramkarza muszą przede wszystkim walczyć napastnicy. Oni też powinni sygnalizować bramkarzowi gotowość ucieczki na tak zwane puste pole. Tymczasem, ani zagubiony na amsterdamskim boisku **Andrzej Szarmach**, ani tym bardziej wybitnie przygaszony **Grzegorz Lato** tego nie czynili, więc siłą faktu długie podania **Jana Tomaszewskiego** stawały się łupem Holendrów.

Warto chwilę zatrzymać się nad tą sprawą, aby nie zginęło z naszych boisk obywatelskie prawo dla długich wykopów bramkarza. Nie tak dawno w łódzkim Klubie Dziennikarza długo gawędziliśmy na ten sam temat z **K. Górskim**. Był on wówczas podobnego zdania, że długi wykop bramkarza staje się jednym z głównych wariantów piłkarskiej strategii, bo po pierwsze — znacznie przyspiesza przeniesienie akcji na drugą połowę boiska i po drugie — uniemożliwia przeciwnikowi wycofanie do obrony na czas posiłków nawet z drugiej linii. Szansa jest więc duża. Szkoda, że **Jan Tomaszewski** w meczu z Włochami postępował zgodnie z zaleceniami krytyków. Być może na trybunach z satysfakcją zacierano ręce, mówiąc: przydał mu się zimny tusz, co?

Andrzej Szarmach i **Grzegorz Lato** oraz ich najbliżsi sąsiedzi, po wybiciu piłki przez **Jana Tomaszewskiego** nie musieli toczyć pojedynków główkowych o piłkę, ale czy aż tak korzystnie wpłynęło to na ich poczynania? W meczu liczy się czas. Każda sekunda. I wykorzystanie każdej sekundy szczególnie było nam potrzebne w meczu z Włochami dla uniemożliwienia im zorganizowania szczelnej obrony. Natomiast początek ofensywy spod polskiej bramki trwał zbyt długo jak na warunki tego meczu. I tak przekazaną przez **Jana Tomaszewskiego** piłkę, nasz obrońca musiał opanować, następnie kilka metrów ją podprowadzić dla ściągnięcia na siebie przeciwnika i później kiedy już minęło kilka sekund, komuś ją podać. W tym okresie czasu Włosi bez nadmiernego nawet pośpiechu zajmowali posterunki obronne, zaś trójce naszych napastników nie udawało się przebrnąć przez gąszcz nóg przeciwnika. Doszedł do nich w 58 minucie i czwarty przebojowiec, **Joachim Marx**, luzujący **Bronisława Bulę**, którego na pozycji rozgrywającego zastąpił **Robert Gadocha**. I rzecz ciekawa. Już wokół tego posunięcia, dokonanego przez sterujących grą trenerów, c i s z a. Jakby było ono najtrafniejszym rozwiązaniem, wynikającym z przekonania, że im więcej w zespole napastników, tym mocniejsza jest jego siła w natarciu. Ach, jak cudowne mieliby życie trenerzy naszych ligowych drużyn, gdyby praktyka nie dostarczała pod tym względem wielu srogich zawodów. Podobne próby były już czynione, a ich efekty? Te próby wynikają z przekonania, że bez rasowych rozgrywających napad nic nie osiągnie. Do jego aktywności nieodzowni są dobrzy rozgrywający, tacy jak dawniej filigranowy **Zygfryd Szołtysik**, lub u szczytu swej formy **Kazimierz Deyna**. W meczu z Włochami tego ostatniego przewyższał **Bronisław Bula**. Może kiedyś, gdy opadnie fala goryczy, trener **Kazimierz Górski** obszerniej uzasadni swą decyzję wymiany go na **J. Marxa**, a może i przyzna się do błędu...

Trener **K. Górski** jest wytrawnym znawcą futbolu i wielkim autorytetem w tej dziedzinie. Kibice całego świata bez wahania to potwierdzą. Do każdej więc jego wypowiedzi przywiązuje się duże znaczenie, nawet do tych sądów, które łapane są przez dziennikarzy na gorąco, a które byłyby nieco inne, gdyby były wypowiadane już po ochłodnięciu ich autora z gorących wrażeń. Tak się przypuszczalnie rzecz miała z oceną gry Polaków po rewanżowym pojedynku z Włochami, gry w której trener **K. Górski** dopatrzył się zbyt skąpego ruchu na flankach przeciwnika. No i zaczęło się... Bez podawania winowajców uwypuklono w wielu sprawozdaniach ów szczegół. A jak było naprawdę? Czy istotnie na obu bocznych „korytarzach" warszawskiego boiska nic godnego uwagi się nie działo? Spytajcie bocznych obrońców: **Henryka Wawrowskiego** i **Antoniego Szymanowskiego**, ile to razy Włosi umożliwili im rajd po flankach. Tylko w tych dwu „pasmach" boiska była wolniejszą droga do ich bramki, ponieważ przeciwnikowi chodziło o zagęszczenie tak zwanego podbramkowego centrum, co daleko odbiegało od dawnego muru obronnego, zwanego przez fachowców „Catenaccio".

Sztuka defensywna Włochom się jednak udała, ale tylko w tym meczu, w którym los jakby się uwziął na naszą drużynę. Gdyby szczęście się od niej nie odwróciło, nawet wielki **Dino Zoff** musiałby choćby raz wyjąć piłkę z siatki! Warszawskie ustawienie obronne Włochów nie jest więc wzorem do wiernego naśladowania. Posiadało tyle zalet, co wad, tylko że nasza jedenastka, poza brakiem przysłowiowego łutu szczęścia, była zupełnie inną drużyną, niż podczas piłkarskich mistrzostw świata...

I nie ma co oburzać się na tego typu stwierdzenia. Wystarczy sobie odpowiedzieć na pytanie: kiedy **Kazimierz Deyna** był w lepszej formie? Podczas mistrzostw świata, czy w meczu rewanżowym z Włochami? A **Robert Gadocha?** Kiedy bardziej zasługiwał na pochwały? A **Andrzej Szramach** i **Grzegorz Lato**, żeby skończyć już z wymienianiem nazwisk. Jeśli zgodzimy się się co do tego, że czwórka tych piłkarzy nie zaprezentowała w Amsterdamie, i następnie w Warszawie wszystkich swych możliwości, jakiż z tego końcowy wniosek? Chyba jeden. Mianowicie ten, że mimo ofiarności i ogromnego poświęcenia na warszawskim stadionie zabrakło dawnej formy u tych zawodników, którzy stanowili trzon naszej reprezentacji. Wstydliwe ukrywanie tego faktu nie będzie sprzyjającą okolicznością przy analizowaniu przyczyn odpadnięcia Polski z Mistrzostw Europy. Wręcz przeciwnie.

I dalej. Wybór innej strategii zostawmy już trenerowi **Kazimierzowi Górskiemu** i jego asystentom. Skomplikowany to wprawdzie problem, lecz przeszłość dostarczyła nam kilku dowodów, że pezetpenowski sztab szkoleniowców nie rezygnuje z unowocześniania form walki polskiej jedenastki.

TAJEMNICA SPORTOWYCH SUKCESÓW NRD

W 1968 roku w czasie Igrzysk Olimpijskich w Meksyku sportowcy NRD, zajmując V miejsce, wywalczyli 26 medali. Przed naszymi sąsiadami zza Odry znaleźli się reprezentanci USA, ZSRR, Japonii i Węgier. Polska z 18 medalami sklasyfikowana została na 11 miejscu. Jak wiadomo Igrzyska Olimpijskie podsumowane są w klasyfikacji medalowej i tzw. punktacji ogólnej. W tej ostatniej sportowcy NRD osiągnęli wielki sukces, zajmując III miejsce za USA i ZSRR. Polska zajęła wówczas VIII miejsce.

Po 4 latach przerwy, w 1972 roku, w kolejnych Igrzyskach Olimpijskich w Monachium zanotowaliśmy jeszcze większy sukces sportowców NRD. Otóż w klasyfikacji medalowej zajęli III miejsce. Zwyciężyła reprezentacja olimpijska ZSRR zdobywając w sumie 99 medali (50 złotych, 27 srebrnych i 22 brązowe). Na drugim miejscu — USA z 93 medalami (33 — 31 — 30). Za tą wspaniałą dwójką uplasowali się sportowcy NRD z 66 medalami (20 — 23 — 23). Polska w Monachium zajęła VII miejsce zdobywając w sumie 21 medali (7 — 5 — 9).

Gdzie tkwią tajemnice sukcesów sportowców NRD?

Przebywając kilka razy w różnych miastach tego państwa miałem możność zapoznać się z systemem prowadzonej pracy szkoleniowej. Najważniejsze cechy tej pracy to: oszczędność czasu, oszczędność ludzkiego wysiłku, dobre zagospodarowanie terenu, umiejętność wyławiania talentów i otaczania co zdolniejszych zawodników należytą opieką. W NRD zapewniono młodzieży doskonałe warunki do uprawiania kultury fizycznej, a w następstwie tego — do zdobywania laurów sportowych.

Przyjemnie jest popatrzeć, jak przed ważnym meczem międzynarodowym, na skromnej, schludnej sali, występują przedszkolacy, grając w piłkę ręczną, siatkową, czy też prezentując swoje umiejętności gimnastyczne. Przyjemnie jest popatrzeć, gdy na boisku sportowym, obok grających piłkarzy trenują lekkoatleci, a na tymże boisku jest dostateczna ilość nie tylko sprzętu, ale i wykwalifikowanych nauczycieli. Widziałem w Rostocku jak trenującą młodzieżą opiekowali się również rodzice. Każdy trening młodocianych sportowców kończył się kąpielą w basenie.

W mieścinie położonej dwadzieścia kilka km za Rostockiem wybudowano kosztem 2 mln marek, w ciągu zaledwie 2 lat, nowy obiekt sportowy. Jest tam hala sportowa z pełnym zapleczem, a obok boisko do gier i duży teren przygotowany pod budowę basenu pływackiego i sztucznego lodowiska. Miasto liczy zaledwie 6 tys. mieszkańców. Znaleziono jednak pieniądze (z funduszu fabryki mebli) na wybudowanie boisk. Pomogły władze sportowe NRD.

Takich przykładów można mnożyć, ale co ciekawsze, we wszystkich obiektach sportowych panuje wzorowy porządek i wszystkie są w 100 procentach wykorzystywane.

Kilkadziesiąt godzin spędziłem w szkołach, w czasie przeprowadzanych lekcji wychowania fizycznego. Zauważyłem dużą różnicę między podobnymi lekcjami u nas a w NRD. Każda lekcja wykorzystywana jest maksymalnie, znikoma natomiast jest ilość zwolnień dzieci z lekcji wychowania fizycznego. Do lekcji gimnastyki wprowadzono skromną, ale jakże ważną rywalizację młodzieży o pierwsze miejsce w klasie, zespole, szkole. Obok niezbędnej, ale mało atrakcyjnej gimnastyki młodzież gra w piłkę. Nie jest to jednak szablonowa gra, ale bardzo ciekawa i urozmaicona dzięki elementom rywalizacji.

Należenie do klubu sportowego jest wyróżnieniem dla młodego człowieka.

Nie trzeba się więc dziwić, że w stosunkowo bardzo krótkim czasie, po epoce sławnego kolarza Schura, doczekaliśmy się rekordzistów i mistrzów świata, jak np. słynne. Stecher, Zehert, Ehrhardt, wyśmienitego pływaka Matthesa, doskonałą oszczepniczkę Fuchs, znanego dobrze w Polsce kolarza Geschka. Litania jest długa, ale co ciekawsze, że obok dzisiejszych mistrzów jest cała armia młodzieży uzyskująca doskonałe wyniki i chyba późnym latem 1976 r. na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu, obok wspomnianych asów sportu NRD, usłyszymy o nowych zawodnikach.

Można zazdrościć sportowcom NRD i byłoby to szlachetne uczucie, gdybyśmy korzystali także z doświadczeń naszych sąsiadów. Nie trzeba się tego chyba wstydzić. Przed kilkunastu laty byliśmy ich nauczycielami, a dziś role się odwróciły. A uczyć się jest czego.

W Lipsku istnieje na przykład wyższa szkoła wychowania fizycznego, podobna zresztą do naszej w Warszawie na Bielanach. Z tą jednak różnicą, że z urządzeń tej szkoły, a właściwie „fabryki talentów", korzysta młodzież ze szkół podstawowych i średnich. Istnienie tzw. kółek sportowych nie jest tam fikcją. W uczelni tej wykładowcami są wybitni fachowcy i to we wszystkich dyscyplinach sportu.

Nie wiemy, jaki los spotka naszą reprezentację olimpijską w Montrealu, ale przeglądając liczne tabele statystyczne można wywnioskować, że Polska zdobędzie więcej medali niż w Monachium. Czy NRD zaspokoi się rekordem ustanowionym w Monachium? NRD jest dzisiaj potęgą w sporcie wyczynowym i w rozważaniach o sporcie trzeba liczyć się z tym faktem.

JAROSŁAW NIECIECKI

LISTY

W CZYIM INTERESIE

Chciałbym skorzystać z Waszej rubryki i za pośrednictwem redakcji zwrócić uwagę Wydziałowi Komunikacji Urzędu M. Łodzi i dyrekcji MPK na pewną, drobną wprawdzie, ale uciążliwą anomalię w ruchu kołowym, której usunięcie nie wymaga żadnych inwestycji, a tylko dobrej woli.

Otóż, mieszkam przy ul. Wielkopolskiej i od kilku miesięcy obserwuję, co się tutaj na jezdni dzieje, zwłaszcza w godzinach porannych i popołudniowych. Ulica pomyślana prawdopodobnie jako wewnątrzosiedlowa, podłączona została podczas przebudowy ul. Limanowskiego do ruchu „przelotowego". I tak zostało, chyba na stałe (?), o czym może świadczyć pobliskie skrzyżowanie z ul. Letnią.

Żeby nie narzekać, lecz krytykować konstruktywnie, proponuję następujące rozwiązanie (zastrzegam się, że nie jestem specjalistą od komunikacji, a jedynie obserwatorem, który logicznie kojarzy pewne fakty). Proponuję więc, jeśli nie da się całkowicie (a chyba nie) wyłączyć ul. Wielkopolskiej z ruchu „przelotowego", uczynić ją ulicą j e d n o k i e r u n k o w ą na odcinku Woronicza — Letnia. Pojazdy jadące z wiaduktu do śródmieścia będą mogły w zależności od potrzeby jechać prosto lub skręcić w Woronicza itd. Natomiast pojazdy jadące odwrotnie kierowane byłyby za pośrednictwem nowego ronda (przy okazji: b. ładne i funkcjonalne) z ul. Limanowskiego. W ten sposób uzyskalibyśmy odciążenie ruchu o pięćdziesiąt procent, które po przebudowie ul. Limanowskiego wchłonęłaby bez trudności, tym bardziej że ten kilkusetmetrowy odcinek łączy się z nowoczesną arterią ul. Aleksandrowskiej i tak stanowiącą główny kierunek ruchu przelotowego.

Pozostaje pytanie: co z autobusami? Właśnie ruch autobusowy skłonił mnie do zastanowienia. Biegnie tu linia autobusów pośpiesznych B, H, J i zwykłego 78. Ich częstotliwość jest b. wysoka (tak na oko) 3 do 5 minut (w szczycie). Zatrzymując się na przystankach (Wielkopolska, Turoszowska) autobusy powodują permanentne korki w ruchu ulicznym. Nie do rzadkości należy 5—7 pojazdów czekających za autobusem stojącym na przystanku, bez szans na ominięcie lub wyprzedzenie, bo z naprzeciwka ciągnie taka sama struga pojazdów, a ulica jest b. wąska.

Takie zorganizowanie ruchu, jak się domyślam, było podyktowane troską o pasażerów, żeby mieli w obie strony blisko do przystanków. Wydaje mi się jednak, że była to troska przesadna, z wyraźną niekorzyścią na rzecz użytkowników jezdni. Dlatego tak sądzę, że zlokalizowanie przystanków autobusów B, H, J i 78 na ul. Limanowskiego dla wracających ze śródmieścia pasażerów nie byłoby zbyt uciążliwe, gdyż odległość zwiększyłaby się o ok. 100 m (po drodze sklepy itd).

Jest jeszcze jeden ludzki aspekt sprawy. Mam tu na myśli kierowców autobusów, którzy wracając ze śródmieścia, po przejechaniu odc. Wielkopolska — Woronicza muszą skręcić w lewo, by włączyć się do ruchu i wjechać na wiadukt. Przykro patrzeć na tych ludzi, jak wyczekują na przerwę w ruchu (na głównej arterii), denerwują się i chyba przeklinają w duchu pomysłodawców trasy. Gdyby tak ich posadzić za kierownicą potężnego wozu i kazać im kilkadziesiąt razy dziennie dokonywać takiej ekwilibrystyki! Aż dziwne, że kierowcy, naród stalewki, nie zbuntowali się dotąd przeciw takiemu absurdowi, który im tak utrudnia pracę. (Nie chcę być pedantem, ale to również strata czasu dla pasażerów). Natomiast ruch w kierunku odwrotnym nie koliduje z ruchem na trasie — Limanowskiego i Aleksandrowska, gdyż mamy do czynienia ze skrętem w prawo, po „swoim" pasie.

Taki byłby mój wniosek. Jeśli nie mam racji, to się z tym pogodzę, ale niech mnie o tym ktoś logicznie przekona. Jeśli racje mam, sądzę, że bez fałszywego wstydu można takiej korekty w szybkim tempie dokonać. Ku pożytkowi wszystkich zainteresowanych.

mgr inż. E.T.
(nazwisko znane redakcji)

„POLSKA GMINNA CZY WOJEWÓDZKA"

Dopiero niedawno, i przyznam, zupełnie przypadkowo wpadł mi do ręki 36 numer „Odgłosów" z artykułem Konrada Frejdlicha „Polska gminna czy wojewódzka?".

Autor zastanawia się w nim nad „optymalnym modelem kultury" na terenie województwa łódzkiego miejskiego po reformie administracyjnej. Podaje za prof. A. Wallisem trzy podstawowe koncepcje kulturalnego rozwoju, rozważa możliwości ich realizacji, przedstawia argumenty i wreszcie „głosuje za gminą wyposażoną w podstawowe placówki kulturalne".

Stan naszej kultury nie zadowala. Potrzebna nam permanentna konsolidacja wysiłków zmierzających do jej doskonalenia. Okazją ku temu jest niewątpliwie nowy podział administracyjny kraju. Przed mniejszymi ośrodkami pojawiła się szansa szybkiego doścignięcia placówek dużych, dotąd faworyzowanych. Jest to szansa, której przeoczyć nie wolno, możliwość, której wykorzystanie jest przesłanką do zapewnienia nowych zdobyczy kultury narodowej. Stąd popieranie wszystkich tego rodzaju inicjatyw jest i uzasadnione i konieczne. Dziwi mnie więc, że jeszcze tak wielu potencjalnych i faktycznych mecenasów wykazuje zbyt mało dobrej woli, lub wcale jej nie wykazuje. Każdemu z nich zależeć przecież powinno na zapewnieniu jak najpoważniejszej bazy kulturalnej przede wszystkim na swoim terenie. Że tak nie jest, miał chyba K. Frejdlich okazję zauważyć w czasie swojego rekonesansu po województwie. W ogólnym obrazie przedstawionym w artykule niewiele jest różowego odcienia.

Jak na przykład mógłby K. Frejdlich wytłumaczyć fakt braku zainteresowania prosperujących w Ozorkowie, dużych przedsiębiorstw, rozwojem tamtejszego Domu Kultury? Przecież przede wszystkim Ozorkowskim Zakładom Przemysłu Bawełnianego i filii ZTK „Teofilów" zatrudniającym łącznie ponad 5 tys. ludzi, winno zależeć na uatrakcyjnieniu wolnego czasu swoich pracowników i ich rodzin. Tymczasem patronat nad Miejskim Domem Kultury i to jedynie gospodarczy, sprawują ZPW „Fresco" w Zgierzu, które w Ozorkowie zatrudniają niewiele ponad... 200 osób. Zdrowa logika wskazywałaby już na niezbyt szczęśliwe rozwiązanie, tym bardziej że udział zakładów „Fresco" w kosztach placówki wynosi tylko ok. 5 proc.

Widocznie logiczne myślenie nie musi być udziałem wszystkich skoro pertraktacje związane z przekazaniem MDK ciągną się już od 1970 roku. Według pierwotnej koncepcji Dom Kultury miały przejąć OZPB. Rzecznicy tego przedsiębiorstwa potrafili jednak wynajdywać tyle przeszkód, że w ciągu czterech lat rosły jedynie akta sprawy.

Wreszcie w maju 1974 r. na dobrym, firmowym papierze ZPW „Fresco" otrzymały pismo, w którym Ozorkowskie ZPB konstatują:

„Inwestowanie w Międzyzakładowy Dom Kultury w Ozorkowie jest ekonomicznie nie uzasadnione i niecelowe oraz prawnie niemożliwe wobec braku formalnego przekazania".

Czyli inaczej, MDK nie przekazano formalnie, bo ewentualny kontrahent uważał to za „ekonomicznie nie uzasadnione" i czuje się całkowicie rozgrzeszony, gdyż obiektu „nie przekazano formalnie". A więc wszystko gra. — Skąd my to znamy?

Obecnie toczą się pertraktacje z drugim zakładem, ZTK „Teofilów" i już początek rozmów wskazuje na ich podobny epilog. Tymczasem stan techniczny tego ośrodka wymaga natychmiastowych nakładów pieniężnych ze strony wszystkich zakładów i przyjęcia administracji przez któreś z lokalnych przedsiębiorstw. Ale takie rozwiązanie może być niezbyt wygodne, gdyż nie można byłoby wtedy win za własne niedociągnięcia złożyć na „dobrego wujaszka" ze Zgierza.

Z kolei ZPW „Fresco" prowadząc żłobek i przedszkole w Ozorkowie (także dla pracowników innych przedsiębiorstw), partycypując w kosztach Miejskiego Domu Kultury i świetlicy zakładowej w Zgierzu wydają się być już dostatecznie obciążone wydatkami i nic dziwnego, że zniechęcone postawą ozorkowskich przedsiębiorstw nie prowadzą na tym terenie bardziej ożywionej działalności. Skoro bowiem apel o remont starego MDK lub o budowę nowego nie spotyka się z odpowiednim oddźwiękiem, właściwe chyba jest zajęcie się sprawami własnego podwórka.

Ciekawe stanowisko w tej sprawie zajmują władze Ozorkowa. Wyraźnie nie zależy im na tym, aby głównego mecenasa MDK mieć na własnym terenie. Łatwiej bowiem w ten sposób własne niedopatrzenia, usprawiedliwić wątpliwym brakiem zainteresowania zgierskiego „Fresco". 27 października odbędą się następne „obrady" mające zadecydować o losie Miejskiego Domu Kultury.

Ciekaw jestem, jakie zapadną decyzje i czy wreszcie władze miasta i ozorkowskie przedsiębiorstwa potrafią zrozumieć jak wielka ciąży na nich odpowiedzialność za rozwój kultury w tym mieście?

KRZYSZTOF KOŁODZIEJCZAK
ZPW „Fresco"
(Zgierz)

„SPRAWA O KRADZIEŻ BUŁKI"

Nader rzadko zdarza się, że mam ochotę usiąść i napisać po przeczytaniu jakiegoś artykułu swoje opinie i uwagi. Bo na ogół nie ma czasu i tak się składa, że własne spostrzeżenia chowa się dla siebie. Jestem jednak już od dawna czytelnikiem „Odgłosów", które wbrew dość rozpowszechnionej opinii w środowisku studenckim, bardzo sobie cenię. Uważam że macie — jak to się mówi — sporo świetnych piór. A do napisania właśnie skłonił mnie reportaż Konrada Turowskiego.

Myślę, że to bardzo dobry reportaż. Nie dlatego, że broni studentki, ale dlatego, iż broni zasady, że klient nie może być traktowany jak złodziej, gdy przez roztargnienie zapomni zapłacić w kasie 80 gr. Trzeba być rzeczywiście złośliwym, by w takim przypadku nie odróżnić, że ma się do czynienia z uczciwym człowiekiem. Sam byłem świadkiem, jak właśnie w „Samie" złapali „złodziejkę". Była to starsza kobieta. „Ukradła" torebkę cynamonu. Tłumaczyła, że przez omyłkę wsadziła ją do siatki, zamiast do koszyka. Wstyd mi było, gdy przepraszała młodą ekspedientkę, która mogłaby być jej wnuczką. Kobieta płakała. Na nic. Tak na nią krzyczała ekspedientka, że aż inni ludzie stanęli w obronie staruszki.

Jestem studentem prawa i uważam, że kradzież pod każdą postacią musi być karana. Czy jednak tu mamy do czynienia z kradzieżami? Chyba wątpliwe. Dlaczego pracownicy „Samów" tak bardzo chcą uchodzić za kryształowych ludzi kosztem klientów? Czy to nie jest podejrzane, że z takim zapałem polują na złodziei, zamiast handlować? Nie znam się na tym, ale miałbym poważne wątpliwości. Szkoda, że autor tego nie naświetlił. Trochę chyba ten reportaż (bardzo dobry w ogóle!) jest za mocno ostrożny. Ale więcej takich chciałbym czytać w „Odgłosach", poruszających właśnie interesujące wszystkich sprawy.

KAZIMIERZ O.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

* * *

Piszę ten list, bo bardzo poruszył mnie artykuł Konrada Turowskiego pt. „Sprawa o kradzież bułki". Otóż jestem zmuszona często robić zakupy w „Magdzie" i innych „Samach". Uważam, że uwagi zawarte w artykule dotyczą wszystkich tych sklepów, a na pewno dużej ich części. Sama zastanawiam się dlaczego ekspedientki w „Samach", zamiast sprzedawać, tylko patrzą na ręce klientom. Otóż myślę, że one nie tylko dbają o interes sklepów, co swój, bo jak jest remanent, to wtedy mają wytłumaczenie, dlaczego są u nich braki. Po prostu wyciągają listę złapanych klientów i żaden sąd nie może nic zrobić. To przecież wina klientów, że są braki! Słyszałam kiedyś, że w jakimś barze w Warszawie kradli noże i widelce. Łapali złodziei — klientów, ale jak przeprowadzali kontrolę to się okazało, że pracownicy kradli najwięcej.

Nie myślcie, że dlatego piszę, bo mnie kiedyś złapali na kradzieży. Uważam tylko, że to po prostu skandal, żeby każdego człowieka, który wchodzi do „Samu", traktować jak złodzieja. Trzeba tępić i surowo karać prawdziwych złodziei.

ANIELA ZAGOŻDZIŃSKA
(Łódź)

PYTANIA

— W ostatnich latach wybudowano wiele nowych fabryk przemysłu włókienniczego, unowocześniono stare, należałoby się zatem spodziewać, że na rynku będzie pod dostatkiem wszelkiego rodzaju tkanin — stwierdza w liście do redakcji Eugeniusz Jan Stolarczyk ze Zgierza i pyta: **— Dlaczego mimo tak wielkiego wysiłku inwestycyjnego klient ciągle ma kłopoty z kupowaniem bielizny bawełnianej, tkanin typu welwet czy teksas?**

Istotnie w ostatnich latach przemysł włókienniczy wzbogacił stan swego posiadania o wiele nowych fabryk. I tak wybudowano Kombinat Tekstylno-Konfekcyjny „Teofilów" w Łodzi z filiami w Krotoszynie i Ozorkowie. Powstały zakłady przemysłu lekkiego w Opocznie, Jędrzejowie, Łęczycy, Turku. W Łodzi kilka fabryk przeniosło się ze starych pomieszczeń do nowych, a była to nie tylko zamiana budynków, ale też wymiana maszyn i technologii. W taki sposób powstał „Dywilan", „Polanil", „Bistona", a w innych dokładnie wymieniono maszyny, wprowadzając bardziej nowoczesne technologie, poprawiając warunki pracy. Proces modernizacji przemysłu włókienniczego trwa.

Wydawałoby się zatem, że zwiększając stan posiadania, przemysł włókienniczy będzie też lepiej i sprawniej zaopatrywał rynek krajowy i zagraniczny. I tak też się dzieje. Wystarczy sięgnąć do danych. Na przykład w 1950 roku wyprodukowano w Polsce 5 milionów metrów tkanin wełnianych stuprocentowych. W 10 lat później, w 1960 roku — 15,5 miliona metrów. Przez tych 10 lat nastąpiło p o t r o j e n i e produkcji tylko tego jednego typu tkanin, a produkcja wszystkich tkanin wełnianych i wełnopodobnych wzrosła w tym czasie z 56,3 miliona metrów do 78,9 miliona metrów, czyli o 22,6 miliona metrów. W następnym dziesięcioleciu wzrost był już nieco niższy, gdyż tylko o 20,1 miliona metrów. W 1974 roku wyprodukowaliśmy w Polsce 117 milionów m tkanin wełnianych i wełnopodobnych. Ale w tych 117 milionach m tkanin było już 60,7 miliona metrów tkanin ze stuprocentowej wełny. Produkcja tego rodzaju tkanin rosła szybciej niż produkcja wszystkich tkanin wełnianych i wełnopodobnych.

Trzeba jeszcze raz sięgnąć do liczb, gdyż one znakomicie ilustrują istotę tego procesu. Jeśli bowiem w latach 1950—1960 nastąpiło potrojenie produkcji tkanin czysto wełnianych, to w następnym dziesięcioleciu ich produkcjia wzrosła o 19,4 miliona m, a więc było to więcej niż podwojenie. W latach 1970—1971 produkcja tego typu tkanin wzrosła zaledwie o 0,6 miliona m, aby już w następnym roku wzrosnąć o 5,4 miliona m. W latach 1971—1974 produkcja stuprocentowych tkanin wełnianych wzrosła o 19,8 miliona metrów, a więc o tyle samo, co w latach 1960—1970.

Złożyły się na to dwie przyczyny: pierwsza — moda i druga — wzrost potencjału przemysłu produkującego tkaniny wełniane i modernizacja tego przemysłu.

Był czas, kiedy ogromnym wzięciem cieszyły się tkaniny wełnopodobne. Był to okres wielkiego zainteresowania wszystkim, co było produkowane z włókien chemicznych. Był to okres szybkiego rozwoju tej gałęzi produkcji. Jeżeli w 1960 roku produkowaliśmy 4,5 tys. ton włókien syntetycznych to już w 5 lat później — 21,6 tys. ton, a w następne 5 lat później, czyli w 1970 roku — 53,8 tys. ton. Produkcja włókien syntetycznych rosła zresztą nadal i w 1974 roku osiągnęła poziom 96,3 tys. ton.

MODA I PRODUKCJA

Moda na włókna syntetyczne spowodowała też ograniczenie produkcji tkanin z czystej bawełny. Był to przecież czas, kiedy wystawy komisów dyktowały modę, kiedy wywierały wpływ na produkcję krajowego przemysłu. Nie było w tym nic złego, jako że przemysł nasz dążąc do rozwijania niezbędnego nam eksportu, musiał równać do tego, co produkowali inni i czego domagał się rynek krajowy. Wtedy to koszule typu „non iron" sprzedawano bądź w komisach, bądź spod lady, a posiadanie bluzeczki z przędzy teksturowanej było szczytem marzeń. Przemysł krajowy nadrobił opóźnienia i wiele typów wyrobów nie tylko „Iwony" czy „Olimpii" spełnia wysokie wymagania rodzimych klientek, znajdując też uznanie na rynkach zagranicznych.

Przemysł lekki w roku 1950 wyprodukował 432 miliony metrów tkanin bawełnianych i bawełnopodobnych, w 1960 — 665 mln metrów, a w 1971 — 904 mln metrów i w 1974 — 885 mln metrów. Przemysł ten jest również modernizowany, ale nie w takim stopniu jak inne działy przemysłu lekkiego. Dopiero w nadchodzącej pięciolatce i w następnych realizowany będzie program przebudowy tego przemysłu.

Obecnie na całym świecie obserwuje się odwrót od odzieży szytej z tkanin, wytwarzanych z włókien chemicznych, a rośnie zainteresowanie tkaninami, wytwarzanymi z włókien naturalnych. Mimo różnych zakrętów i zmian mody, nie zmniejsza się na przykład zainteresowanie welwetem i tkaninami typu „teksas". Wprawdzie w przemyśle bawełnianym zmodernizowano Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Sz. Harnama w Łodzi, przystosowując je do produkcji tego typu tkanin, ale wszystko to nie zaspokaja potrzeb. ZPB im. Sz. Harnama mają w tym roku wyprodukować 21 mln metrów tak poszukiwanych tkanin, znaczną część z tego przeznaczając na potrzeby przemysłu odzieżowego, ale i podaż odzieży z welwetu i tkanin typu „teksas" nie wyrówna popytu.

Przemysł lekki, chcąc wyrównać podaż tkanin typu „teksas" do poziomu popytu, wypuszcza na rynek materiały teksasopodobne, jak na przykład teksasy wełniane, lniane, jedwabne. Są one droższe od teksasu bawełnianego, ale też posiadają większe walory użytkowe. Z drugiej strony — nie zawsze trafiają w gusty klienta, szczególnie pewnej grupy klientów, którzy szukają tradycyjnego, trwałego i dobrego teksasu bawełnianego.

Przemysł bawełniany ma również trudności z produkcją welwetów, a szczególnie welwetu drobnoprążkowanego, bardzo poszukiwanego przez klientów. Jeżeli — według opinii specjalistów MPL — osiągnięto już pewien postęp w opanowaniu problemów z jakością tego typu welwetu, to jego ilość na rynku również nie odpowiada potrzebom. Specjaliści z MPL uważają, że przy zaspokajaniu popytu na tkaniny typu „teksas" czy na welwet wiele do zrobienia ma przemysł odzieżowy, który powinien lansować atrakcyjne, nowoczesne wyroby z tkanin teksasopodobnych. Tego typu politykę w stosunku do rynku prowadzą m. in. zakłady przemysłu odzieżowego: „Vistula", „Modus", czy ZPO im. dr A. Próchnika w Łodzi.

Zainteresowanie tkaninami z włókien naturalnych szczególnie odbiło się w przemyśle dziewiarskim, gdzie nastawiono się na produkcję bielizny z tkanin, wytwarzanych z włókien chemicznych. Tego typu bielizna leży na półkach sklepów, a klienci szukają bielizny bawełnianej. Popyt na wyroby dziewiarskie z bawełny zmusił ten przemysł do przeprowadzenia wielu istotnych zmian.

Przemysł dziewiarski jest przemysłem stosunkowo młodym i ciągle rozwijającym się. W 1950 roku produkowaliśmy w kraju 7,3 tys. ton wyrobów dziewiarskich, w 1960 — 18,8 tys. ton, w 1970 — 35,6 tys. ton i w 1974 roku — 47,8 tys. ton. Rosła również w tym czasie produkcja bielizny z 19,9 sztuk w 1950 roku, do 68,7 mln sztuk w 1960, poprzez 139 mln sztuk w 1970 aż po 172 mln sztuk w 1974 roku. W ciągu ostatnich trzech lat każdego roku na rynku krajowym pojawia się średnio o 20 proc. więcej bielizny bawełnianej. Ale to nie zaspokaja popytu, tym bardziej że klienci szukają też innych wyrobów dziewiarskich z bawełny. Niedobór tego rodzaju artykułów handlowych MPL stara się uzupełniać importem przede wszystkim z Indii, Egiptu i Rumunii.

Zmienia się też profil produkcji w niektórych zakładach przemysłu dziewiarskiego, zwiększając tam udział produkcji z włókien bawełnianych. Dokonano tego między innymi w łódzkich zakładach: „Dresso", „Marko" i „Lido". W rozruchu znajdują się zakłady przemysłu dziewiarskiego „Cotex", które dawać będą rocznie 20 mln sztuk wyrobów dzianych, a w tym znaczny procent wyrobów z bawełny.

Wszystkie te poczynania mają zbliżyć podaż do popytu. Jednakże popyt na wszelkiego typu wyroby włókiennicze z bawełny jest nadal nie do końca zaspokajany, mimo że produkcja tego rodzaju wyrobów nieustannie rośnie. Dalszą poprawę na rynku przyniosą niewątpliwie poczynania rekonstrukcyjne w przemyśle bawełnianym.

TEATR

JUBILEUSZ „PINOKIA"

Państwowy Teatr Lalek „Pinokio" ma już trzydzieści lat! Aż wierzyć się nie chce, że scena mieszcząca się (od 1950 roku) przy ulicy Kopernika 16, tak bardzo różni się już wiekiem od tych, dla których kieruje swą pracę i sztukę. A przecież pokolenie dzisiejszych trzydziestolatków, wśród których nie brak ludzi do dziś interesujących się teatrem także zawodowo, wychowywało się właśnie w przytulnej salce „Pinokio", gdzie po raz pierwszy zasmakowało odbioru sztuki scenicznej, skąd dotarły do tych małych widzów pierwsze życiowe prawdy i wzruszenia mające „teatralny wymiar". I dlatego łodzianinowi urodzonemu po drugiej wojnie światowej, który wcześniej czy później ze sceną „Pinokio" musiał się zetknąć, trudno dzisiaj w trzydziestolecie istnienia tego teatru pisać bez osobistej emocji.

Powstanie i trzydziestoletnia działalność „Pinokio" wiążą się nierozerwalnie z osobą obecnego dyrektora i kierownika artystycznego Teatru — **Marty Janic.** Ona to właśnie — wraz z profesorem Uniwersytetu Łódzkiego — **Marianem Gluthem,** również wielkim miłośnikiem lalkarstwa — była inicjatorką powstania i — że tak się wyrażę — „duszą" teatru.

1 maja 1945 roku w sali Centralnego Robotniczego Domu Kultury przy ulicy Piotrkowskiej 243 odbyło się pierwsze przedstawienie. Wystawiono wówczas „Bajowe bajeczki" Marii Kownackiej w reżyserii Marty Janic i scenografii **Jadwigi Niemcowej.** I tak się zaczęło. W ciągu trzydziestu lat działalności PTL „Pinokio" wystawił 116 premier (w tym 39 prapremier); aktorzy „Pinokio" zaprezentowali młodym widzom 15.694 przedstawienia, z czego w bazie — 7.686, zaś w terenie — 8.008. Na spektaklach odbywających się w ciągu trzydziestu lat istnienia gościło — jak wynika ze statystycznych obliczeń — 4.419.908 widzów, przy czym ponad połowa tych widzów obejrzała widowiska w terenie. Nieprzypadkowo tak się stało, bo właśnie działalność objazdowa PTL „Pinokio" — docieranie z przedstawieniami do miejscowości, w których dotychczas nie gościł żaden teatr jest ważnym ogniwem pracy łódzkich lalkarzy. Warto dodać, że nasz teatr, występował na terenie całego niemal kraju, prezentując swoje widowiska również w ogólnopolskim programie Telewizji Polskiej (notabene i w TV jugosłowiańskiej).

Poza tym „Pinokio" utrzymuje żywy kontakt z zagranicznymi teatrami lalek. Wielokrotnie teatr ten gościł za granicą, wszędzie zbierając pochlebne recenzje; występował w Anglii (1970), Bułgarii (1969 i 1973), Jugosławii (1970, 1971 i 1972) i na Węgrzech (1974). Również i na naszej scenie wystawiały swoje spektakle teatry z Bułgarii i Jugosławii.

Zresztą trudno w paru słowach ująć wszystkie zasługi teatru-jubilata, bo sukcesów, nagród i wyróżnień było wiele. Dość powiedzieć, że tak, jak przed trzydziestu laty, tak i dzisiaj Państwowy Teatr Lalek „Pinokio" uczy, bawi i wychowuje. Z jego sceny młodociany widz odbiera pierwsze bodźce estetyczne. Równocześnie twórcy poszczególnych widowisk zdają sobie sprawę, że oddziałują na sferę intelektualną i emocjonalną, a zawarte w sztuce treści zapadają głęboko w świadomość dziecka. Na tym właśnie polega ogromna rola wychowawcza tego typu teatru, teatru skierowanego do tego pokolenia, które za lat kilkanaście przejmować będzie od nas dziedzictwo społecznej kultury.

Ubiegła sobota była dla „Pinokio" dniem jubileuszowym. Wystarczyło przybyć na uroczystość, którą poprzedziło wystawienie musicalu lalkowego pt. **„Księżniczka w oślej skórce"**, by usłyszeć, jak wielkim uznaniem i poważaniem cieszy się dyrektor **Marta Janic** i cały zespół jej teatru. Nic tedy dziwnego, że życzeniom i gratulacjom nie było końca. Również władze kulturalne naszego miast i regionu doceniły wysiłek artystów (ale i nieartystów związanych od lat z tym teatrem) przyznając im wysokie odznaczenia państwowe.

Wypada więc, prosząc Teatr Lalek „Pinokio" o następne równie owocne trzydzieści lat, podziękować za te niezliczone ilości subtelnych doznań, których był dostarczycielem na przestrzeni ostatnich trzech dziesiątków lat, za zapatrzone oczy dzieci, za rozpalone z emocji policzki i wstrzymane oddechy. I wreszcie — za uśmiech najmłodszych, za ich radość z obejrzenia spektaklu, radość, która — jak twierdzą lalkarze z „Pinokio" — bywa największą i najmilszą nagrodą.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

MAGAZYN ODGŁOSY

TAJEMNICA TUTENCHAMONA

Czy rzeczywiście mumie Ramzesa II, Ramzesa VI, Tutenchamona „pozbawiały rozumu" i „zabijały" tych wszystkich, którzy ośmielili się zajrzeć do ich grobów?

Pytanie to zadał korespondent „Paris Match" generalnemu dyrektorowi Muzeum Starożytności Egiptu, G. Muchtarowi. Muchtar odparł: „Na pewno nie. Bardzo często próbowano łączyć tajemnicze zgony badaczy grobów ze znanymi „tabliczkami przekleństw" oddnalezionymi w grobach faraonów. Ale ja w to po prostu nie wierzę. Całe życie badam grobowce faraonów i ich mumie i, jak widać, jestem żywym dowodem moich słów..."

W miesiąc po tej rozmowie 52-letni Muchtar zmarł. Lekarze stwierdzili niewydolność serca. W przeddzień śmierci Muchtar badał skarbiec grobu Tutenchamona, włącznie z jego słynną złotą maską.

Jeszcze przed odkryciem grobowca Tutenchamona miały miejsce wypadki tajemniczej i nagłej śmierci archeologów. Ale nie wzbudzało to większego zainteresowania. Dopiero śmierć lorda Carnarvona, w kwietniu 1923 r., który wespół z innym Anglikiem, Howardem Carterem, odkrył grób Tutenchamona oraz związane z nią okoliczności zwróciły powszechną uwagę na tzw. „przekleństwo faraonów".

Kiedy wczesnym rankiem 4 listopada 1922 roku Carter przyjechał na miejsce prac wykopaliskowych, podbiegł do niego niezwykle wzburzony kierownik robót i wyrzucił z siebie jednym tchem, że wykryto wykuty w skale mały schodek. Taki był początek jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć archeologicznych. Dziesięć metrów za pierwszymi drzwiami wykutymi w skale znajdowały się drugie, na których widniały dwie pieczęcie: cmentarza oraz pieczęć Tutenchamona. Po zdjęciu pieczęci i otwarciu drzwi uczeni znaleźli się w sali, w której odkryli wielką czarę w kształcie lotosu wykonaną z półprzezroczystego alabastru oraz kilka rydwanów inkrustowanych złotem i szkłem. Ale był to zaledwie przedsionek wiodący do labiryntu zapełnionego skarbami. Wśród nich znaleziono nie rzucającą się w oczy glinianą tabliczkę, którą, zgodnie z procedurą, wpisano na listę znalezisk. Dopiero kilka dni później udało się odczytać wyryty na niej tekst, składający się z jednego zdania: „Śmierć ukarze swoimi całunem każdego, kto ośmieli się zakłócić spoczynek faraonów". Podobny zastraszający napis odkryto na tylnej stronie statuetki pokrytej wyobrażeniami magicznych symboli: „Jestem tym, który ogniem pustyni zmusi do ucieczki grabieżcę, gdy wtargnie on do grobowca. Jestem tym, których chroni grobowiec Tutenchamona".

Także prof. Engelbach odkrył w przedsionku jednego z grobowców glinianą tabliczkę, na której widniał następujący napis: „Duch śmierci skręci kark grabieżcy, jak gęsi". W grobowcu znajdowały się szczątki dwóch ludzi. Jedne były zmumifikowane, drugie — nie. Eksperci wyrazili przypuszczenie, iż nie zmumifikowane szczątki należały do rabusia, którego zmiażdżyła kamienna płyta w momencie, gdy sięgnął ręką po klejnoty mumii. Trudno dziś powiedzieć, czy był to przypadek, czy też przemyślnie skonstruowana pułapka.

Siostra lorda Carnarvona opowiada, że jej brat w przedśmiertnych majaczeniach często wymieniał Tutenchamona. „Usłyszałem jego głos i idę za nim... — to były ostatnie słowa mego brata".

Gdy Carnarvon zmarł, wśród robotników pracujących przy wykopalisku zaczęły krążyć słuchy o „przekleństwie faraonów".

Amerykański egiptolog, Artur Meins, pomagający Carterowi w przebiciu przejścia w ścianie sali głównej, wkrótce po śmierci Carnarvona zaczął się uskarżać na ogólne osłabienie i wkrótce zmarł. Nagłe zgony następowały jeden po drugim. Angielski przemysłowiec, G. Woolf, po obejrzeniu grobowca Tutenchamona, zmarł, wskutek gwałtownego ataku gorączki, na pokładzie statku, którym powracał do Anglii. W 1929 roku zmarła wdowa po lordzie Carnarvonie. Lekarze orzekli, iż przyczyną śmierci było ukąszenie owada. W tym samym roku zmarł sekretarz Cartera — Richard Batel.

W marcu 1971 roku archeolog. W. Amery, bezskutecznie szukał grobowca genialnego architekta Imhotepa, około 30 km na południe od Kairu. Podczas prac wykopaliskowych nagle zasłabł i został natychmiast przewieziony do szpitala w Kairze. Stwierdzono ogólny paraliż połowy ciała z utratą mowy. Umarł nazajutrz.

Prof. Dumichen z Uniwersytetu w Strassburgu przyjechał jesienią 1922 roku do Egiptu, żeby wykonać kopie napisów odnalezionych w grobowcach i świątyniach. Zajęty pracą nie opuszczał podziemi całymi tygodniami. Po pewnym czasie zaobserwowano u niego wyraźne symptomy schizofrenii. Opowiadał zmyślone historie, które jakoby przeżywał podczas prac wykopaliskowych. Zmarł w stanie zupełnego obłąkania.

Amerykański egiptolog z Chicago, James Breasted zapadł na paraliż podczas prac wykopaliskowych w Dolinie Królów.

Carter, który przekształcił grobowiec Tutenchamona w swoje drugie mieszkanie, przeżył wszystkich archeologów biorących udział w jego ekspedycjach. Czy ten fakt wystarcza, żeby obalić wiarę w „przekleństwa faraonów"?

Jakie są prawdziwe przyczyny tej długiej serii tajemniczych zgonów? W listopadzie 1962 roku odbyła się w Kairze konferencja prasowa z udziałem profesora medycyny i biologii Uniwersytetu Kairskiego. D. Tacha, który przez długi czas systematycznie obserwował stan zdrowia wielu archeologów oraz pracowników muzeów gromadzących wykopaliska z egipskich piramid. Prof. Tach złożył sensacyjne oświadczenie: w organizmach tych osób odkrył istnienie wirusa wywołującego zapalne procesy dróg oddechowych. Szereg podobnych wirusów odkrył Tach także podczas badania mumii. Jeden z nich, „aspergilus niger", zachował, zdaniem profesora, swą żywotność w ciągu trzech — czterech tysięcy lat! Na konferencji Tach powiedział m.in.: „Przekleństwo faraonów można zneutralizować przy pomocy zwykłych antybiotyków".

Wiele mówiono także o latających myszach i jadowitych owadach oraz o nie znanych truciznach, których używali ponoć starożytni Egipcjanie do ochrony grobów przed złodziejami.

W październiku 1956 roku południowoafrykański geolog, John Wallis, penetrując jedną z podziemnych grot, w której gnieździły się tysiące latających myszy, poczuł w kilka dni później symptomy chorobowe — rozstrój żołądka, bóle mięśniowe, silne dreszcze. Po wielu badaniach stwierdzono, że geolog zapadł na tzw. „chorobę jaskiniową", której nosicielem są wirusy rozwijające się w odchodach latających myszy. Uratowały go antybiotyki. Czy zatem ów wirus sprzed 4 tysięcy lat i wykryta niedawno „choroba jaskiniowa" nie mogły być przyczyną nieoczekiwanej śmierci archeologów pracujących w grobowcach faraonów? Na jednoznaczną odpowiedź na to pytanie da niebawem nauka.

(c.)

ZIMNO!

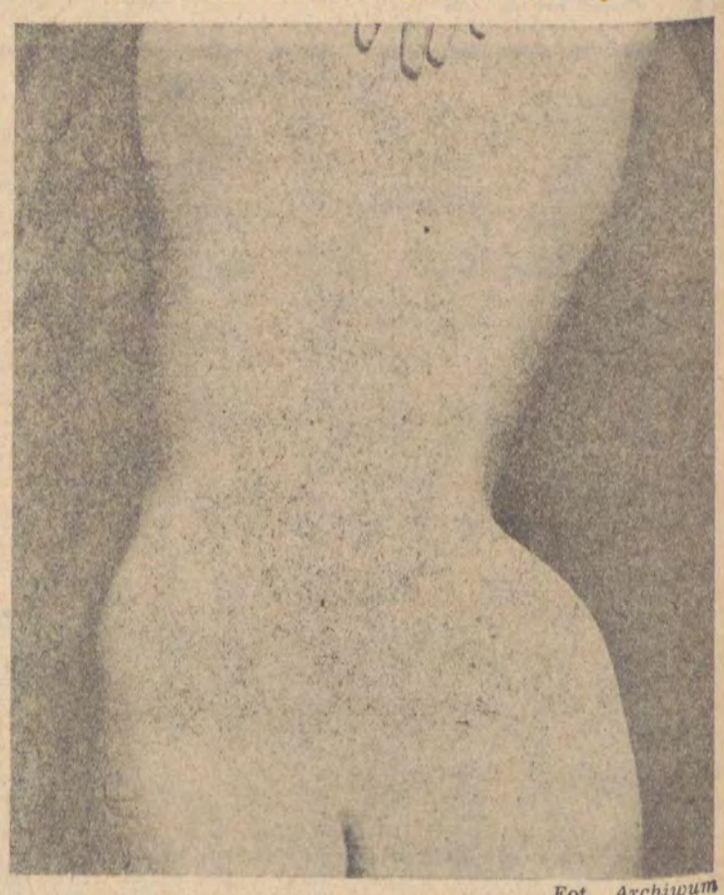

Fot. Archiwum

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

Dyrektor w teatrze jest Bogiem. Dlatego tylu aktorów marzy o roli Judasza.

To teatr akademicki – z okazji rozmaitych uroczystości odbywają się w nim akademie.

Dramatem tego dramaturga, jest to, że wdał się w tę komedię.

W twarzach aktorów widać wszystkie nie zagrane role.

I pomyśleć: długopisem można by także napisać „Hamleta".

PŁYTY

DZIECI

Płyta jest poświęcona — przynajmniej z pozoru — bez reszty dzieciom. To znaczy piosenki mówią o dzieciach, ich problemach; stają się powrotami do dzieciństwa; są pozostałościami dziecięcej wyobraźni i fantazji. Ale bynajmniej nie dzieci stworzyły te utwory — gros piosenek skomponował Janusz Kruk, a teksty napisali (po kilka) Marek Dutkiewicz i Wojciech Młynarski. W nastrój longplaya SX 1212 wprowadza znakomicie numer tytułowy pt. „Wyspa dzieci" i biorąc pod uwagę charakter repertuaru — jest to istotnie swego rodzaju wyspa tematyczna w naszej fonografii.

Zresztą omawianie poszczególnych piosenek zawartych na ostatniej płycie popularnego zespołu „Dwa plus Jeden" mija się z celem, bowiem większość z nich jest doskonale znana, przede wszystkim — stałym słuchaczom programu radiowego, „Na luzie", „Bez pieniędzy", „Gdzieś w sercu na dnie", „Seski mil" — to tytuły, które wielokrotnie gościły na listach przebojów. „Na naszym piętrze nowina" — to premiera opolska grupy, „Kołysanka matki" — to świetnie opracowany utwór pochodzący z oratorium Katarzyny Gaertner i Ernesta Brylla „Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony".

„Wyspa dzieci" została nagrana poprawnie i starannie. Nie zawiera przykrych dla słuchacza niespodzianek, tym bardziej że zespół „obgrywając" utwory na estradach krajowych, przygotował się w ten sposób do ich studyjnego wykonania. Przy okazji warto dodać, iż zespół „Dwa plus Jeden" nagrywał wspomniany krążek w nowym, rozszerzonym składzie personalnym liczącym... sześć osób. Poza tym brzmienie zespołu zostało wzbogacone orkiestrą i chórkiem, ale wydaje mi się, że Janusz Kruk lepiej czuje się w mniej skomplikowanych aranżacjach. Zresztą ku takiej instrumentacji zdawał się skłaniać materiał słowno — muzyczny, lecz potraktowano go nieco inaczej niż należało.

„Muza" — wydawca płyty — zapewniła wykonawcom longa na rynek w krótkim terminie (pierwsze egzemplarze nagranej wiosną „Wyspy dzieci" sprzedano na specjalnym kiermaszu w czasie tegorocznego festiwalu opolskiego), a także znakomitą okładkę. Jej autorem jest angielski grafik polskiego pochodzenia — Mark Milik, który przed paroma laty zasłynął świetnym plakatem opracowanym na życzenie Jimi Hendrixa. Również i obwoluta płyty „Dwa plus Jeden" ozdobiona jego rysunkami potrafi przyciągnąć potencjalnych klientów do tej — w zawartości — wcale nie tak znów nadzwyczajnej płyty.

Znamię dziecinności, czy raczej — infantylizmu, nosi także inna polska płyta niedawno wydana. O ile jednak w poprzednim przypadku — przy „Wyspie dzieci" — można mieć o owej zamierzonej dziecinności zdanie pozytywne, o tyle zastanowiwszy się nad longplayem „Polska gola" (gdzie zamiary były nieco inne) nie sposób odżegnać się od krytyki.

Otóż płytę wspomnianą nagrano — jak przypuszczam — niby „na czasie": miała ona ukazać się na rynku i być wykupioną na fali zainteresowania zmaganiami naszych piłkarzy z reprezentacją Holandii o wejście do finałowych rozgrywek Mistrzostw Europy. Jak pamiętamy, pierwszy mecz z drużyną Cruiffa, w Chorzowie, wygrali w imponującym stylu Polacy i wówczas amok zwycięstwa ogarnął cały kraj. W dzień (a także w przeddzień) rewanżowego spotkania w Amsterdamie, nie można było włączyć radioodbiornika, by nie usłyszeć „piosenek piłkarskich".

Niestety, to — jak anonsowano w radio — „przeboje piłkarskie" okazały się gigantycznym niewypałem. Mimo poważnych nazwisk autorów, kompozytorów i wykonawców (poważnych w sensie — ciekawych, ambitnych), których tutaj przytaczać nie chcę, by nie rzucać cienia na ich karierę, „utwory" są fatalne. Poza dwoma, trzema wyjątkami nie nadają się w ogóle do rozpowszechniania. Stąd też zupełnym — w moim odczuciu — nieporozumieniem był fakt zarejestrowania ich i umieszczenie na dużym krążku.

Na domiar złego płyta w planowanym terminie nie ukazała się w sklepach muzycznych i nawet mecz Polska — Włochy oglądaliśmy nie mając jej w swojej płytotece. Co gorsza nie posiadali jej także nasi piłkarze, którzy nieszczęśliwym remisem w Warszawie pogrzebali szanse awansu. Czyżby właśnie z tego powodu? Może, gdyby wysłuchali tych zagrzewających do walki piosenek, to...

A swoją drogą, to od słuchania takich infantylnych tekstów nawet najzdrowszy i najlepszy piłkarz ma prawo dostać lekkiego paraliżu.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Karykatury Sławomira Arabskiego

Jan Tomaszewski

Kisielewski i Tomaszewski (fortepian)

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"

K.I.G.

UCHO W PIASKU

Tuż obok piramidy Cheopsa turyści polscy z grupy „Orbisu" znaleźli w piasku duży dzbanek z uchem. Na jego powierzchni widać wyraźnie wizerunek osobnika płci męskiej z odwróconą głową, spoglądającego intensywnie za siebie. Osobnik ten ma dłonie silnie wyciągnięte do przodu. Na dłonie obficie pada złoty deszcz. Przewodnik wycieczki wyjaśnił grupie iż w ten prymitywny sposób starożytni Egipcjanie wyobrażali sobie scenarzystę filmów historycznych. Grupa wzięła dzbanek za ucho.

ZESZYCIK Z RUBRYKAMI

Zenek S. uczeń klasy czwartej szkoły im. Twórców Znaku Drogowego „Uwaga! Dziecko na Drodze" zaprowadził sobie specjalny zeszycik. W zeszyciku tym chłopiec starannie notuje tematy filmowe, dzieląc je sumiennie na trzy rubryczki: słuszne, niesłuszne oraz dyskusyjne czyli wątpliwe. Zenek S. to prawy chłopak i tej ostatniej rubryczki nie lubi. Nie ma dnia, żeby do Zenka S. nie wpadł na chwilę jakiś reżyser filmowy z łakociami, by pożartować sobie z jego mamusią i zerknąć do zeszycika.

TROSKA O WESOŁEGO STARUSZKA

W pewnym miasteczku żyje sobie pewien bardzo wesoły staruszek. Staruszek ten pilnie uczęszcza do kina a im smutniejszy film jest grany, tym głośniej zaśmiewa się na sali kinowej. Zaś na filmach wesołych, owszem, też się pośmieje ale cichutko. Wszyscy, którzy kochają wesołego staruszka, serdecznie proszą Władze Naszej Kinematografii o takie planowanie, by jego śmiech przez długie jeszcze lata dźwięczał nam na sali kinowej głośno i swobodnie.

NIEPOKOJE ŚWINTUCHÓW

Zachodni twórcy (oczywiście twórcy w cudzysłowie tzn. tak zwani „twórcy") filmów pornograficznych stwierdzili z niepokojem, iż z biegiem lat występuje u nich znaczne obniżenie zainteresowania się sprawami seksu. Równocześnie stwierdzono rosnącą tęsknotę za tematyką chłopską. Jednakże podjęcie tematyki chłopskiej powoduje po pewnym czasie nowy, często jeszcze silniejszy powrót zainteresowania seksem. Zjawisko to jest bardzo męczące ale my nie będziemy świntuchów żałować.

PRZYPOMNIENIE GAWĘDY

Gawędy naszego ludu to wprost gotowe scenariusze filmowe. Warto przypomnieć jedną z nich. Wdowa Wojaczka miała trzech synów. Jeden otruł się grzybami, drugi nie pił wódki a trzeci garb miał z boku. Cała piątka kochała się, jak mało kto. Raz wyłowili Żyda w worku. Raz dziedzicowi płot obsikali. Jak święta szły, to wszyscy głowę myli. Cesarza za wąsy pociągnąć chcieli ale nie przyjechał. Dobrze żyło im się zgodnie i wesoło, cóż, przed pierwszą wojną pomarli. Smutno bez nich. Warto serialem jakim przypomnieć miłą rodzinę.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2250. U-3. Nr indeksu 37006/26762.